○ Drezdeńska apokalipsa
○ Szansa przetrwania: podziemna Szwajcaria
○ Czy będziemy się liczyć w wyścigu myśli?
○ Grzesznica wśród sprawiedliwych
○ Czarna madonna

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 4 (1348) ROK XXVII 28 STYCZNIA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

Foto: Archiwum

...i nikt nie mówił o patriotyzmie

Z JÓZEFEM STOLARSKIM, ostatnim komendantem Armii Krajowej w Łodzi, rozmawia PAWEŁ TOMASZEWSKI.

— Zanim zaczniemy mówić o trudnych latach okupacji, chciałbym żeby powiedział pan kilka słów o tym, co robił pan przed wojną.

— Urodziłem się i wychowałem na Chojnach, na Zatorzu. Ukończyłem seminarium nauczycielskie. Pierwszą posadę dostałem w szkole na Retkini w 1930 roku. Potem — wojsko, podchorążówka, rok w Zgierzu, aż wreszcie od 1933 roku do wybuchu wojny — szkoła na Nowym Złotnie.

Nowe Złotno, Cyganka — były to wtedy miejscowości, gdzie mieszkali bogaci Niemcy — rzemieślnicy, właściciele domów — oraz biedni Polacy. Młodzież nie miała co ze sobą zrobić, chłopcy włóczyli się po ulicach, nie było żadnej polskiej organizacji młodzieżowej. Jedynie przy kościele istniało Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Widząc to, od razu zorganizowałem tam drużynę harcerską która niedawno obchodziła jubileusz 50-lecia (uroczystość pokazano nawet w telewizji). W następnym roku zorganizowałem oddział Związku Strzeleckiego. Wybudowaliśmy wspólnie z tą młodzieżą boisko sportowe, posadziliśmy wzdłuż ulic drzewa, powstał teatr amatorski, a nawet — orkiestra symfoniczna. A na koniec zachciało mi się jeszcze stworzyć tam Związek Zachodni.

To było bardzo potrzebne, bo na Nowym Złotnie zaczęło się wreszcie coś dziać, ale zrozumiałe, że dzięki temu, po wrześniu 1939 roku nie mogłem już wrócić tam do domu. Żona opowiadała mi później, jak spotkał ją wtedy jeden z mieszkających blisko Niemców, przyjaźnie do nas nastawiony i powiedział, że nie będzie jej nawet pytał, czy ja żyję, czy nie, ale żebym w ogóle już tu się lepiej nie pokazywał, bo zabić to mnie może i nie zabija, jednak do obozu trafię na pewno. Byłem przecież tym, który w mnie-

4

Skarga

MIROSŁAW KUŹNIAK

Panie Prokuratorze! Ja, Michał Rudyk składam skargę na Genowefę Lipman, pielęgniarkę i Wojciecha Tatara, lekarza w wojewódzkim szpitalu w mieście Ł.

Bardzo proszę Pana Prokuratora o rozpatrzenie tej skargi i wyciągnięcie konsekwencji w stosunku do wzmiankowanej Genowefy Lipman i Wojciecha Tatara. Skargę tę złożyłem po długim namyśle, trzy noce nie spałem, aż żona moja Alinka, dobra kobieta tylko nerwowa, powiedziała: Bój się Boga Michał, skończ wreszcie z tym myśleniem, bo nic dobrego nie wymyślisz. Idź, wódki się napij, pogadaj z kolegami, to może ci przejdzie... No i owszem, poszedłem, nawet koledzy się ucieszyli, ale do gadania nie miałem ochoty. Wódka też mi nie smakowała, więc ledwie opróżniliśmy te dwie półlitrówki, pożegnałem się i wróciłem do domu. Zwaliłem się na tapczan, zapaliłem papierosa i popatrzyłem w sufit. Niedawno go malowałem, ale widocznie farba była kiepska, bo już odpada.

Alinka podeszła do tapczanu, popatrzyła na mnie i pyta: — Byłeś Michałku na wódce?... — Byłem — mówię, bo nie będę kłamał, jak sama mnie do picia namawia... — No i co?... — Nic — mówię... — Jak to nic? — pyta zdziwiona. — Przeszło ci?.. — Dajże mi spokój — odpowiadam i papierosa dusze w popielniczce... — Posuń się — mówi i siada obok mnie, po głowie głaszcze i każe patrzeć w oczy... — Mogę spojrzeć, dlaczego nie? Nie mam nic do ukrycia... Patrzę, patrzę, a jej po policzkach spływają dwie strużki łez. Zdenerwowałem się i pytam: — Dlaczego beczysz?... — Obtarła łzy fartuchem i mówi: — Ja już Michał tak dalej żyć nie mogę!... — Porwałem się z tapczanu. — Ty nie możesz żyć?! A ja co mam powiedzieć?! — Alinka twarz zakrywa rękami i szlocha.

8

Od odpowiedzialności nie ma odwołania...

Studenci i wykładowcy

Nie ustają spory wokół szeroko pojętych spraw dotyczących teraźniejszości i przyszłości szkół wyższych. Toczą się one wokół wielu problemów, budząc uzasadniony ogólnospołeczny rezonans. Dyskutowane są m.in. kontrowersyjne zasady przyjęć na wyższe studia. Równocześnie jednak wątkami tych polemik są sprawy natury ogólniejszej, jak: rola nauki, intelektualistów i inteligencji w społeczeństwie polskim dziś i jutro. Podejmowane są kwestie funkcjonowania samorządów w socjalistycznych uczelniach, a także podjęte przez rząd próby zmiany sposobu sterowania nauką i badaniami naukowymi.

O tych i wielu innych, nie mniej ważnych zarówno dla środowiska jak i w skali ogólnospołecznej problemach dyskutowano w gronie partyjnych pracowników nauki na niedawnych konferencjach uczelnianych PZPR. Z prezentowanymi tam poglądami i opiniami pragniemy zapoznać Czytelników. Zaprosiliśmy do redakcji przedstawicieli łódzkiego środowiska naukowego:

— doc. dr hab. **MARKA BARTOSIKA** (PŁ),

— dr **ANDRZEJA GRZEJDZIAKA** (UŁ),

— dr **GRZEGORZA MATUSZAKA** (UŁ), kierownika Wydziału Nauki KŁ,

— dc. dr hab. **HENRYKA SCHOLLA** (UŁ),

— lekarza **RYSZARDA ZAWADZKIEGO** (AM).

„Odgłosy" reprezentowali: **LUCJUSZ WŁODKOWSKI** i **KAROL J. STRYJSKI.**

A oto jej przebieg:

„ODGŁOSY": — Niedawno mieliśmy okazję zapoznać się z rezultatami badań socjologicznych, pro-

3

Przegląd prasy

Ile w procesie rozwoju społecznego jest samoistności, czyli, na ile ten proces wynika z wewnętrznych warunków danego kraju, a ile zależy od wpływow zewnętrznych? Na to pytanie nigdy nie można dać precyzyjnej odpowiedzi, gdyż ani tego, co zewnętrzne, ani tego, co wewnętrzne nie da się ani zmierzyć, ani zważyć. Trudno jednak zaprzeczyć, że na każdy społeczny proces wewnętrzny oddziaływują wydarzenia zewnętrzne, wywierają niekiedy silny wpływ. Czasem świadomie szuka się wzorów obcych do naśladowania. Tyle tylko, że te obce wzory muszą pasować do specyfiki danego kraju, do wewnętrznych uwarunkowań jego społecznego rozwoju. Nic się nie da sztucznie przeszczepić, przenieść, wykorzystać, jeśli to nie znajdzie wewnętrznych warunków, jeśli nie będzie zgodne z dotychczasowym charakterem rozwoju społecznego.

Zapomniał widać o tym Kisiel, kiedy w „TYGODNIKU POWSZECHNYM" (nr 1 z 1 stycznia 1984 roku) zaproponował w felietonie „Szwajcarskie mówienie", aby

ZBUDOWAĆ DRUGĄ SZWAJCARIĘ

Spodobała mu się demokracja szwajcarska i proponuje naśladownictwo. *„Podoba mi się to wszystko* — napisał — *wolałbym drugą Szwajcarię niż drugą Japonię. Polecam, proponuję".* Kisiel zresztą przewidział, że jego propozycja spotka się ze sprzeciwem, gdyż nie tylko spróbował przewidzieć zarzuty, ale też i odpowiedział już na nie. Ale pomylił się. Nie przewidział, że sprzeciwi się jego propozycjom i to zupełnie z innego powodu Zbigniew Siedlecki, który w „TRYBUNIE LUDU" (nr 17 z 20 stycznia 1984 r.) opublikował polemiczny artykuł pt. *„Czy demokracja jest dobra na wszystko?".*

Z. Siedlecki zdaje sobie sprawę z tego, iż *„podejmując polemikę* — jak sam pisze — *z błahym w istocie felietonem „Tygodnika Powszechnego" przywiązuję motylowi funtowy ciężar do nóżki"*, ale mimo to polemikę tę podejmuje, bowiem odczytał felieton Kisiela *„jako głos w dyskusji nad założeniami projektu ordynacji wyborczej do rad narodowych"*, a poza tym nawet felietonowo ujętą — i trochę przekornie — propozycję zbudowania drugiej Szwajcarii uważa za szkodliwą.

Ze znanych mi badań socjologicznych, prowadzonych w łódzkich uczelniach, wynika, iż spora część studentów chciałaby wyjechać akurat do Szwajcarii. (Mówi się o tym między innymi w publikowanej w tym numerze „Odgłosów" dyskusji o pracy wychowawczej i politycznej na wyższych uczelniach). Widać w świadomości niektórych Polaków utrwalił się stereotyp kraju wszelkiej szczęśliwości — Szwajcarii obok Kanady i Australii. Jest to kolejny mit, o którego szkodliwości nie muszę nikogo przekonywać. Na ogół wszystkim nam wydaje się, że dobrze jest tam, gdzie nas nie ma. Każdy kraj ma przecież swoje kłopoty, trudności, niedogodności, swoje problemy, które musi samodzielnie rozwiązać. A my mamy jedną Polskę i musimy zrobić w niej porządek, ani na wzór szwajcarski, ani japoński, ani żaden inny — po prostu taki, jaki wynika z naszej przeszłości i naszych potrzeb.

Ale wróćmy do pytania,

CZY DEMOKRACJA JEST DOBRA NA WSZYSTKO?

„Otóż demokracja sprawdza się w społeczeństwach, w których wspólne interesy różnych grup społecznych dominują nad rozbieżnościami, sprzecznościami, konfliktami klasowymi i międzygrupowymi. A więc w sytuacjach, gdy to co łączy, silniejsze jest od tego, co dzieli, gdy siły dośrodkowe przeważają nad odśrodkowymi".

Z. Siedlecki przeciwstawia ideałowi Kisiela demokrację burżuazyjną w Wielkiej Brytanii. Jej rodowód sięga Wielkiej Karty. Wzorowali się na niej encyklopedyści przygotowujący Wielką Rewolucję Francuską, wzorowali się też twórcy Konstytucji 3 Maja w Polsce. I co? Ano nic. Demokracja ta nie może poradzić sobie z problemami, z jakimi boryka się w Północnej Irlandii. Zresztą jest więcej miejsc na kuli ziemskiej, gdzie demokratyczne instrumenty rozwiązywania tamtejszych problemów są zupełnie bezużyteczne.

Z. Siedlecki wymienia tylko Północną Irlandię i Liban, a przecież można byłoby dodać do tego, jako kolejny przykład, fiasko modernizacyjnych poczynań cesarskiego reżimu w Iranie, jak też fiasko demokratycznych rozwiązań w Chile. W każdym z tych przypadków potwierdza się zasada, że mechaniczne przenoszenie jakichkolwiek wzorów nie prowadzi do niczego poza zaostrzeniem wewnętrznych konfliktów. Nie można w Polsce zbudować drugiej Japonii, ani drugiej Szwajcarii, ani drugiej Anglii. Nawet drugiej Polski nie można zbudować, bo można i trzeba jedynie uporządkować to, co mamy w tej jednej, jedynej Polsce. I nie szukajmy wzorów daleko, popatrzmy uważniej w przeszłość i przywróćmy właściwe znaczenie temu, cośmy z tej przeszłości zaprzepaścili, zagubili, jak choćby ideę spółdzielczości, samorządności, pracowitości.

Zbigniew Siedlecki w potyczce polemicznej skierował swoją uwagę ku sprawom zasadniczym. I słusznie. Ma on przecież rację, gdy pisze, że *„mniejszość podporządkowuje się większości tylko dopóty, dopóki może to czynić kosztem swoich mniej ważnych interesów. Gdyby wszakże podporządkowanie się wymagało rezygnacji z interesów zasadniczej natury, mniejszość zamiast podporządkować się, dokona secesji".* Ale nie tylko o to chodzi. Jego polemikę z felietonem Kisiela rozumiem także jako polemikę z mitem o wszechskuteczności demokracji, lekarstwie na wszystkie dolegliwości świata, który to mit Kisiel świadomie potrącił. Nie wynika wszakże z tego, że Z. Siedlecki jest przeciwnikiem demokracji, uważa on tylko — i ja się z tym zupełnie zgadzam — że forma demokracji musi wyrastać z wewnętrznych warunków kraju, stopnia jego rozwoju społecznego, i odpowiadać potrzebom społecznym. Są sytuacje, gdy demokracja okazuje się bezsilna i są sytuacje, kiedy jest niezbędna.

Już poeci zauważyli, że nic nie dzieje się bez przyczyny, nie znika bez skutku. Każde społeczne zjawisko — i nie tylko przecież społeczne — ma swoje źródło, ma swoją przyczynę i rodzi określone skutki. Oto „SZTANDAR MŁODYCH" (nr 15 z 20 stycznia 1984 r.) opublikował artykuł Tadeusza Przekory pt. *„Pod sklepem"*, a jest to w istocie

SPOWIEDŹ SPEKULANTA

Bohaterem jest Lucek — też imię wymyślił, bo oczywiście imiona i realia są zmienione — który zastrzega, że nie wolno zdradzić żadnych szczegółów, które prowadziłyby do rozpoznania kogokolwiek, gdyż można za to oberwać nożem. Ma on żonę Aśkę i troje dzieci. Nie ma jeszcze trzydziestki. Spekulantem został przypadkowo. Siedział za bójkę. Po wyjściu zaczął pracować na budowie. Kiedyś przyszedł sąsiad — pijaczek. Kupił połówkę i zapłacił drożej. Okazało się, że wystarczy mieć tylko wódkę, a forsa sama idzie do kieszeni. Lucek wyciąga miesięcznie 40 tysięcy. Normalnie pracuje na budowie. Pod sklep chodzi wieczorami, kiedy już wódki nie sprzedają. Wtedy właśnie wielu klientów ma ochotę na kielicha. Kupują wódkę lub krajowe wino. Inni spekulanci idą na całość i wyciągają setkę miesięcznie. Lucek nie.

„Aśka mówi — zwierza się reporterowi — *że będzie prawdziwie szczęśliwa, gdy już skończę ze staniem pod sklepem. I skończę, tak sobie przyrzekłem. Latem. Mam odłożonych kilkaset tysięcy, a muszę dorobić jeszcze jakąś setkę. Postanowiliśmy urządzić mieszkanie, a to kosztuje. Chciałbym więc umeblować nasze pokoje, kupić sobie samochód i otworzyć jakiś prywatny interes, tylko na inne nazwisko. Jako karany nie dostanę koncesji".*

Gdyby wszyscy mieli takie marzenia, daleko byśmy nie ujechali. Ale, czy on może mieć inne? Oto, jak rysuje obraz swojej pracy zawodowej.

„Praca na budowie zaczyna się o szóstej. Znaczy to tyle, że o ósmej wszyscy już się schodzą. O dziewiątej śniadanie, potem jakiś kawał dla draki, a niekiedy jeszcze na dodatek butelka i klops, mówi Lucek. Reforma? Reformy nie ma, tylko w telewizji i radiu niepotrzebnie krzyczą. On, Lucek, budowlaniec przecież, spec od remontów w mieszkaniówce, wie to dobrze. Pracuje w akordzie? Pracuje! Czy ich brygada, trzydziestu sześciu chłopa, to co robi w miesiąc, mogłaby wykonać w dziesięć dni, a najdalej już w dwa tygodnie? Mogłaby!...

Na budowie jest nawet fajnie. W poniedziałek i piątek nie robi się, bo nie ma albo siły, albo człowiek już myśli o czymś innym".

No i co? Możemy wiele przy takiej pracowitości wybudować? Co możemy osiągnąć? A przecież każdy rozsądny człowiek wie, że właśnie w tym, w bezmyślności, złej organizacji, w nieróbstwie, braku dyscypliny leżą przyczyny zła. Koło jest zamknięte. Denerwują nas skutki, ale zmienić przyczyn nie możemy szybko. Potrzeba na to czasu, potrzeba uruchomienia takich mechanizmów ekonomicznych i społecznych, które wpłynęłyby w sposób pożądany na ludzkie postawy. Ale my jesteśmy niecierpliwi. Chcemy, aby już, od jutra, było lepiej, aby nie było spekulantów, złodziei, marnotrawców, ludzi bezmyślnych, i żeby wszyscy dobrze pracowali.

Urszula Biełous w „ŻYCIU LITERACKIM" (nr 4 z 22 stycznia 1984 r.) zastanawia się, o co chodzi w kabarecie Jana Pietrzaka i

KTO CHODZI DO KABARETU?

O publiczności nie ma najlepszego zdania: *„przyszli więc — eleganccy, wystrojeni, kapiący od złota, palący „peweexy". Bilety są drogie, po pięćset, a ludzie wykupili wszystkie na trzy miesiące... przyszła nowa bohema, nowe drobnomieszczaństwo, wykwit części społeczeństwa czasu teraźniejszego".*

A co rozjusza Jana Pietrzaka?

„Rozjusza go chamstwo, tępota, zapyziała bezmyślność. I chociaż wie, że nie posiada monopolu na prawdę, to co do niektórych prawd jest pewny swej słuszności, dlatego głośno i doniośle wytyka to i owo. Ale mimo że obraża bez wyboru wszystko i wszystkich, ma ten święty dar, iż niczyja miłość własna nie czuje się urażona, aż dziwne".

Coś tu chyba nie gra, nie te sprawy do tej publiczności. Bawią się ponoć świetnie, ale czy rozumieją?

Chciałbym na zakończenie przeglądu prasy zasygnalizować jeszcze,

CZEGO NIE NALEŻY POMINĄĆ!

— W „ŻYCIU PARTII" (nr 2 z 18 stycznia 1984 r.) o doświadczeniach pracy partyjnej w miejscu zamieszkania pisze Stanisław Zaręba w artykule pt. *„Wykorzystać tę szansę".*

— Tadeusz Kisielewski w w „TYGODNIKU KULTURALNYM" (nr 4 z 22 stycznia 1984 r.) przypomina w artykule pt. *„Przywódca"* Wincentego Witosa.

— Barbara Seidler w „ŻYCIU LITERACKIM" (*„Prawo musi być przestrzegane przez wszystkich"*) i Edmund Żurek w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 4 z 22 stycznia 1984 r. *„8 lat pozbawienia wolności dla głównego oskarżonego"*) piszą o wyrokach w procesie byłego kierownictwa Radiokomitetu.

— „ŻYCIE LITERACKIE" rozpoczęło druk opowieści o ludziach Wolnej Europy: *„Nasi znajomi z Wolnej Europy"* autorstwa Mieczysława Lacha i Zdzisława Ubermana.

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

NAGRODY MIASTA ŁODZI

zgodnie z tradycją przyznano z okazji 39 rocznicy wyzwolenia Łodzi. W tym roku nagrody otrzymali:

— **FELIKS BĄBOL** — wieloletni dziennikarz, przed wojną związany z „Echem" i „Kurierem Łódzkim", po wojnie współzałożyciel „Wolnej Łodzi", pracownik „Rzeczypospolitej", „Dziennika Łódzkiego", „Expressu Ilustrowanego", PAP i „Głosu Robotniczego", autor książek o Łodzi,

— **KRYSTYNA KOTEŁKO** — profesor dr habilitowany w Instytucie Mikrobiologii UŁ, wiceprzewodnicząca Komitetu Mikrobiologii PAN, członek Komitetu Immunologii PAN, autorka wielu naukowych publikacji,

— **ZBIGNIEW KUCHOWICZ** — profesor dr habilitowany, prorektor UŁ, historyk, działacz Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, autor popularnych książek historycznych,

— **JÓZEF KAROL LASOCKI** — profesor Wyższej Szkoły Muzycznej i Akademii Muzycznej, kompozytor pieśni chóralnych, popularyzator muzyki, autor podręczników dla szkół muzycznych i ogólnokształcących,

— **WŁADYSŁAWA MATUSZEWSKA** — harcmistrz, związana z ZHP od czasów przedwojennych, była komendantka Chorągwi Łódzkiej, instruktor harcerski, działaczka Komisji Historycznej przy Komendzie Chorągwi Łódzkiej,

— **JERZY MAZURCZYK** — rzeźbiarz, profesor PWSSP w Łodzi w latach 1945—1954, autor pomników łódzkich: Juliana Marchlewskiego, Juliana Tuwima, Stanisława Moniuszki, Wdzięczności Poległym Żołnierzom Radzieckim,

— **JÓZEFA PLUTA** — działaczka społeczna i kulturalna z Bychlewa koło Pabianic, współzałożycielka Zespołu Pieśni i Tańca „Bychlewianka",

— **ANTONI PRUSIŃSKI** — profesor, dr habilitowany, neurolog, twórca Ośrodka Leczenia Migreny przy Klinice Neurologicznej AM, członek Zarządu Światowego Towarzystwa Badań nad Bólami Głowy, autor wielu prac naukowych,

— **JERZY RUCIŃSKI** — profesor, dr habilitowany, współtwórca Katedry Technologii Kauczuków i Mas Plastycznych, dyrektor Instytutu Polimerów PŁ, członek Komitetu Nauk Chemicznych PAN, autor wielu prac naukowych,

— **LECH SOSNOWSKI** — magister ekonomii, działacz PTE, dyrektor SDH „Central" działacz polityczny,

— **STANISŁAW STEMPNIK** — magister inżynier, kierownik sekcji technologiczno-racjonalizatorskiej w ŁZR „Fonica", autor przeszło 480 projektów racjonalizatorskich,

— **KAZIMIERZ TRZNADEL** — pułkownik, profesor dr habilitowany, kieruje ośrodkiem sztucznej nerki WAM, szef Specjalistycznej Poradni Chorób Nerek dla Miasta Łodzi, członek wielu towarzystw naukowych

— **TADEUSZ SZYMAŃSKI, JADWIGA WAJS-MARCINKIEWICZ, IRENA POMAZ, NAPOLEON DURAJSKI** — zespół do spraw rehabilitacji przy Kole Dzieci Specjalnej Troski TPD w Pabianicach.

Wszystkim wyróżnionym nagrodami Miasta Łodzi serdecznie gratulujemy!

JAK CO ROKU

39 rocznicę wyzwolenia Łodzi uczczono uroczystym koncertem. W trakcie koncertu wręczono nadane przez Radę Państwa odznaczenia: Order Sztandaru Pracy II Klasy otrzymał **Klemens Kwiatkowski**, Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski — **Henryk Grenda**. Przyznano też Krzyże Oficerskie i Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski, a także Złote, Srebrne i Brązowe Krzyże Zasługi. Rada Narodowa Miasta Łodzi przyznała Honorowe Odznaki Miasta.

Gratulacje dla wyróżnionych!

W SKIERNIEWICACH

odbyła się Wojewódzka Konferencja Partyjna. Oceniła ona pracę organizacji partyjnych w minionej kadencji i przyjęła program działania na najbliższe dwa lata. I sekretarzem wybrano ponownie **Janusza Kubasiewicza**, sekretarzami zostali: **Krzysztof Klem, Józef Marchewa, Lech Nowacki, Franciszek Wirski.** Przewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej został **Andrzej Rudziński**, WKKP — **Marian Kurowski.**

23 stycznia 1984 roku obradowały wojewódzkie konferencje sprawozdawczo-wyborcze w Łodzi i Sieradzu.

A. B. SEKATOR

10 LAT KAW
OD ALBUMU DO „MASTER MINDA"

Co piąta książka (jeśli nie liczyć podręczników), jaka ukazała się na rynku krajowym w roku ubiegłym była sygnowana przez Krajową Agencję Wydawniczą, co zupełnie wystarczy, żeby KAW zaliczyć do większych w kraju potentatów wydawniczych. A przecież KAW to także plakaty, albumy, reprodukcje, foldery, pocztówki, kalendarze, płyty i kasety magnetofonowe, to wreszcie produkcja gier, jak choćby przebój rynkowy sprzed kilku lat — „Master mind".

Równie szeroka jest oferta KAW, jeśli idzie o zaspokajanie różnorodnych potrzeb czytelniczych: literatura społeczno-polityczna i piękna, reportaże i „kryminały", pamiętniki, komiksy i książki dla dzieci i młodzieży, wydawnictwa poświęcone sztuce, informatory i przewodniki turystyczne, czasopisma.

Dziesięcioletni dorobek Krajowej Agencji Wydawniczej prezentuje eksponowana w Łódzkim Ośrodku Kształcenia Ideologicznego wystawa. Z konieczności ekspozycja stanowi tylko „reprezentacyjną próbkę" produkcji kawowskiej, a i ta próbka robi wrażenie!

Krajowa Agencja Wydawnicza jest, poza wszystkim innym — dobrze prosperującym, dynamicznym przedsiębiorstwem. Tylko w ubiegłym roku dostarczyła, mówiąc językiem ekonomii, towaru na rynek za 4 miliardy 250 milionów zł. Jest chyba jedyną firmą wydawniczą dysponującą własnym sprzętem poligraficznym, jest także — jak mawia jej dyrektor i redaktor naczelny, Dobrosław Kobielski — firmą, która uzyskuje dewizy ze śmietnika. (za usługi poligraficzne wykonywane w Jugosławii KAW płaci eksportem makulatury).

Z bogatych planów KAW na najbliższe lata wyłowić można tak smakowite obietnice, jak publikacje trzytomowej edycji „Historii sztuki" Malraux czy produkcję... polskich klocków „lego"!

(kar)

PAMIĘCI LITERATÓW

Ilekroć mam pisać o twórcach odchodzących „w sen nieprzespany, w którym się nic nie śni" przychodzi mi na pamięć strofa tuwimowskiego wiersza, „że piękny to czas, kiedy nie trzeba wcale zmartwychwstawać, by dalej żyć".

Piszę o tym z okazji odsłonięcia, drugiej już w historii powojennej Łodzi, tablicy pamiątkowej na budynku oddziału Związku Literatów Polskich poświęconej twórcom, którzy tu niegdyś żyli i tworzyli. A nazwiska to znaczące, na trwałe wpisane w dzieje naszej kultury: KRYSTYNA BILSKA, STANISŁAW BRUCZ, LUCYNA KRZEMIENIECKA, STANISŁAW JERZY LEC, ZOFIA LORENTZ, LEON PASTERNAK, TADEUSZ PEIPER, HORACY SAFRIN.

Tablica ta, wmurowana w ścianę od strony alei Kościuszki ma swoją już historię. Inicjatywa należy do zarządu oddziału działającego przed 13 grudnia 1981 r., sfinalizowanie zaś do zarządu obecnego. Jest ona — jak to powiedział w czasie uroczystego jej odsłonięcia w dniu 20 stycznia br. Tadeusz Chróścielewski — chęcią „udziału w skromnym, ale jednym z koniecznych aktów przeciwdziałania owej, jakże groźnej w skutkach, skłonności zapominania, która jest swoistą duchową martwotą".

(J)

WIDZEWSKI RAJD

Koło Automobilklubu Łódzkiego działające przy Zakładach „Ema-Elester" zorganizowało z okazji rocznicy wyzwolenia Łodzi specjalny rajd samochodowy ulicami naszego miasta. Nie chodziło jednak o zwyczajny wyścig. W założeniu organizatorzy przewidzieli takie wytyczenie tras, by na ich przebiegu znajdowały się, albo zakłady pracy wybudowane po wojnie, albo ulice nosiły nazwy znanych polskich działaczy ruchu robotniczego. I tak, jeśli uczestnik przejeżdżał np. ulicą Przędzalniana, komisja mogła go zapytać na temat historii samych zakładów i ich udziału w strajkach organizowanych przez SDKPiL. Ci, którym wypadła trasa ulicą Promińskiego musieli wykazać się znajomością życia Jana Promińskiego. Przejeżdżający obok Prasowych Zakładów Graficznych mieszczących się przy ulicy Armii Czerwonej byli indagowani na temat ich powstania itp.

W rajdzie, mimo ograniczeń paliwowych, wzięło udział 26 pojazdów. Zwyciężył Włodzimierz Gabara, a zespołowo załoga z Klubu Motorowego z „Ema-Elester"

(IW)

Studenci i wykładowcy

Od odpowiedzialności nie ma odwołania...

Dokończenie ze strony 1

wadzonych od trzech lat wśród studentów kierunków humanistycznych. Wynikają z nich interesujące konkluzje. M.in. zauważalna jest rosnąca religijność młodzieży, zwłaszcza chłopców. Nastąpił pewien spadek zaufania do rządu oraz mała podatność na argumenty oficjalnej propagandy. Jeżeli w sprawach wojny i pokoju przytłaczająca większość opowiada się za pokojem światowym i rozbrojeniem (6 proc. za wojną), to w kwestii ustrojowej naszego kraju opinie są już zróżnicowane. I tak na pytanie: co dla przyszłości Polski byłoby lepsze — kapitalizm czy socjalizm?, 40 proc. respondentów opowiedziało się za socjalizmem. Reszta — albo nie ma własnego zdania, albo jest za kapitalizmem...

G. MATUSZAK: — Przy tym należy dodać, że wskazują oni na Szwajcarię i Australię jako na kraje, gdzie pragnęliby wyjechać. Wydaje się, że afirmują bardziej poziom, dodajmy wysoki poziom życia, zamożność kraju, niż ustrój. Poza tym sądzę, że inne są postawy deklarowane młodzieży, a inne faktyczne. Obserwowany wzrost religijności wiązałbym ze zorientowaniem się młodzieży na wartości personalistyczne, osobiste: udane życie rodzinne, szeroko pojmowane szczęście. Natomiast mniej dają się zaobserwować postawy prospołeczne.

„ODGŁOSY": — Tych kilka wybranych przykładów sondażu zmusza do poważniejszej refleksji nad poglądami i postawami młodzieży akademickiej. Rodzi to potrzebę stawiania dodatkowych pytań. I takie pytania w różnych środowiskach, przy rozmaitych okazjach są zadawane. Formułowane są opinie o szczególnej podatności środowisk akademickich na poglądy i zachowania opozycyjne. Są tacy, którzy oburzają się na fakt, iż w dalszym ciągu pracują na uczelniach, wychowują młodzież ludzie w przeszłości internowani i ci, którzy oddali legitymacje partyjne. Słyszymy pytania o to, jak zachowa się ta młodzież w momencie wchodzenia w życie dorosłe, już jako młoda inteligencja?

Czy są to zasadne, waszym zdaniem, pytania? Jakich udzielić można na nie odpowiedzi?

H. SCHOLL: — Myślę, iż tego rodzaju pytania rodzą się na gruncie pewnego stereotypu. Jeśli przyjmiemy, że w strajkach studenckich wzięło udział około 10 tys. młodzieży i doliczymy do tego rodziny, grupy przyjaciół, to otrzymamy, że zaangażowanych wokół tej akcji było wówczas w Łodzi około 150 tys. osób. Tak więc nie mówmy o wyizolowanej grupie młodzieży akademickiej, ale weźmy także pod uwagę wpływ tychże środowisk na postawy studentów. Zarówno studentów, jak i całego środowiska akademickiego nie można traktować jako swoistą wyspę w naszej społeczności, ani źródła, ani też azylu, schronienia poglądów i postaw opozycyjnych. Że tak nie jest, świadczyć może fakt, iż w momencie rozpoczęcia zajęć studenci solidnie przystąpili do swoich obowiązków. Podobną postawą wykazała się znakomita większość nauczycieli akademickich. Można też powiedzieć, że w sprawach dla uczelni najważniejszych osiągnięto już rzeczywiste porozumienie całego środowiska. Przy czym należy zaznaczyć, iż nie traktujemy idei porozumienia w sposób pasywny. Poszukujemy wciąż najlepszych sposobów wypełniania przez organizacje partyjną swojej aktywnej roli politycznej. Sądzę, że w minionej kadencji wysiłki te należy oceniać pozytywnie.

A. GRZEJDZIAK: — Podobnym zmianom, jakim ulegał układ i aktywność sił społecznych na uczelni, podlega środowisko studentów. Młodzież z doświadczeniami strajkowymi to dziś już studenci czwartego i piątego roku. Młodsi, poglądy na tamte wydarzenia wynieśli z domu, szkoły średniej, środowisk rówieśniczych. Zgadzam się jednak z tą oceną szczególnej niepodatności (zarówno jednych jak i drugich) na oficjalną propagandę, na oficjalną argumentację. Dopiero w rozmowach prywatnych stają się bardziej otwarci, gotowi do dialogu.

R. ZAWADZKI: — Wracając do wyników badań socjologicznych, sądzę, iż dają one obraz nie tyle postaw, ile stanu świadomości młodzieży. Może ona, i na pewno będzie ulegała zmianom, zależnie od wielu czynników, w tym i rozwoju ogólnej sytuacji. Dodajmy, iż w nie tak znów odległym czasie dokonywano na świadomości studentów, tak jak i całego społeczeństwa, nieprawdopodobnych manipulacji. Studentom było szczególnie trudno przeciwstawiać tym działaniom innego typu argumenty lub doświadczenia. Postawy te jednak ulegają racjonalizacji, choć faktem pozostaje szczególne zapatrzenie młodych ludzi na Zachód. W Akademii Medycznej widać to wyraźnie.

Czy istnieją możliwości wpływu partii na zmianę dotychczasowych postaw? Opracowywane są w tym względzie rozmaite programy. Mają one, moim zdaniem, wciąż nazbyt werbalny charakter. Trzeba, aby proces wychowawczy był więcej niż dotąd wprzęgnięty w całokształt działania uczelni. Musi się on odbywać w klimacie wysokich wymagań, przyzwoitych warunków pracy szpitali, właściwego traktowania pacjenta itp. Jednym słowem — prawidłowego funkcjonowania uczelni.

G. MATUSZAK: — Dodajmy w tym miejscu jeszcze jedno: — mówienie, iż studentów, ich postawy i poglądy kształtuje jedynie uczelnia, jest wielkim uproszczeniem. Oni przychodzą na uczelnię w dużej mierze już ukształtowani przez szkołę. Na ich świadomość ma wpływ cały kontekst społeczny, w którym żyją: rodzina, środowisko... Studenci są częścią naszej społeczności, choć reagują bardziej wyraziście na zachodzące wokół nas zjawiska. Ich postawy są symptomem nastrojów panujących wśród całej młodzieży, w tym również robotniczej.

„ODGŁOSY": — Zadać można kolejne pytanie: na ile, w jakim stopniu na aktualnej postawie studentów ciąży poczucie, iż było się przedmiotem manipulacji politycznej? Czy świadomość tego istnieje? Z drugiej strony, czy studenci potrafią już sobie odpowiedzieć na pytanie: jak dalej żyć z tym bagażem doświadczeń? I wreszcie: jak odciska się na ich postawach dość powszechne odczucie braku perspektyw?

H. SCHOLL: — Na naszej konferencji został poruszony wątek związany z poczuciem braku perspektyw. W poszukiwaniu rozwiązań doraźnych obserwujemy preferencje dla pracy prostej i to w sposób rażący w stosunku do pracy wysoko kwalifikowanej. Stąd wynika pewne zniechęcenie do zdobywania wyższego wykształcenia i gruntownej wiedzy. Taka sytuacja za lat kilka może stworzyć bariery dalszego naszego rozwoju w kierunku budowy nowoczesnego społeczeństwa.

Dalsza pauperyzacja średniej inteligencji także będzie antybodźcem dla postaw pozytywnych, a tym samym i argumentem na rzecz owego poczucia braku perspektyw. Symptomem nowej sytuacji są trudności w wypełnianiu limitów przyjęć na studia wyższe.

R. ZAWADZKI: — Poczucie tzw. braku perspektyw u studentów — jak by tego faktu nie oceniać — jest swego rodzaju naturalnym odruchem na nasze historyczne doświadczenia. Mieliśmy już w przeszłości kilka kryzysów i sporo prób naprawy błędów, prób nie zawsze udanych. A równocześnie studenci, jak duża część społeczeństwa, w ogóle nie potrafią przyjąć za pewnik, że powrotu do sytuacji sprzed sierpnia 1980 roku w Polsce być już nie może i nie ma. Po prostu nie pozwalają na to obiektywne warunki społeczne.

G. MATUSZAK: — Powiedzmy jednak jednoznacznie — stawianie siebie przez ludzi w wieku około dwudziestu lat w sytuacji braku perspektyw jest nieporozumieniem. Życie jest jeszcze przed nimi i wiele do dokonania w nim. Faktem jest, że te możliwości relatywnie są ograniczone przez sytuację kraju, ale istnieją, są szansą dla każdego.

„ODGŁOSY": — Czy rzeczywiście wszyscy jednakowo są przekonani, że nie ma powrotu do starych metod kierowania życiem społecznym? Tu i ówdzie słyszy się przecież przekorne: Wraca „nowe". Czy tego młodzi nie słyszą?

Inny przykład. Uczniowie ostatnich klas licealnych nierzadko nie mogą odpowiedzieć na pytanie: co dalej? Czy nie musi zastanawiać nieumiejętność dania odpowiedzi w sprawie własnej przyszłości ludzi jeszcze bez zawodu?

H. SCHOLL: — Przykład jest dobry, aczkolwiek źle wybrany. Decyzje o przyszłości w tej sprawie, o której mówimy, podejmuje się pierwotnie pod koniec podstawówki. Wtedy młody człowiek i jego rodzina wybierają zawód, a więc i swoją drogę życiową. Do szkół ogólnokształcących idą częściowo ci, którzy nie zdecydowali się na trudną zawodową szkołę średnią i jeszcze nie wiedzą, co z sobą zrobić. A bywa i tak, że przyszły maturzysta też jeszcze nie jest ostatecznie zorientowany, zdecydowany, nie bardzo wiedzący czego chce.

M. BARTOSIK: — Nasza dyskusja utknęła chyba trochę w ślepym zaułku. Wygląda na to, że poszukujemy sensu życia dla młodych bez ich udziału. Przy okazji operujemy pewnymi stereotypami. Bowiem, kiedy mówiliśmy o strajkach, zapomnieliśmy dodać, że najpierw był strajk, a potem dorabiano postulaty; zapominamy o tym, że strajk zaczął się w Uniwersytecie, zaś pozostałe były jedynie solidarnościowe. Stąd przez kilka pierwszych dni studenci nie mieli właściwie pojęcia, dlaczego, o co strajkują. Reszta była manipulacją, niezależnie od tego, czy ktoś potrafi lub nie dzisiaj się do tego przyznać. Jeśli chodzi o wybór drogi życiowej, kierunku kształcenia, szkoły wyższej, to zgadzam się z opinią, iż dokonuje się on na długo przed maturą. Na studia zdają głównie absolwenci szkół ogólnokształcących, a te jak wiadomo nie cieszą się dziś taką popularnością, zwłaszcza w rodzinach robotniczych i chłopskich, jak szkoły zawodowe. A cóż na to wpływa, jeśli nie aktualnie preferowany w tych domach społeczny system wartości i obecna pozycja inteligencji? Z jednej strony narzekamy, że mamy nieprawidłowy skład socjalny studentów, z drugiej zaś niewiele nam się udaje zrobić dla propagowania pożądanego systemu wartości i nadania właściwej pozycji społecznej (w tym i ekonomicznej) inteligencji. Natomiast próbuje się w kolejnych projektach systemu rekrutacji korygować te mankamenty za pomocą tzw. punktów preferencyjnych, chociaż przeciw nim w konsultacjach wypowiedzieli się przedstawiciele władz szkół wyższych, administracji, kuratoria, organizacje społeczne, etc. W dawnym projekcie, który mam przed sobą, proponuje się wobec tego następujące rozwiązanie: przyjąć na studia wszystkich kandydatów pochodzenia robotniczego i chłopskiego oraz sieroty i wychowanków domów dziecka po zdaniu egzaminu wstępnego bez dalszego postępowania kwalifikacyjnego. Moim zdaniem jest to bardzo kontrowersyjna propozycja. Argumenty typu, że nikt właściwie na tym nie ucierpi, bo w skali kraju liczby chętnych na studia i miejsc na uczelniach się bilansują, są jedynie półprawdami. Zawsze bowiem będą istniały kierunki mniej i bardziej atrakcyjne. W przypadku tych drugich preferencje tak bezwzględne będą odgrywały istotne znaczenie. Nawet prymusi mogą być wówczas eliminowani. Przez znaczną część młodzieży może to być uważane za naruszenie zasady sprawiedliwości społecznej.

G. MATUSZAK: — Warto podkreślić, iż sprowadzenie roli uczelni jedynie do roli szkół zawodowych, a szczególnie uniwersytetów, jest nieporozumieniem. Wykształcenie typu humanistycznego jest wartością samą w sobie, której potrzebę rodzą aspiracje, ambicja młodych ludzi. Jest to w końcu to, o co winno nam chodzić, a więc, aby ludzie byli zorientowani nie tylko „na mieć", ale i „być". System preferencji, punktów jest, jak sądzę, daleko idącą ingerencją w tego typu swobodne wybory.

R. ZAWADZKI: — Dla pełności obrazu musimy dodać, iż punkty preferencyjne decydowały o przyjęciu na studia lub też nie osób, które zdawały słabiej. Czyli różnice między przyjętymi dzięki punktom i nie zakwalifikowanymi w sensie intelektualnym nie były znaczące. Zdolny kandydat zawsze się na studia dostał.

A. GRZEJDZIAK: — Rozwiązanie tego problemu wydaje się być w zasadzie proste — należy uczynić wszystko, co jest dziś możliwe, aby wyrównywać poziom szkół średnich, a więc tym samym stworzyć rzeczywiste szanse równego startu młodzieży z różnych środowisk. Możemy uzyskać ten cel zwiększając wymagania w stosunku do nauczycieli tych szkół. To po pierwsze. Po drugie zaś — będziemy umacniać społeczny autorytet, rangę nauczyciela, inteligenta. I w tym momencie kółko w naszej dyskusji się zamyka.

R. ZAWADZKI: — Bądźmy jednak realistami: nie ma dziś tak rozumianego równego startu i prędko nie będzie. Nie oszukujmy się i przyznajmy, iż przyszłość młodych w znacznym stopniu zdeterminowana jest pochodzeniem. Aktualne pozostaje zatem pytanie: dlaczego przekrój społeczny w naszym kraju ma się w zasadzie nijak do składu socjalnego środowiska akademickiego? Jak i pytanie, które zadał kiedyś w Sejmie prof. Rachwalski: Czy w dalszym ciągu w Polsce będzie tak, że tylko jedna warstwa będzie się reprodukowała w dziedzinie wykształcenia wyższego?

M. BARTOSIK: — Zgoda. Musimy sobie jednak wyraźnie powiedzieć, że te podziały, o których mówimy, dokonują się nie w momencie egzaminów do uczelni, ale o szczebel niżej, w momencie wyboru szkoły średniej.

„ODGŁOSY": — Co do tego jesteśmy chyba zgodni, jak i w tym, że przyczyn tego zjawiska jest wiele, mogłyby one stanowić temat osobnej rozmowy. Powróćmy zatem do głównego nurtu naszej dyskusji. Wcześniej wspomnieliśmy o tym, iż czasami środowiska akademickie pomawia się o to, iż są szczególnie podatne na poglądy krytyczne, czy wręcz opozycyjne. Czy to jest prawda?

G. MATUSZAK: — Słuszny o tyle, że w środowisku intelektualistów, w środowisku akademickim, szczególnie przedstawicieli nauk społecznych, ludzie posiadają większą łatwość w formułowaniu swoich przemyśleń dotyczących spraw państwa, ustroju, artykulacji krytyki. Stąd w tych środowiskach, częściej niż w innych, pojawiają się różnego typu wątpliwości, pytania. Obok nich występują także poglądy opozycyjne czy nawet wrogie, jak w każdym środowisku.

Uczelnie zawsze były najbardziej niespokojnymi środowiskami, w sensie wątpienia, zadawania coraz nowych pytań. Wynika to trochę z funkcji uczonego. Ma on obowiązek wątpić, pytać i szukać coraz to nowych odpowiedzi na zmieniającą się rzeczywistość. Że czasami tego typu poszukiwania idą w zdecydowanie złą stronę, to jest fakt. Z tymi zjawiskami my, partyjni pracownicy uczelni, powinniśmy polemizować. Uważam, że nie należy tragizować, jeśli pojawiają się na uczelni poglądy opozycyjne, ale jest bardzo źle, jeśli nie spotykają się one ze skuteczną polemiką.

H. SCHOLL: — Niejednokrotnie eksponuje się jednostkowe przykłady nagannych postaw i przenosi się opinie na całe środowisko, generalizuje się w oparciu o przykłady incydentalne. Stąd te poglądy, o których tu mówimy. Jeśli w uczelni jest dla przykładu około 3 tys. pracowników, a wśród nich krzykliwych opozycjonistów 30, to się oczywiście dostrzega, a jest to ledwie jeden procent.

R. ZAWADZKI: — Sądzę, że nie tak znów ważne jest dyskutowanie na temat: czy szkoły wyższe są miejscem rodzenia się postaw i poglądów opozycyjnych, czy też nie, istotnym wydaje mi się to, że zaczynamy wreszcie nazywać rzecz po imieniu. Należy jeszcze zadbać o to, aby zachować w ocenach właściwe, sprawiedliwe proporcje. Czy przed sierpniem opozycji na uczelniach nie było? Oczywiście, że była, tyle tylko, że po wydarzeniach 1980 roku ona się ujawniła, stała się bardziej agresywna. Dlatego dziś istnieje potrzeba większej aktywizacji w jej zwalczaniu metodami politycznymi. To zadanie muszą wziąć na siebie członkowie partii. Organizacje partyjne winny tworzyć właściwy klimat dla odpierania argumentów opozycji, m.in. przez wymaganie przestrzegania ustawy o szkolnictwie wyższym, zwalczanie wszelkich nieprawidłowości. Szczególnie ważna jest dbałość o jawność życia społeczno-politycznego.

H. SCHOLL: — Dla właściwego klimatu pracy na uczelni niezbędne jest poczucie bezpieczeństwa tej pracy. Rozumiem przez to właściwe warunki dla pracy dydaktycznej, wychowawczej i naukowej, jasno określone kryteria ocen rozwoju naukowego pracowników, preferencji dla dobrych szkół naukowych. Nauka nie znosi nazbyt gwałtownych i częstych zmian w systemie jej zarządzania, w rozwiązaniach modelowych. Mówiliśmy o tych sprawach również na naszej konferencji. W stanowisku przesłanym do Wydziału Nauki KC PZPR, do zajęcia którego upoważnili nas delegaci, zawarliśmy nasze zaniepokojenie co do planowanych zmian w systemie sterowania nauką i finansowania badań, nieprecyzyjnymi na ten temat informacjami. Jeśli ustawa o szkolnictwie wyższym nakłada obowiązek rozwoju naukowego pracownikom szkół wyższych to nie może inna ustawa odbierać szans na ten rozwój.

M. BARTOSIK: — Bez dobrej, na wysokim poziomie uprawianej nauki nie może być mowy o prawidłowym kształceniu kadr dla gospodarki narodowej. W uchwale IX Zjazdu jednoznacznie mówi się o tym, aby dążyć do integracji środowiska naukowego oraz przełamywania sztucznych barier między PAN a szkolnictwem wyższym oraz instytutami resortowymi. W dokumencie tym mówi się także o potrzebie radykalnego odbiurokratyzowania systemu zarządzania, finansowania oraz planowania badań naukowych. Tymczasem projektowane rozwiązania wprowadzają nowy, ponadresortowy organ administracji państwowej i mogą mieć wpływ dezintegrujący na środowisko nauki. Oznaczać to może poważne straty dla nauki w przyszłości. Musimy mieć tego świadomość. Niepokój budzi także sposób prowadzenia prac nad tymi problemami. Komitet Centralny swymi uchwałami określił zasady społecznej konsultacji. W wyższych uczelniach zatrudnionych jest około 5 proc. samodzielnych pracowników nauki, tymczasem środowisko to zostało praktycznie dotychczas pominięte w konsultacjach zagadnień tak ważnych dla przyszłości nauki i szkolnictwa wyższego. W liście do I sekretarza KC PZPR stwierdziliśmy wręcz, iż nieznajomość projektu i faktyczne pozbawienie środowiska wyższych uczelni możliwości wypowiedzenia się w tej sprawie ma już obecnie zły wpływ na sytuację polityczną w nim panującą. Stwierdzono to m.in. na konferencjach sprawozdawczo-wyborczych w UŁ i PŁ. W łódzkich uczelniach projekt ten prawdopodobnie ma być w efekcie dyskutowany. Uważam, że nie należy się z tym śpieszyć i trzeba wyjątkowo wnikliwie przedyskutować i uwzględnić wszystkie możliwe konsekwencje proponowanych zmian, gdyż mogą one ciążyć na nauce przez wiele, wiele lat.

„ODGŁOSY": — Czy w kontekście tego przykładu możemy mieć niewzruszoną pewność, że obiektywne przesłanki uniemożliwiające powrót do starych metod sprawowania władzy są już dostatecznie skuteczne.

G. MATUSZAK: — Myślę, że nigdy nie możemy mieć pewności, iż nie będzie regresu w życiu społecznym. Uważam jednak, że jako partyjni nauczyciele akademiccy winniśmy w każdym przypadku bronić racjonalnych, obiektywnie słusznych interesów całego naszego środowiska.

„ODGŁOSY": — Jest to wykładnia sposobu pojmowania i formułowania zadań dla organizacji partyjnych w środowisku uczelnianym?

G. MATUSZAK: — Oczywiście. Warto dodać, iż środowisko partyjne w łódzkich uczelniach, to jest blisko 2 tysiące członków skupionych w 38 POP na wydziałach.

M. BARTOSIK: — Jak dotąd mówimy głównie o działalności partii wśród pracowników, a przecież naszą polityczną aktywność kierujemy również do studentów. Dziś sprawą najistotniejszą jest znalezienie skutecznych form stałego kontaktu ze studentami. Celu tego, trzeba przyznać, jeszcze nie osiągnęliśmy, co nie oznacza, iż kontaktu organizacji partyjnych z młodzieżą nie ma.

G. MATUSZAK: — Symptomem nowego zjawiska może być fakt, iż w ciągu ostatnich dwu lat w szeregi PZPR, na przykład w UŁ wstąpiło 18 studentów.

H. SCHOLL: — Powstało akademickie koło ZSMP...

M. BARTOSIK: — Natomiast w związku z dużą stabilnością kadr naukowych możliwości wzrostu organizacyjnego PZPR są w uczelniach dość ograniczone. Jak dotąd w pracy politycznej z młodzieżą w Politechnice Łódzkiej brakuje sojusznika i partnera w postaci ZSMP.

R. ZAWADZKI: — Przy tym należy podkreślić, iż organizacja partyjna jest integralną częścią uczelni. PZPR nie ma w swojej działalności własnych celów, które nie byłyby celami uczelni państwowej. Partia żadnych własnych interesów nie posiada.

M. BARTOSIK: — Poważną trudnością w naszym codziennym działaniu jest na pewno to, iż jako polityczna siła kierownicza musimy także zabiegać o poparcie środowiska dla decyzji niepopularnych, trudnych. Nierzadko wtedy mamy do czynienia z sytuacją konfliktową. Jednakże z obowiązków wynikających z naszej roli w społeczeństwie nikt nas nie zwolni.

Opracował:
KAROL JÓZEF STRYJSKI

W rocznicę powstania styczniowego

Łódzki styczeń 1863

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Podczas powstania listopadowego (1830/1831) Łódź, przeszło pięciotysięczne miasto przemysłowe, nie odegrała większej roli. Ludność składała się w znacznej mierze z obcych przybyszów, ściągniętych perspektywą szybkiego dorabiania się majątku. Żyli oni pochłonięci swoimi interesami, natomiast powstanie zrywało kontakt z chłonnym rynkiem Cesarstwa, nakładało dodatkowe obowiązki materialne, wymagało zaangażowania się politycznego w sytuacji, kiedy nie czuli się jeszcze, pomimo przywilejów materialnych, członkami narodowej wspólnoty Królestwa.

Lęk o przyszłość, nieznajomość celów powstania, obcość językowa, obawa przed poborem do wojska sprawiały, że przedsiębiorcy i rzemieślnicy obcego pochodzenia zajęli postawę wyczekującą, a władze miejskie wręcz niechętną.

Bliżsi powstaniu byli czeladnicy i wyrobnicy, drobni urzędnicy, nieliczna inteligencja polskiego pochodzenia. Z ich szeregów wywodzili się ochotnicy do wojska narodowego, oni zapełniali szeregi terytorialnej Gwardii Ruchomej. Z nakazu władz rzemieślnicy i przedsiębiorcy pracowali na rzecz powstańczego zaplecza materialnego. Część rzemieślników natomiast wykonała dla wojska nieodpłatnie potrzebne wyroby, a część złożyła dobrowolne ofiary pieniężne na rzecz powstania.

Kiedy latem 1831 r. powstanie zaczęło się chylić ku upadkowi, wtedy ujawniła się wroga postawa znacznej części osadników pochodzenia niemieckiego. W lipcu delegacja, na czele której stał przedsiębiorca Wilhelm Kopisch złożyła w dowództwie wojsk carskich wiernopoddańczy adres i propozycję współdziałania w uśmierzeniu „buntu". W ciągu powstania, cały czas zdecydowanie wrogą postawę zajmował pastor Fryderyk Metzner.

Zupełnie inne stanowisko wobec walki narodowowyzwoleńczej zajęła Łódź w 1863 roku. Wzrosła ona do rangi czterdziestotysięcznego miasta przemysłowego. Niemcy stanowili ponad 40 proc. ludności, Polacy 36 proc, Żydzi około 20 proc., a reszta przypadała na inne narodowości (głównie Rosjanie). Część młodzieży niemieckiej uległa polonizacji, zwłaszcza jeśli chodzi o rzemieślników i robotników wyznania katolickiego.

Łodzi nie ominęła fala nastrojów patriotycznych 1862 roku. Podobnie, jak na terenie powiatów sąsiadujących z Łodzią w mieście powstała organizacja narodowa. Naczelnikiem ogniwa łęczycko-łódzkiego był lekarz łęczycki Józef Dworzaczek. Naczelnikami miasta Łodzi byli kolejno: Ignacy Radziejowski — urzędnik, Józef Zajączkowski — fotograf, Jan Cichocki — rejent, wreszcie farmaceuta Roman Stencel.

O działalności organizacji powstańczej na terenie Łodzi przed wybuchem powstania mamy bardzo skąpe wiadomości. Oprócz akcji propagandowej, prowadzono zbiórkę funduszy. Od października egzekwowano „podatek narodowy". Podjęto w niewielkich rozmiarach szkolenie wojskowe spiskowców, głównie w zakresie znajomości regulaminów walki, musztry, szermierki i znajomości zasad wojny partyzanckiej.

Na krótko przed powstaniem zaczęto kupować i gromadzić broń i proch, a także wyrabiać we własnym zakresie kosy, lance i szable. Efekty tej działalności nie były wielkie, a termin wybuchu zaskoczył organizację łódzką. Termin wyznaczono ze względu na zarządzoną „brankę" (przymusowy pobór do wojska patriotycznej młodzieży, także nie objętej spisami poborowymi).

W nocy z 15 na 16 stycznia 1863 r. dokonano w Królestwie branki do wojska carskiego. Młodzież uprzedzona przez organizację narodową przeważnie schroniła się w lasach Nikłe były wyniki branki w Łodzi. Natomiast wokół miasta ukrywali się młodzi ludzie, czekając na rozkaz do wystąpienia. Cofnięcie terminu wybuchu było niemożliwe.

W nocy z 22 na 23 stycznia w wielu punktach Królestwa doszło do wystąpień zbrojnych. Równoczesność akcji tak dalece przeraziła carskie władze administracyjne i dowódców wojskowych, że ocenili siły powstańcze jako wielokrotnie większe od rzeczywistych. Zaczęto więc koncentrować oddziały wojskowe w większych ośrodkach administracyjnych i rozlokowywać je wzdłuż linii komunikacyjnych. Ten okres swoistego „zacisza" wykorzystali powstańcy także do koncentracji i podjęcia wojny podjazdowej.

Okres bezpośrednio po wybuchu powstania upływał w Łodzi w spokoju, ale i pełnym pogotowiu organizacji narodowej. 27 stycznia załoga wojskowa stacjonująca w Łodzi udała się do Łęczycy, a wówczas naczelnik miasta zarządził koncentrację ochotników.

Wieczorem 31 stycznia powstańcy z Łodzi i okolicznych miejscowości zgromadzili się w lesie na Radogoszczy. Przeważali robotnicy fabryczni i rzemieślnicy, była także licząca paręset osób grupa chłopów oraz nieco drobnej inteligencji i szlachty. Jednakże w całości ów łódzki oddział miał charakter zdecydowanie robotniczo-drobnomieszczański.

Sformułowano dwie kompanie, strzelecką i kosynierską. Ksiądz Józef Czajkowski odczytał Manifest Rządu Narodowego i dekret o uwłaszczeniu chłopów. Ochotnicy złożyli przysięgę, po czym odbyło się uroczyste wręczenie sztandaru z napisem: „Całość-Wolność-Niepodległość". Około północy oddział w szyku wojskowym ze śpiewem pomaszerował do Łodzi.

Robotnicy, wyrobnicy, rzemieślnicy wylegli na ulice. Fabrykanci i administracja fabryczna zabarykadowali się w swych rezydencjach, czekając w strachu rozwoju wydarzeń. Przed kościołem zgromadził się tłum. Powstańcy przybili na drzwiach ratusza tekst Manifestu, zdarli carskiego orła i śpiewając pieśni narodowe pomaszerowali do siedziby niemieckiego towarzystwa strzeleckiego. Skonfiskowali tam 72 strzelby, zapas prochu i kilkanaście sztuk broni białej. W banku skonfiskowali 18.000 rubli i 1 lutego około 4 rano opuścili miasto, udając się w stronę lasów rossoszyckich (Sieradzkie), gdzie miał znajdować się oddział Józefa Oxińskiego.

Niedaleko wsi Wronowice oddział łodzki wpadł w zasadzkę i został rozbity. Część powstańców wróciła do Łodzi, Pabianic i Zgierza, część przedarła się do Oxińskiego lub dołączyła do innych oddziałów operujących w Kaliskiem, Piotrkowskiem, a nawet w Górach Świętokrzyskich.

Niezależnie od oddziału „miejskiego" Józef Sawicki sformował oddział w lasach łagiewnickich. Obozował on przez pewien czas koło Zgierza. Oddział ten miał charakter plebejski, grupował robotników, czeladników, wyrobników.

Działalność Sawickiego niepokoiła prawicę powstańczą, która obawiała się „czerwieńca". Na skutek intryg i interwencji ziemian został on pozbawiony dowództwa, a komendantem oddziału został łęczycki lekarz Józef Dworzaczek, gorący patriota, ale nie posiadający kwalifikacji wojskowych.

Około dwu tygodni obozował on w lasach między Zgierzem i Strykowem i przeprowadził tylko dwie akcje lokalne. Oddział Dworzaczka liczył około 500 ludzi. Jedną trzecią stanowili mieszkańcy Łodzi.

Pod naciskiem podkomendnych w drugiej połowie lutego Dworzaczek zdecydował się na aktywne działania. Wbrew zasadom wojny partyzanckiej manifestacyjnie przemaszerował przez Brzeziny, Stryków i Zgierz witany przez ludność; organizował tam zebrania o charakterze patriotycznym.

22 lutego oddział Dworzaczka wkroczył do Łodzi. Ludność wyległa na ulice. Doszło do wzruszających scen bratania się powstańców z mieszkańcami. Duchowieństwo brało udział w manifestacjach, a oddział otrzymał sztandar wyhaftowany przez łódzkie kobiety i uroczyście poświęcony przez proboszcza.

Z Łodzi Dworzaczek ponownie pociągnął w okolice wsi Dobra. Przemarsz powstańców miał wpływ moralno-propagandowy, ale zdekonspirował znaczną jednostkę zbrojną. Zaalarmowany garnizon w Piotrkowie Trybunalskim przystąpił do akcji likwidacyjnej.

24 lutego powstańcy i wojska carskie zetknęły się pod Dobrą. Pomimo bohaterskiej postawy źle uzbrojonych i jeszcze gorzej wyszkolonych ochotników doszło do nierównej walki. Zginęło około 70 powstańców, drugie tyle było rannych. Lżej ranni, którzy uniknęli niewoli, byli przechowywani przez okolicznych mieszkańców.

Według kartoteki powstańców łódzkich sporządzonej przez Ludwika Waszkiewicza wśród poległych pod Dobrą zidentyfikowano 17 łodzian, wśród nich szlachciankę, żonę nauczyciela Marię Piotrowiczową. Jej mąż Konstanty zmarł na skutek odniesionych ran.

W bitwie pod Dobra około 80 powstańców dostało się do niewoli. Oddział uległ całkowitej zagładzie. Niedobitki przyłączyły się do innych partii powstańczych.

W marcu z upoważnienia Rządu Narodowego, odsunięty przez Dworzaczka Sawicki, ponownie zorganizował oddział łódzki w okolicach Strykowa. Sawicki okazał się doskonałym partyzantem i działał do sierpnia. Oddział po stracie Sawickiego uległ likwidacji, a żołnierze w znacznej części zasilili inne partie powstańcze.

Jesienią 1863 r. nasiliły się represje i wzrosła aktywność wojska w regionie łódzkim. Lasy podłódzkie przestały być schronieniem dla powstańców. Została rozbita łódzka organizacja cywilna. Naczelnik miasta Zajączkowski musiał uciekać do Galicji. Ksiądz Czajkowski do września walczył w oddziale Skowrońskiego, Ignacy Radziejowski, aresztowany w sierpniu, został rozstrzelany w lutym 1864 roku.

Do Łodzi wprowadzono stały garnizon wojskowy, a także mianowano policmajstra, który podlegał naczelnikowi wojennemu. Prowadzenie działań w rejonie Łodzi zostało uniemożliwione od jesieni 1863 roku. Natomiast sporo łodzian brało udział w oddziałach walczących w Kaliskiem i Kieleckiem. Czeladnik farbiarski Anastazy Bittdorf, uczestnik pierwszego oddziału łódzkiego, był później instruktorem i setnikiem w partii Skowrońskiego.

Stosunkowo liczny udział łódzkich czeladników, wyrobników i drobnych rzemieślników także i niemieckiego pochodzenia (w drugim już pokoleniu) świadczy o patriotyzmie ówczesnych grup najbardziej eksploatowanych. Łączyli oni z walką powstańczą wizję sprawiedliwego, niepodległego Państwa Polskiego.

Charakterystyczny dla Łodzi jest skład organizacji narodowej miasta. 59 proc. stanowili w niej wyrobnicy i robotnicy. W Zgierzu 49 proc. stanowiły grupy plebejskie, przy tym w tej kategorii uczestników widzimy zarówno Polaków, jak i Żydów oraz Niemców, natomiast fabrykanci i przedsiębiorcy obcego pochodzenia zajmowali wrogą postawę wobec polskiej walki narodowowyzwoleńczej.

Tradycje czerwonej, robotniczej i patriotycznej Łodzi sięgają więc okresu przed powstaniem zorganizowanego ruchu robotniczego.

■

...i nikt nie mówił o patriotyzmie

Dokończenie ze strony 1

maniu Niemców sprowadził na ich tereny polskie wojsko, polskie mundury... Przenieśliśmy się więc z żoną na Chojny, do domu moich rodziców.

— W jaki sposób znalazł się pan w konspiracji?

— Kiedyś przypadkiem spotkałem jednego z organizatorów konspiracji w Łodzi i on mnie właśnie w to wprowadził. Znałem zresztą jeszcze sprzed wojny wielu ludzi, którzy zaraz po wkroczeniu Niemców zajęli się tworzeniem konspiracyjnych organizacji. Niektórzy z takim też właśnie zadaniem zostali w mieście, bo przecież już wcześniej przewidywano i taką możliwość.

— Co to byli za ludzie?

— Dawni POW-iacy, legioniści, kadra Związku Strzeleckiego, kobiety z przysposobienia wojskowego, itp. To oni jeszcze przed wybuchem wojny stworzyli Komitet Obywatelski, który powołał z kolei Milicję Obywatelską na czele z Józefem Wolczyńskim.

Można więc śmiało powiedzieć, że konspiracja w Łodzi zaczęła się od pierwszego dnia wojny i trwała do samego wyzwolenia, mimo licznych aresztowań i represji. A pierwsze aresztowania zaczęły się już w listopadzie 1939 roku. Jak wynika z dokumentów niemieckich, hitlerowcy spodziewali się, że m.in. dawni POW-iacy będą działać i dlatego zastosowali aresztowania, jako środek zapobiegawczy. Być może wiedzieli już coś nawet o konkretnych działaniach. Trudno się temu zresztą dziwić. Ludność niemiecka stanowiła w przedwojennej Łodzi niemały procent. Od początku nie brakowało szpiclów i donosicieli. Poza tym ta pierwsza konspiracja bardzo różniła się od późniejszej. Nie było przecież jeszcze wypracowanych metod działania, nikt właściwie nie wiedział, jak należy to robić. Wciąż pamiętano pierwszą wojnę, powstanie legionów... Chciano działać w podobny sposób, czyli na pół legalnie. Ale były to już zupełnie inne czasy, inne stosunki między okupantem a ludnością polską. Nie zdawano sobie dobrze sprawy, do czego zdolni będą hitlerowcy. I chyba głównie dlatego ci pierwsi konspiratorzy musieli zapłacić życiem.

— Ale przecież ofiara życia, jaką złożyli Ojczyźnie, nie poszła na marne. Po nich przyszli następni...

— Tak. W listopadzie pojawia się w Łodzi pierwsza gazetka konspiracyjna — „Wiadomości Polskie", które drukuje Stanisław Miłek. Spontanicznie zaczynają powstawać różne grupy i organizacje, które później podporządkowały się Służbie Zwycięstwu Polski. Do tej działalności aktywnie włączają się kobiety. Jedna z nich, Janina Bredelówna, przed wojną komendantka Przysposobienia Wojskowego Kobiet na Łódź, jak wiele łódzkich kobiet znalazła się we wrześniu w Warszawie. Tam skontaktowała się ze swoimi przełożonymi, którzy powiadomili ją, że po powrocie do Łodzi ktoś się do niej zgłosi. I rzeczywiście, pod koniec października zjawia się u niej — Leopold Okulicki, wyznaczony przez SZP w Warszawie na komendanta Okręgu Łódzkiego.

Okulicki, który pochodził z krakowskiego i w ogóle nie znał Łodzi, przyjechał tu z Tomaszem Fijałkowskim, którego musiał poznać w Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie, gdzie był wykładowcą. A ponieważ Fijałkowski był łodzianinem, pomagał mu w nawiązaniu kontaktów z działaczami konspiracji oraz nowymi ludźmi. Celem tego było stworzenie sztabu, dowództwa łódzkiej konspiracji. I Okulickiemu to się udało, chociaż — jak już wspomniałem — fale aresztowań rozbijały wciąż te struktury, które trzeba było odtwarzać lub tworzyć zupełnie na nowo.

— Powiedział pan, że na początku istniało wiele grup konspiracyjnych. Warto chyba je trochę bliżej przedstawić...

— Tak. Istniała na przykład Polska Organizacja Bojowa, którą zorganizował Henryk Bartosiewicz — aresztowany w czerwcu 1940 roku, jak zresztą wielu członków POB, co doprowadziło do prawie całkowitego rozbicia tej organizacji. Ci, którzy ocaleli, pozbierali się jakoś i nawiązali współpracę z Polską Organizacją Zbrojną, podlegającą rządowi Sikorskiego, i zostali potem właśnie do POZ wcieleni. Dowódcą POZ w Łodzi był wtedy Fabian Urbaniak, wkrótce również schwytany przez Niemców. I znów masa aresztowań, proces we Wrocławiu, a w 1942 roku ostateczne rozbicie organizacji. Resztki zostały później wcielone do Armii Krajowej i to właśnie w południowej Łodzi, gdzie ja dowodziłem grupami sabotażowo-dywersyjnymi. W innych dzielnicach POZ-owców nie było, a w każdym razie ja o tym nie słyszałem.

Była Legia Narodowa założona przez Romana Sampłowskiego, po którym dowództwo przejął Jan Libsz, ps. „Kruk", volksdeutsch, co dawało mu duże możliwości działania, gdyż chodził nawet, zdaje się, w hitlerowskim mundurze. Pochodził ze Zduńskiej Woli, gdzie jego ojciec, czujący się Polakiem ewangelik, miał jakąś małą fabryczkę. Ale i on został aresztowany w 1944 roku. Zamordowano go w czasie śledztwa.

Istniała grupa POW-39, o której członkach wspominałem wcześniej, przekształcona wiosną 1940 roku w Związek Odwetu, zajmująca się między innymi sabotażem na kolei. Rozkręcali szyny, wysadzali w powietrze pociągi — na Karolewie, na Widzewie... Sporo było tych akcji sabotażowych. Dziś trudno nawet powiedzieć, kto to konkretnie robił, bo przecież nie składało się z tego raportów. Wiadomo tylko, że w dużej mierze robili to kolejarze.

Grupa studentów Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi na czele z Bolesławem Matulą utworzyła Kadrę Bojową Wojska Polskiego. Z kolei młodzież z przedwojennego OMTUR powołała do życia Wojskową Organizację Robotniczą. Oni także weszli potem w skład ZWZ, a następnie — AK.

Oprócz tego istniał też w Łodzi drugi nurt konspiracji — nie związany z rządem polskim na Zachodzie. Była to Gwardia Ludowa. Jej działanie nie było jednak długie, bo pierwszy kurier GL przybył do Łodzi w czerwcu 1942 roku, a już w kwietniu następnego w wyniku aresztowań cała struktura GL w Łodzi uległa likwidacji. Próby jej odtworzenia nie powiodły się, tak więc do końca okupacji w Łodzi pozostała już tylko AK.

— Czy utrzymywaliście z GL jakieś kontakty?

— Nie, chociaż wiadomo było, że niektórzy członkowie z tych rozbitych organizacji, o których mówiłem przedtem, wstępują do GL.

Aha, nie powiedziałem jeszcze o działalności partii politycznych. Otóż od samego początku aktywna była Polska Partia Socjalistyczna, przy czym nastąpiło wyraźne rozgraniczenie spraw czysto politycznych od działalności bojowej. Oddziały bojowe PPS podporządkowane były SZP, a potem — ZWZ. Podobnie — w przypadku innych przedwojennych stronnictw politycznych. Jedynie Stronnictwo Narodowe szło własnymi drogami, ale w czasie okupacji nie miało już w Łodzi tak wielkich wpływów, jak tuż przed wybuchem wojny.

Ogólnie mówiąc uważaliśmy wtedy, że dzielące nas różnice w poglądach politycznych muszą zejść na drugi plan. Najważniejsza była walka z okupantem.

— Wspomniał pan o wysadzaniu pociągów. Jakie jeszcze formy walki, działalności konspiracyjnej były stosowane?

— Różne: sabotaże w zakładach pracy — zwłaszcza tych, które robiły coś dla wojska, wydawanie gazetek, likwidacja niemieckich konfidentów... Dużo można by o tym mówić.

Na początku ważną rzeczą było zbieranie i gromadzenie broni, która pozostała po wrześniu. Żołnierz nie szedł do niewoli z bronią — wyrzucał ją, chował... A potem tę broń zbierano, konserwowano.

Była też, już jesienią 1939 roku, tak zwana zabawa w szkło. Po prostu tarto szkło i podrzucano do jedzenia w niemieckich jadłodajniach. Podstawowym jednak zadaniem każdego konspiratora był wywiad, szpiegostwo, zbieranie informacji. To było najważniejsze.

Co ciekawe, nasz łódzki wywiad działał nie tylko w mieście i okolicy, ale sięgał aż do Berlina i dalej w głąb Niemiec, aż do Hamburga. Nawet tam mieliśmy swoje komórki. Wielu przecież łodzian wywożono do Rzeszy na roboty.

— W jaki sposób przekazywaliście zebrane informacje?

— Trudno mi dokładnie powiedzieć, bo tym zajmowała się Komenda Okręgu i tylko ona znała szczegóły. Nas to nie interesowało, mieliśmy inne zadania. Zresztą nie mogliśmy zbyt dużo wiedzieć. To było niebezpieczne. W razie aresztowania nie każdy wytrzymywał w śledztwie. Niejeden załamywał się, szedł na współpracę...

W każdym razie mogę powiedzieć, że część informacji docierała do Warszawy i potem — do Londynu, część zaś — z pominięciem Warszawy — przez Francję i Hiszpanię, albo Szwajcarię. Więcej mógłby na ten temat powiedzieć Zygmunt Janke, który właśnie zajmował się wywiadem.

— Ale wróćmy może do pańskich osobistych przeżyć. Nie od razu przecież został pan komendantem AK w Łodzi...

— Oczywiście. Najpierw działałem w grupach sabotażowo-dywersyjnych w południowej części miasta. Potem zostałem ich dowódcą — po Antonim Kalinowskim, który rozstrzelany został w Zgierzu. Było to w 1942 roku. Następnie, po wpadce Józefa Grabińskiego, „Pomiana", ówczesnego komendanta miasta, po którym dowództwo objął Jan Łoś, ps. „Baca", „Dąbrowa", zostaje od stycznia 1943 roku komendantem dzielnicy Łódź-„Południe", a od końca września — zastępcą „Bacy".

— Z jakim nastawieniem działaliście? Czy przypuszczaliście, że okupacja potrwa tak długo, że pochłonie tyle ofiar?

— Nikt nie liczył, że potrwa to aż sześć lat. Pamiętam powiedzenie, jakie krążyło na początku: „słoneczko wyżej — Sikorski bliżej". Ludzie liczyli, że od wiosny 1940 roku sytuacja na froncie ulegnie zasadniczej zmianie. Może też dlatego tak żywiołowo rozwijała się wówczas konspiracja. Potem, po upadku Paryża uświadomiliśmy sobie, że nie tak szybko skończy się ta wojna. Mimo to każdy uważał działalność konspiracyjną za swój obowiązek, za coś tak normalnego i oczywistego, jak to, że je się chleb, oddycha powietrzem... I nikt nie mówił o patriotyzmie, nie trzeba było używać wielkich słów. Walkę o wolność mieliśmy wszyscy we krwi. To wynikało z naszej przeszłości, z tradycji powstań, odradzania się państwowości polskiej w czasie pierwszej wojny.

— Czy pracował pan w czasie okupacji?

— Na początku nie. Udawałem majstra szewskiego. Ponieważ mój zmarły ojciec — też Józef — był właśnie majstrem

szewskim, posługiwałem się jego dokumentami, w których na szczęście nie było daty urodzenia.

Potem ktoś mi załatwił pracę w Versicherunganstadt Ostdeutscher Handwerks-Kammeru — firmie ubezpieczeniowej przy Piotrkowskiej 33. Byłem inkasentem, chodziłem po mieście i zbierałem składki.

— Jak długo pan tam pracował?

— Do lutego 1944 roku. Potem musiałem się ukrywać.

Pracowało tam dwóch młodych Polaków, którym powiedziałem, że ponieważ byłem oficerem, więc gdyby ktoś o mnie pytał... Ja stale chodzę po mieście, to nie wiem co dzieje się w biurze. O konspiracji nawet nie wspomniałem. Nikt się tym zresztą nie chwalił, nawet wśród najbliższych. Na przykład moja żona wiedziała, że działam, ale bardzo długo nie miała pojęcia, jaką mam funkcję i co konkretnie robię.

I otóż dokładnie 5 lutego wieczorem przychodzi do mnie na Chojny jeden z tych młodych Polaków i przeprasza mnie, że powinien przyjść już wczoraj, bo właśnie wczoraj odebrał telefon z gestapo w mojej sprawie. Nie wie dokładnie o co chodziło, ale kiedy oddał słuchawkę dyrektorowi, Niemcowi, ten złapał się za głowę i długo jeszcze powtarzał z przerażeniem „Herr Stolarski bandit, Herr Stolarski bandit!"

Nie wiedziałem co robić: zostać czy uciekać? W końcu zdecydowaliśmy z żoną, która też była tam zatrudniona jako inkasentka, że ona weźmie swoje i moje rozliczenia i pójdzie zorientować się, co i jak. Ponieważ nie była w nic zaangażowana, nie powinni jej nic zrobić. Poszła. Czekało już kilku gestapowców, którym powiedziała, że ja pojechałem poza Łódź, na wieś, po żywność dla rodziny i że niedługo powinienem być z powrotem. Ja tymczasem jeździłem tramwajem Piotrkowską od placu Wolności do Andrzeja i w drugą stronę patrząc, co się dzieje przed biurem.

Umówiliśmy się, że spotkamy się w pewnym mieszkaniu na Braterskiej. Wieczorem żona szczęśliwie tam dotarła i opowiada, że ciągle dzwonili z gestapo, czy już jestem, ale że mówili, iż to *wcale nie o mnie* chodzi, lecz o nią, *gdyż jest* zatrudniona tylko fikcyjnie, a ja robię za nią całą robotę (co było zgodne z prawdą), więc bez obawy mogę przyjść. Nie chcieli mnie widocznie spłoszyć i dlatego tak mówili. Puścili nawet żonę ze wszystkimi dokumentami — oczywiście była śledzona — aby „zaprowadziła" ich do mnie. I gdyby żona poszła od razu na Braterską, prawdopodobnie od razu bym wpadł. Ale żona spokojnie poszła do domu na Chojny i dopiero późnym wieczorem wymknęła się chyłkiem ze spakowaną walizką na spotkanie ze mną.

Oboje już do samego końca nie wróciliśmy do domu.

— Był pan już wtedy komendantem miasta?

— Tak. Objąłem tę funkcję w grudniu 1943 roku. Poprzedni komendant miasta wileński partyzant, „Baca", uchodzić musiał do Warszawy. Wcześniej jeszcze, wiosną 1942 roku, przeniosła się tam Komenda Okręku Łódzkiego. Ciągle trwały aresztowania... W styczniu 1944 roku prawie od nowa stworzyć musiałem komendę miasta, poobsadzać nowych ludzi na stanowiskach dowódców.

— Jaka była struktura AK w Łodzi?

— To się zmieniało. Gdy była jeszcze ZWZ miasto dzieliło się na północ i południe. Gdy w październiku 1942 roku komendantem został Baca", podzielił Łódź na cztery dzielnice, cztery obwody: „Północ", „Południe", „Wschód" i „Zachód". Piątym obwodem, który do sierpnia 1943 roku nie podlegał komendantowi Łodzi, była Ruda Pabianicka. Dalej: obwód dzielił się na rejony, rejon zaś — na placówki.

Najpierw placówki związane były z terenem, potem — już w fazie przygotowań do powstania — z konkretnym niemieckim punktem. Na przykład jakimś magazynem wojskowym, fabryką, posterunkiem policji itp. Stworzona przy takim obiekcie nasza placówka miała zdobyć go po wybuchu powstania.

Mam jeszcze plan miasta Litzmanstadt z naniesionymi na niego wszystkimi punktami niemieckimi, które były dla nas ważne. Wszystko było szczegółowo opracowane, łącznie z liczebnością i uzbrojeniem obsady każdego punktu. To nie była zabawa.

— Czy miało to być takie powstanie jak w Warszawie i w tym samym czasie się rozpocząć?

— Tak. Myślano o tym już od dawna, a kiedy ja zostałem komendantem miasta, zaczęliśmy intensywnie się do niego przygotowywać. Czerwiec i lipiec 1944 roku był już okresem ostrego pogotowia, czekania na rozkaz wybuchu.

— Ale rozkazu takiego nie wydano?

— Nie, ponieważ warunki nie były dla nas sprzyjające. Powstanie w Łodzi z różnych względów nie miało zresztą szans powodzenia i w sierpniu zostało odwołane. Ale proszę pamiętać, że trochę inaczej patrzy się na to dzisiaj, a inaczej patrzyło się wtedy.

— Na pewno. W Warszawie powstanie upadło a przecież Łódź tym się różniła od stolicy że miała stosunkowo dużo ludności niemieckiej, znajdowała się w granicach Rzeszy... To też musiało decydować o specyfice walki konspiracyjnej.

— Oczywiście. Gdy w Łodzi przebywał Okulicki, można się było jeszcze spotykać w kawiarniach. Potem wprowadzono dla Polaków tyle zakazów i ograniczeń, że wystarczyło podejrzanie wyglądać na ulicy, a już patrol niemiecki wołał: „Bitte Ausweiss!" a kiedy zauważył strach w oczach... Ja w 1944 roku wychodziłem na ulicę tylko w czasie, gdy ludzie szli do i z pracy, bo wtedy były największe szanse, że nie wpadnę w ręce patrolom, które stały na ulicach dosłownie co kilkadziesiąt metrów. Często nie wchodziłem nawet na kwaterę, gdyż Niemcy potrafili przetrząsać dom po domu. Nocowałem więc nieraz w szopach, kamórkach...

Gdyby w Łodzi ktoś z Generalnej Guberni chciał się zachowywać na ulicy tak, jak w Warszawie czy Krakowie, od razu zostałby aresztowany. I takie przypadki, niestety, były.

Działalność konspiracyjna w Łodzi była dużo trudniejsza niż w GG. Poza tym wszędzie było pełno konfidentów, którzy przenikali także i do naszych komórek. Stąd między innymi nieustanne aresztowania, ofiary, zmiany na stanowiskach dowódców. Ja sam parokrotnie byłem o krok od wpadki.

Pamiętam, kiedyś jeden z moich oficerów prosił mnie, żebym dał jakąś funkcję pewnemu jego znajomemu. Nie dałem, ponieważ wiedziałem, że pije. Później okazało się, że ów znajomy był niemieckim konfidentem, który — jak wynikało z pozostawionych przez Niemców dokumentów, które widziałem na 19-go Stycznia po wojnie — zobowiązał się odnaleść mnie i przekazać w ręce gestapo.

W ogóle każdy, kto pił, nie miał u mnie miejsca. Pod tym względem byłem nieubłagany.

— I chyba między innymi właśnie dlatego był pan komendantem miasta aż do samego wyzwolenia?

— Na pewno. Poza tym miałem też trochę szczęścia. Kto wie, czy gdyby okupacja nie trwała kilka miesięcy dłużej, nie podzieliłbym losu moich poprzedników. „Baca" został schwytany już po opuszczeniu Łodzi, w Warszawie, gdzie — zdawało się — był bezpieczniejszy. Pamiętam, że w odwet za niego kazałem zlikwidować paru niemieckich konfidentów. Było to dla Niemców, zdaje się sporym zaskoczeniem.

— Ilu ludzi zaangażowanych było w Łodzi w działalność konspiracyjną?

— Trudno dokładnie powiedzieć, bo to się przecież zmieniało w czasie. Z racji specyfiki naszego miasta, o czym już mówiliśmy, nie do pomyślenia było, żeby członkowie konspiracji wiedzieli wzajemnie o sobie tak dużo jak np. w Warszawie. Tak, że nawet mnie komendantowi miasta, trudno dziś powiedzieć iloma dowodziłem ludźmi. Ustaleniem tego powinni zająć się historycy w oparciu o wszelkie możliwe źródła. W ogóle, jak na razie, brakuje jakiegoś opracowania konspiracyjnej działalności AK w Łodzi. To jest ciągle jeszcze biała plama. O tym się dotychczas nie pisało.

Dlatego mogę panu tylko powiedzieć, że w lipcu 1944 roku Niemcy oceniali nasze siły na 15 tysięcy ludzi. Być może tyle właśnie było, być może — jeszcze więcej.

— Miejmy zatem nadzieję, że wreszcie ktoś zajmie się kompleksowym opracowaniem tego tematu. Na pewno warto przypomnieć wasza działalność społeczeństwu.

Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Nad listami Norwida **2**

Kobiety w jego życiu

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Ktoś ze znajomych powiedział:

— Napisałeś szkic o listach Norwida*), a słowem nie wspomniałeś o pani Kalergis.

Wyrzut ten, zasadny, rozumiem w szerszym znaczeniu. Nie tylko pani Marii de domo Nesselrode, primo voto Kalergis, secundo voto Muchanow, nie poświęciłem ani jednego zdania. Pominąłem całkowicie wątek kobiecy w listach Poety. Skupiłem po prostu uwagę na innych sprawach.

Podejmuję zatem, sprowokowany, ten temat z dobrowolnie przyjętym ograniczeniem do spraw odnotowanych w wyborze epistolarnym Norwida**).

Poeta opuścił kraj w 1842 roku, mając dwadzieścia jeden lat. Za sobą pozostawiał krótki, lecz błyskotliwy czas bywania w warszawskich salonach, gdzie zdobył sobie duże powodzenie towarzyskie, a szczególnie uznanie w oczach pań. Z tym młodzieńczym okresem zwykło się wiązać dwie postaci kobiece, pierwsze chłopięce miłości.

MŁODZIEŃCZE PRELIMINARIA

Wczesną jego fascynacją była Brygida Dybowska (primo voto Wyszkowska, secundo voto Wierzbowska). W listach Poety są wzmianki o niej, lecz z lat późniejszych, bez śladu jakiegokolwiek zaangażowania uczuciowego.

Nieco inaczej wygląda sprawa Kamili L. (znamy tylko inicjał jej nazwiska), która w czasie gdy Norwid opuszczał kraj była z nim formalnie zaręczona. Wiosną 1844 roku matka panny Kamili przywiozła mu do Włoch list córki zrywający narzeczeństwo. Przyczyną była perspektywa intratnego małżeństwa z panem B.

W listach wspomina Norwid niewierną Kamilę znacznie później, gdy porzucona przez męża (ok. 1850 r.) przesłała Poecie *bilecik z przypomnieniem miłości swej*. Ta spóźniona ekspiacja nie spotkała się z odzewem jego serca. W liście do Henryka Prendowskiego, datowanym 16 grudnia 1851, pisze z gorzką ironią:

...jedna kobieta, co prawdziwie kochała mię — niedługo — ale prawdziwie — nierzeczywiście ale prawdziwie...

NAJPIĘKNIEJSZA

I tak dochodzimy do postaci Marii Kalergis, pięknej damy, w której kochali się lub podkochiwali liczni wybitni artyści i mężowie stanu różnej nacji, że wymienię tylko Franciszka Liszta i generała Eugeniusza Cavaignac, kontrkandydata ks. Ludwika Napoleona na fotel prezydenta Republiki Francuskiej w 1848 roku. Dla Norwida była to wielka miłość życia.

Córka szefa policji w Warszawie, zruszczonego Niemca pułkownika Fryderyka Nesselrode i Polki Tekli Nałęcz-Górskiej, wychowana w Sankt-Petersburgu w domu stryjecznego dziada Karola N., kanclerza cesarstwa rosyjskiego, wydana za mąż za greckiego bogacza Jana Kalergis, była osobą o nastawieniu kosmopolitycznym. Norwid poznał ją w 1844 lub 1845 roku we Włoszech, by pozostawać pod jej głębokim urokiem przez kilkanaście lat.

Dziejów tego uczucia nie można odtworzyć na podstawie listów do samej pani Kalergis, te się bowiem nie zachowały. Dość jednak wzmianek w listach pisanych do osób trzecich, zwłaszcza do Marii Trębickiej, córki generała polskiego zastrzelonego przez powstańców w Noc Listopadową. Towarzyszyła ona w latach 1844—1845 pięknej damie w podróży do Niemiec, Szwajcarii i Włoch, była świadkiem rodzącego się uczucia Norwida, co uczyniło z niej powiernicę Poety.

Początki znajomości z Marią Kalergis były iście sielankowe. Ona sama obnosiła się wówczas z rzekomym swoim patriotyzmem polskim, a Norwidowi okazywała znaczne fawory. Jak czule odwzajemniał się on jej, niech świadczy takie zdanie w liście do Trębickiej z listopada 1845:

Przykro mi widzieć Panią od Pani Marii oddaloną — i gdybym nie był przekonanym, z jednej strony, o szerokim pojęciu obowiązku, jakie ma pani Maria, z drugiej, o sile Jej humoru, jaki sprawia, że wszędzie może Jej być wesoło, a musi być przyjemnie — miałbym powód być smutnym i wtedy cierpiałbym prawdziwie.

W innych listach do tej samej adresatki dopytuje się stale o *zdrowie Pani naszej*, mając na myśli kochaną przez siebie osobę, zaś w epistole datowanej w Berlinie 30 grudnia 1845 pisze:

Rozmowa Pani z M. przywróciła mi jakoś cień nadziei — jest to wiele, o, wiele!

Podczas pobytu Marii Kalergis w Berlinie, gdy zażyłość jej z Norwidem wydawała się największa, ten ośmielił się zrobić jej propozycję małżeńską wobec rozkładu związku z Janem Kalergis. Wielka dama, która siedziała właśnie przy fortepianie, odpowiedziała Poecie nie słowami, ale glissandem na klawiaturze. W ten bezlitosny sposób wykpiła jego aspiracje.

Norwid nie traci jednak przez dłuższy czas nadziei, nadal idealizując kochaną kobietę. Widzi pewną szansę dla siebie w jej staraniach o uzyskanie rozwodu. Widywał Marię Kalergis coraz rzadziej, między innymi w czerwcu 1847 w Rzymie. *(Miałem szczęście widzieć panią M. ...)* Nie było to jednak spotkanie o charakterze, jakiego by pragnął Poeta. W liście do Trębickiej z 17 czerwca 1847 daje wyraz swemu rozczarowaniu płcią niewieścią:

...dla całej płci waszej, que pour la femme en general, jedno dzisiaj tylko mam uczucie, to jest — czułą pogardę.

Jesienią tegoż roku Kalergis wyjeżdża do Paryża, gdzie prowadzi modny salon w swym pałacyku przy rue d'Anjou. Bywają tam: Wagner, de Musset, Turgieniew, Delacroix, Heine, Teofil Gautier i ks. Ludwik Napoleon, przyszły cesarz Napoleon III. Lekcje gry na fortepianie, w czym jest wielce utalentowana, udziela jej sam Fryderyk Chopin.

Norwid we Włoszech tęskni, cierpi z braku wiadomości o ukochanej, lub też z powodu wieści, jakich by sobie nie życzył, jak ta o romansie ze znacznie starszym od niej generałem Cavaignac. Przy pogarszającym się stanie zdrowia Poety i coraz dotkliwszym ubóstwie przeniesienie się z Włoch do Francji nie jest łatwe. Niemniej jednak z początkiem 1849 Norwid jest już nad Sekwaną.

Tu czekają go cierpienia boleśniejsze od znoszonych w Italii w związku z rozłąką. Dla brylującej w świetnej sosjecie paryskiej i pławiącej się w sposób nieposkromiony w rozkoszach życia damy ubogi i zdesperowany Poeta, nie skąpiący jej wymówek, przestał być kimś pożądanym. Zaczęła systematycznie unikać spotkań z nim sam na sam, a żale jego bagatelizować.

Ambicja Norwida wystawiona jest na stałe próby. Na to traktowanie skarży się Augustowi Cieszkowskiemu:

...wiesz czym usprawiedliwiają się raniący — szaleństwem ranionego (listopad 1850)

Zaś Józefowi Bohdanowi Zaleskiemu zwierza się ze swej miłości do kobiety, która go pojąć **nie była w stanie. (w liście z Paryża, datowanym 8 stycznia 1851)**

ZMIERZCH NADZIEI

Utrata złudzeń co do szansy zbliżenia się do pani Kalergis była obok powszechnego braku uznania dla twórczości Poety oraz poczucia samotności i frustracji jednym z głównych motywów desperackiej decyzji wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Artykułuje to Norwid wyraźnie w liście do Karola Krasińskiego już w kilka lat po powrocie z Nowego Świata do Paryża (październik 1858):

...po to przepłynąłem Ocean, aby być silnym i wyleczyć się z tej słabości.

Pobyt w Nowym Jorku zakończył się dla nieszczęsnego Poety całkowitym fiaskiem. Wypłynął tam, jak sam pisze, z jednym złotym napoleonem w kieszeni, powrócił do Europy po niespełna dwóch latach, nie dorobiwszy się najskromniejszego nawet funduszu.

Rezygnacja z jakichkolwiek nadziei nie oznaczała odmiany w uczuciach do ukochanej. Jako jedyną książkę zabrał w wyprawę do USA modlitewnik, darowany mu kiedyś przez panią Kalergis. W liście pisanym z Nowego Jorku „przed październikiem 1858" do Trębickiej czytamy:

...jużci tak jest, że kocham kobietę, której wspomnienie jest mi silniejszym uczuciem niż miłość, przyjaźń i obecność realna drugich, a kocham dlatego, że to jest kochać. Zdaje mi się, że to jasno — jasno jak piorun.

Pojawiają się także nowe akcenty w uczuciach Poety. Nie może nie myśleć o tym, że ukochana, która wzgardziła nim dla światowego życia, nie wie co to ciężka walka o egzystencję, o utrzymanie się na powierzchni, jaką on toczyć musi w Ameryce. Ujmuje to w tak pełne żalu słowa:

Gdyby kobieta świata jednym końcem trzewiczka atłasowego dotknęła tej sfery życia — zrozumiałaby, co to jest cały dramat smutnej i świetnej jej historii. (do M. Trębickiej, Nowy Jork, 10 kwietnia 1858)

Czas płynie nieubłaganie. 8 kwietnia 1856 pisze Poeta z Paryża do Trębickiej:

...od lat pięciu nie widuję dawnej Towarzyszki i Przyjaciółki Pani — czasem z gazet, że jest w mieście, doczytując się szczerym przypadkiem — niech jej Pan nasz Jezus Chrystus da wszystko dobre.

Wzmianki o Marii Kalergis w listach jego coraz rzadsze. Jeszcze w październiku 1860 prosi Magdalenę Łuszczewską (matkę Deotymy) o nadesłanie mu dwóch zdjęć pani Kalergis, o których wykonaniu przez fotografa Beyera otrzymał wiadomość.

W półtora roku później, bo 14 kwietnia 1862, prosi jedną ze swych wiernych korespondentek, marszałkową Joannę Kuczyńską, o informacje o pięknej Marii. No i zapytana odpowiada, ale jak! Kalergis *jeździ po bruku warszawskim z kacapem na koźle, a także zatraca mowę i ołtarze.* (czyli język polski i wiarę rzymskokatolicką). Dochodzi do tego, że z Polakami mówi po francusku, tłumacząc się, że wyszła z wprawy w języku polskim.

Można sobie wyobrazić, jakim bólem i gniewem przejęły te wzmianki Norwida, który do tego czasu jeszcze uważał panią Kalergis za polską patriotkę. Odtąd następuje w nim przewartościowanie sądów o tej damie. Gdy księgarz i edytor lipski F. A. Brockhaus wydaje drukiem dzieła Norwida, ten pisze do J. Kuczyńskiej:

Gdybym wiedział, że p. hrabina K. z hrabiów Nesselrode umie język polski, kazałbym jej posłać. (1 grudnia 1862).

Zimnem i wzgardą wionie od tych słów. Aby dopełniła się miara rozczarowania, pani Kalergis (wbrew słowom Norwida ani hrabina, ani hrabianka!) wychodzi w 1863 roku za mąż za młodszego od siebie o jedenaście lat podpułkownika carskiej kawalerii Sergiusza Muchanowa, warszawskiego policmajstra.

Ostatnią wzmiankę o zdetronizowanym ideale znajdujemy w liście do Kuczyńskiej z 10 lipca 1865, a więc w dwadzieścia lat od zawarcia znajomości, z czego przez ostatnie czternaście lat Norwid pani Kalergis już nie oglądał na oczy!

INNE KOBIETY W JEGO ŻYCIU

Gorycz, jaką przyniosło Norwidowi uczucie do pani Kalergis, znajduje wyraz w wypowiedziach na temat kobiet w ogólności, a szczególnie do kobiet polskich. W maju 1858 pisał na przykład do swego kuzyna, pracownika poselstwa francuskiego w Chinach, Michała Kleczkowskiego:

I ty nie znasz polskich kobiet — świętych, miłych, pięknych... ale nie mających żadnego historycznego ani publicznego instynktu (bo naród nie żyje); która z ich współ-ukocha z mężem sprawę wielką, szeroką, trudną, np. ludzkość, ideę, polityczny cel, ideał nawet niełatwy do osiągnięcia?... żadna! Żadna! Każda pójdzie za sąsiada, którego dobra granicą z jej wianem o mostek jeden, o rów jeden — serce jest glebae-adscriptum...

Norwid nie zaniechał jednak myśli o znalezieniu stałej towarzyszki życia. Przez dwanaście lat wymieniał listy pełne intymnych zwierzeń z Marią Trębicką, panną niepiękną, ale pełną czaru i delikatności uczuć. Prawdopodobnie zafascynowała ją umysłowość Poety, ten jednak, zajęty wyłącznie swym uczuciem do pani Kalergis, nie dostrzegał, że Trębicka myśli i czuje także na własny rachunek.

Dopiero w liście z września 1852, czyli po siedmiu latach tej intensywnej korespondencji, znajdujemy u Norwida następujący passus:

Czy człowiek, który np. tonąc, uratowany był przez próżny rękaw skórzany, nie miałby nijakiego prowidencjonalnego prawa zapytać o rękę samą?!

Z aluzji tej można wyprowadzić wniosek, że Norwid począł interesować się Marią Trębicką dla niej samej, nie tylko dla wymiany myśli o pani Kalergis. Musiało upłynąć jednak jeszcze pięć lat, by Poeta zdecydował się skreślić do panny Trębickiej słowa następujące:

...od Pani wszystko zależy — mogę już oddać tylko wszystko, co jest niestety mniej niż mało — albo nic. (listopad 1856)

To już formalne oświadczyny. Trudno osądzić, czy podyktowane rodzącą się tkliwością, czy też pragnieniem znalezienia spokojnej przystani po burzach życia. Jakkolwiek zakwalifikować motywy, Poeta spóźnił się ze swoją decyzją. Może przed laty Trębicka przyjęłaby chętnie tę deklarację, teraz związana już była uczuciowo z młodszym od siebie o trzy lata poetą Felicjanem Faleńskim, za którego wyjdzie za mąż. Norwida czekała jeszcze jedna porażka...

W kilkanaście lat później zbliżający się do pięćdziesiątki Norwid przeżył nowe, jak się zdaje odwzajemnione uczucie. Obiektem dość późnej, jeśli nie spóźnionej miłości była zamieszkała w Paryżu, młodsza o rok od Poety, Zofia Węgierska (z domu Kamińska, primo voto Mielęcka). Była bardzo zdolną dziennikarką, felietonistką „Bluszczu" i korespondentką paryską paru innych czasopism krajowych.

O miłości tej wiemy niewiele. Zachowany list Norwida z czerwca 1869 nie zawiera intymnych przekazów. Te nastąpiły zapewne później. Nieszczęsny los prześladował jednak Norwida i w tym przypadku. Zofia Węgierska umiera nagle 8 listopada 1869. Kuzyn zmarłej, Kazimierz Gawroński, porządkując pozostawione przez nią papiery, zdecydował się spalić wszystkie listy Norwida zawierające treści osobiste. Po Władysławie Mickiewiczu, który zniszczył dużą część osobistych dokumentów pozostałych po ojcu Adamie, jeszcze jeden przykład, powiedzielibyśmy, nadgorliwości, szkodliwej w efekcie dla kultury polskiej.

O uczuciu Norwida do Zofii dowiadujemy się zatem cośkolwiek tylko z jego listów pisanych do osób trzecich już po śmierci kochanej kobiety. W liście do Bronisława Zaleskiego pisanym „wnet po 10 listopada 1869" czytamy:

Trzy dni przed ostatnim dniem zaszedłem — kaszlała (...) parę godzin mówiłem z nią — zmierzchało się — ogień tlał i blado ją oświecał. (...) podniosłem się i podawszy rękę mówię:

— Tak jak teraz blado oświecona jesteś Pani od tego ognia, zupełnie piękna jesteś (bo mawiałem jej czasem dzieciństwa).

A ona:

— ..Dlatego chcę, abyś odszedł teraz, bo życzę sobie zostawić Ci miłe spomnienie — zaś któż wie, czy się już zobaczymy kiedy!"

To ostatnie słowa.

Niechętnie piszę o ostatnim romansie Norwida. Niechlubną jego bohaterką była Maria z Brzezinów Sadowska, żona chemika i fotografa, matka trojga dzieci, powieściopisarka. Poeta zainteresowany był początkowo twórczością literacką Sadowskiej, stosunek ich zmienił jednak swój charakter i nabrał cech tak gwałtownych, że liczący wówczas 55 lat Norwid zerwał go i salwował się przed narzucającą mu się natrętnie kobietą ucieczką do Zakładu Św. Kazimierza, gdzie dożył reszty swoich dni. Był jednak jeszcze tam napastowany przez Sadowską. W zbiorze listów Poety znajduje się jeden list do Marii Sadowskiej, dotyczący jednak tylko spraw literackich.

Tragizm postaci Cypriana Norwida, życie obfitujące w klęski i niepowodzenia, dotyczy więc także sfery życia intymnego. Jakieś niszczące fatum zawisło nad Poetą, odmawiając mu najmniejszej nawet dozy szczęścia.

*) **Wł. Orłowski, W czas swój wskazane, Odgłosy, 24.XII.1983**

) **Cyprian Norwid, Pisma wybrane, tom V. Listy, Wybór i opracowanie Juliusz W. Gomulicki, Warszawa 1968.

Czy będziemy liczyć się w wyścigu myśli?

J. STANISŁAW KNYPL

„Ilu wartościowych ludzi odeszło do innych, lepiej płatnych zawodów? To budzi zgorszenie — nauczyciel myśli o pieniądzach!". Słowa te wypowiedział jeden z 491-tysięcznej rzeszy nauczycieli szkół średnich i podstawowych („Odrodzenie" nr 8/83). I prawdę powiedział. Stan nauczycielski rzeczywiście nie przyciąga ludzi najbardziej wartościowych i utalentowanych, predystynowanych do pracy pedagogicznej; a jeśli przyciągnie — to wnet zaczynają rozglądać się oni za czymś innym. Poza tym, naprawdę budzi zgorszenie społeczne, (a raczej powinno budzić!), gdy nauczyciel myśli o pieniądzach. Nauczyciel nie powinien myśleć o pieniądzach; on powinien je mieć, aby mógł myśleć o wychowaniu, dając jednocześnie wychowankom przykład osobisty, co daje wykształcenie. Ponoć nic tak nie uczy, jak właśnie przykład!

Jeżeli zaś nauczyciel nie ma pieniędzy, to powinien o nich mówić. I choć to temat wstydliwy, a w dodatku zapalny, pozwólcie, że zabiorę głos właśnie w sprawie pieniędzy. Jeśli bowiem nie ma złotówek dla nauczających — to rychło może nie stać samych nauczających, albo też nauczanie będzie tandetne, groszowe.

Władysław Bortnowski ma rację, węglem (tj. czarno) szkicując przyszłość zawodu tak nauczyciela akademickiego, jak i naukowca („Odgłosy" nr 48/83; „O naukowcach pesymistycznie"). Jednak stwierdzenie, że zarobki w pionie Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki są „niskie" — jest zbyt ogólnikowe. Wszak nawet milioner utyskuje na niskie dochody! Przyjrzyjmy się tedy obowiązującym taryfikatorom płacowym, aby dyskusję w tej materii oprzeć o fakty, a nie o mglistość wyobrażeń społecznych, plasujących zawód profesora wyższej uczelni na szczytach drabiny prestiżu, powodzenia i sukcesu życiowego.

1. TARYFIKATORY

W szkolnictwie wyższym przyjęto zasadę podnoszenia płac raz do roku, w pewnej proporcji do wzrostu kosztów utrzymania. Jest to więc zasada doganiania ekspresu na tej stacji gdy on właśnie opuszcza stację następną. Warto przytoczyć esencję z najnowszego taryfikatora, obowiązującego od października 1983 roku:

asystent stażysta: 8 000 zł;
asystent: 9 300—9 700 zł;
st. wykładowca: 10 200—11 400 zł;
adiunkt: 12 400—13 800 zł;
docent: 15 500—16 300 zł;
profesor nadzwyczajny: 18 300 zł;
profesor zwyczajny: dodatek 2 tys. zł do pensji profesora nadzwyczajnego.

Wysokość zarobku „od—do" zależy od stażu, liczonego od 0 do 6 lat. Na przykład st. asystent zarabia 10 200, 10 800 i 11 400 zł przez pierwsze, drugie i trzecie dwa lata. Po tym okresie powinien „zrobić" doktorat i awansować na adiunkta. Jeżeli nie zrobi, to nie awansuje finansowo, chociaż może otrzymać przedłużenie „angażu" o kolejne 3 lata. Nie ma „widełek płacowych" przy profesorze. Być może dlatego, że tytuł ten otrzymuje się często, (ale nie zawsze!) tuż przed emerytura; a być może dlatego, że każdy profesor profesorowi równy!

W przytoczonych kwotach mieszczą się już tzw. rekompensaty. Dodać należy, że pracownicy naukowo-dydaktyczni nie mają premii. Jedynym dodatkiem „regulaminowym" jest wysługa lat, jednak nie wyższa niż 20 proc. uposażenia zasadniczego po 20 (i więcej) latach pracy.

Premie do 15 proc. uposażenia zasadniczego otrzymywali kiedyś pracownicy inżynieryjno-techniczni; zostały one włączone do pensji. W rezultacie technik—pomocnik asystenta, może otrzymywać do 3 tys. zł więcej od samego asystenta. Co słuszne jest zważywszy, iż technik nie marnował pięciu lat na studiowanie, od razu po szkole zasilając wygłodniały rynek pracy. Nawiasem zaś mówiąc: gdyby „mój" technik-chemik przeszedł do łódzkiej „gumówki", to na początek otrzymałby ok. 5 tys. zł więcej niż otrzymuje „u mnie". Pytam go: *„Dlaczego pan nie przechodzi?"* Odpowiada: *„Przecież cała nasza pracownia by się „załamała", gdybym odszedł!"* I ma rację. Cieszy, że jeszcze ze szczętem nie wymarło nam plemię idealistów. No tak, ale ten technik pracuje ze mną już 15 rok: dostatecznie długo, aby nieuleczalnie zakazić się bakcylem „służby". Jednak młodszych techników już nie mam, i chyba miał nie będę.

Płace w PAN są odmienne, ponieważ rokowania w sprawie regulacji uposażeń nie zostały tam jeszcze zakończone. Obowiązuje taryfikator z 1976 r. (Dz.U. nr 25, poz. 145), znowelizowany zarządzeniem MPPiSS nr 66 z 1982 roku:

asystent: 3 200—7 200 zł;
st. asystent: 3 200—8 400 zł;
adiunkt: 4 000—10 000 zł;
docent: 5 500—11 000 zł;
prof. nadzw.: 6 500—11 500 zł;
prof. zwyczajny: 7 000—12 000 zł.

Do wymienionych kwot dochodzi dodatek funkcyjny dla profesora (5 tys. zł) i docenta (4 tys. zł). Są to stawki bez rekompensat. Jeśli więc pracownik zarabia np. 9 200 zł, dostaje jeszcze 1 600 zł rekompensaty. Do wymienionych stawek dodać jeszcze należy 15 proc. premii, oraz dodatek z tytułu wysługi lat (do 15 proc.). W niektórych przypadkach dochodzi jeszcze 300 zł dodatek za doktorat.

Dla porównania: pensja zasadnicza nauczyciela w „oświacie", wynosi: 6 500 zł po 2 latach pracy, 8 tys. zł po 10 latach, 9 500 zł po 20 latach i 11 tys. zł po 30 latach pracy. Ponoć zgodnie z „Kartą Nauczyciela". Do tego dochodzą różne dodatki. W rezultacie młody nauczyciel żali się, że zarabia 8 455 zł miesięcznie, podczas gdy dyrektor departamentu Ministerstwa Oświaty i Wychowania wylicza na łamach „Polityki" (nr 48/83), że nauczyciel z 30-letnim stażem zarabia 19 720 zł. W tym ostatnim wyliczeniu znajduje się m.in. (cytuję): *„wynagrodzenie za 6 godz. ponadwymiarowych — 3 520 zł"*, co daje 586 złotych i 61 groszy za godzinę. Można się tylko cieszyć, że wreszcie stan nauczycielski został uhonorowany przyzwoitą stawką za pracę w godzinach ponadwymiarowych!

2. PYTANIA

Jak zarobki w „uniwersytetach" mają się do zarobków w gospodarce narodowej? Obliczenia wykonane przez ekonomistów krakowskich wykazały, że w lecie 1983 r. zarobki nauczycieli akademickich znajdowały się „pod kreską" średniej krajowej, i to aż o 30 proc. Według danych GUS za październik 1983 r. średnia płaca w gospodarce wynosiła ok. 14 200 zł. Była więc to płaca trochę wyższa od obecnej podwyższonej płacy adiunkta, a tylko o niepełne tysiąc zł niższa od pensji świeżo mianowanego docenta. Wniosek jest oczywisty: praca w szkolnictwie wyższym nie jest atrakcyjna. Same zaś uniwersytety, jako zakłady pracy (manufaktura!), nie stanowią żadnej konkurencji dla innych zakładów.

Abstrahując od zarobków nauczycieli akademickich w zestawieniu z pracownikami innych branż, porównajmy relacje wewnątrz tej grupy. Pomiędzy świeżo angażowanym asystentem a profesorem — którym zostaje się po ćwierćwieczu pracy wychowawczej, naukowej i organizacyjnej, a także opiniotwórczej (!) — różnica w zarobkach jest dwukrotna. Pośrednich zaś szczebli na drabinie kariery zawodowej jest kilka, w tym dwa stopnie naukowe: doktorat i habilitacja. Aż dwukrotny wzrost uposażenia, przy wielokrotnej różnicy klasy jakościowej!

Bezwzględna różnica pensji pomiędzy adiunktem i docentem wynosi 1 700 zł. Jest to mniej niż jedna piąta zarobków obu zainteresowanych. Przy czym, zanim adiunkt zostanie docentem, upływa ok. 10 lat. Czy rzeczywiście szczególne predyspozycje, wymagane od docenta, tj. zdolność prowadzenia samodzielnych badań naukowych i kierowania zespołami badawczymi, umiejętność organizowania warsztatów naukowo-badawczych, umiejętność przekazywania wiedzy oraz kształtowania postaw życiowych młodzieży akademickiej — są tak pospolite, iż warte akurat 1 700 zł?

Wniosek nasuwa się sam: spłaszczenie dochodów w grupie nauczycieli akademickich posunęliśmy tak daleko, że zatraciliśmy sens płacy jako bodźca do podnoszenia kwalifikacji i rozwijania talentów; jako bodźca do zastępowania pracy prostej pracą złożoną.

Trzeba powiedzieć więcej: obecny taryfikator zniechęca do podnoszenia kwalifikacji, ponieważ wzrost obowiązków i odpowiedzialności, związany z awansem, nie stoi w żadnej proporcji do wzrostu wynagrodzenia. Na przykład adiunkt: powinien wzorowo wywiązywać się z obowiązków dydaktycznych i myśleć o swojej pracy naukowej pod kątem „zrobienia" habilitacji lub nagromadzenia dorobku naukowego na tyle ważkiego, by wystarczył do zatrudnienia na stałe bez potrzeby habilitowania się. Natomiast docent — mając te same obowiązki co adiunkt, musi w dodatku myśleć, jak zapewnić asystentom i adiunktom środki na prowadzenie dydaktyki i badań naukowych, jak ich pobudzić do zdobywania stopni naukowych. Myśląc o sobie, docent musi przede wszystkim myśleć o innych, musi umieć zorganizować pracę innym. Powinien także uczestniczyć w niezliczonych naradach. Nie może uchylić się od obowiązku recenzowania, opiniowania, zajmowania stanowiska i wypowiadania poglądów: oczywiście zgodnie z wiedzą i dyktatem sumienia, obiektywnie, bez patrzenia na koniunktury; powinien więc docent, m.in. umieć „obrywać po uszach" w sytuacjach, gdy mógłby opływać masłem jak ów przysłowiowy pączek — gdyby zechciał mówić „tak" zamiast „nie", gdy właśnie potwierdzenia oczekują.

3. JAK ADIUNKT DORÓWNUJE DOCENTOWI!

Rozliczne obowiązki „społeczne", nakładane na docenta, pochłaniają czas. Tymczasem, czym jest 1 700 zł, formalnie różniących adiunkta od docenta? Jest to równowartość 2,5 godz. korepetycji! Bowiem przystępna stawka za godzinę korepetycji, udzielanej przez pracownika uczelni, wynosi obecnie ok. 700 zł. Tym samym adiunkt kosztem 2,5 godz. pracy dodatkowej wyrównuje różnicę finansową w odniesieniu do swego zwierzchnika — docenta. Tenże zaś zwierzchnik tylko na jedno posiedzenie Rady Wydziału poświęcić musi co najmniej 6 godz. miesięcznie, a na odpytywanie studentów poświęcić musi co najmniej „bity" tydzień pod koniec semestru. Bezpłatnie.

Tym samym, czy może mieć adiunkt pozytywny bodziec do habilitowania się? Odpowiedź jest prosta: jeżeli jest to adiunkt „zdrowo myślący", to nie! Nie ma, i nie może go mieć. Co wyjaśnia, dlaczego tak magistrowi-asystentowi, jak i doktorowi-adiunktowi nie warto „żył sobie wypruwać" gwoli przyśpieszenia awansu zawodowego w zestawieniu z terminami „rotacji", maksymalnie przedłużonymi. Co wyjaśnia także, dlaczego doktoraty i habilitacje „robi się" po 10 lat, chociaż można by je robić w czasie krótszym.

Poza skrajnym egalitaryzmem, co jeszcze zwraca uwagę w przytoczonym taryfikatorze płacowym MNSzWiT? Zwraca uwagę, że za dalszą pracę ponad 20 lat nie uzyskuje się już zachęty finansowej. Czyżby powyżej lat 20 nie warto już było „przejmować się pracą", a warto było w zamian przechodzić na emeryturę? Tak wielu bowiem mamy samodzielnych pracowników nauki, że możemy sobie pozwolić na ich wykruszanie się akurat w okresie szczytu aktywności zawodowej! Lub inaczej: tak pewni jesteśmy, że po 20 latach pracy zawodowej, tj. w wieku ok. 45 lat, człowiek nie zmieni zawodu, że za dalszą jego pracę nie musimy już dodatkowo premiować — on i tak pracować będzie.

4. PRACA PROSTA I ZŁOŻONA

W celu nadania szerszego oddechu dyskusji — weźmy pod uwagę, że w ZSRR profesor zarabia 2—3 razy więcej, niż wynosi średnie wynagrodzenie w kraju. Wzięto tam bowiem pod uwagę fakt, że jeden profesor zdarza się na kilka tysięcy mieszkańców; jako więc swoisty „wybryk natury" wart jest szczególnego wyróżnienia siatką płac. Podobnie jest w innych krajach socjalistycznych.

W tym kontekście weźmy pod uwagę, że w niedużej Australii (15 mln ludności) lub w mikroskopijnej Nowej Zelandii (2,5 mln ludności) asystent-magister zarabia ok. 12 tys. dol. rocznie; adiunkt — 24 tys. dol.; a profesor — minimum 38 tys. dol. rocznie. Pensje są bardzo dobre, przeto chętnych na nie wielu, konkurencja ostra. Doktorat robi się tam w ciągu 3—4 lat, a profesurę uzyskuje w ciągu 5—8 lat. Jest sens doktoryzowania się, gdy pensja wzrasta dwukrotnie, w zestawieniu z magistrem? Jest! Czy jest sens stawania się doktorem, gdy pensja wzrasta o 15—20 proc.? No, nie bardzo...

Po cóż zresztą sięgać aż na Antypody. Spójrzmy na Grecję, kraj nieduży i raczej biedny. Tam starszy asystent zarabia powyżej średniej krajowej, tj. minimum 50 tys. drachm miesięcznie. Aby te drachmy przybliżyć do złotówki należy wspomnieć, iż jedna drachma stanowi równowartość jednego centa, do wymiany w banku państwowym na każde życzenie.

Dopełniając dyskusję weźmy pod uwagę, że tzw. babka klozetowa w publicznych pisuarach warszawskich może (cytuję): *„zarobić 9 210 zł, nie wliczając rekompensaty i wysługi lat, co również zwiększa wysokość zarobków"* („Veto" nr 48/83). Weźmy też pod rozwagę nagłówek z „Dziennika Łódzkiego" (nr 239/83): „Obrotny mleczarz zarabia 20 tysięcy!" Babka klozetowa zarabia więc bez rekompensaty (i bez napiwków!) tyle, ile asystent uczelni wyższej już z rekompensatą; mleczarz zaś równy jest profesorowi zwyczajnemu. Tenże dobry mleczarz „lepszy jest" o 1 700 zł od profesora nadzwyczajnego: mianowanego, jakby nie było, przez Radę Państwa.

Aczkolwiek okrutne dzieje losu dawno już przesądziły o przegranej pracy prostej, fizycznej, na rzecz pracy złożonej, kwalifikowanej oraz intelektualnej — to nam potrzebna jest właśnie praca prosta. Na przykład, kto w uniwersytecie zarabia najwięcej? Nie ci, co sterują uniwersytetem, lecz ci, co kują ściany w celu założenia kabla i ci, co bielą rozkute.

Preferując pracę prostą — i produkty mamy proste oraz jakościowo marne. Takie, jakich nie kupi od nas nikt, kto ceni pracę złożoną czyli nowoczesność; w dodatku nie mamy pod dostatkiem nawet tych produktów prostych — jak masło, jak siekiera i widły, jak sufit nad głową i podłoga pod nogami. Że zaś pracę złożoną cenią wszyscy — przeto coraz mniej możemy sprzedać poza własnymi granicami. Kupować zaś musimy coraz więcej, ponieważ nie sposób obyć się bez wytworów myśli kwalifikowanej, nawet gdy samej myśli nie ma się w zbyt wielkiej estymie. Nawet mleczarz za swą pracę prostą żąda zegarka elektronicznego — którego nie wykuje kowal; a babka klozetowa żąda pralki automatycznej, nie zadowalając się za swą pracę prostą wytworem pracy równie prostej — tj. kijanką. Takie już czasy nastały, że postępu naukowo-technicznego nie robi się łopatą! Skoro wiemy, że rewolucji naukowo-technicznej dokonuje uczony w sojuszu z inżynierem i robotnikiem-mistrzem — to dlaczego nie dajemy tej wiedzy posłuchu? Dlaczego spokojnie patrzymy, jak za ladą sklepu staje inżynier elektronik, a aule uniwersyteckie, nawet te świeżo bielone, pustoszeją?

5. WNIOSKI

Taką mamy produkcję dzisiaj, jaką cenę przykładaliśmy do kwalifikacji wczoraj. Takich będziemy mieć inżynierów i magistrów, jakie mamy laboratoria uczelniane, i jakich mamy tam nauczycieli. Powinniśmy być zainteresowani, aby o nieliczne stanowiska pracy w uczelniach ubiegało się wielu kandydatów — aby wśród wybranych pozostawali najlepsi, najbardziej utalentowani i twórczy; zdolni wiedzę rozwijać i przekazywać ją innym, zdolni rozbudzić drzemiące talenty uczniów. Nauczyciel jest solą rozwoju i postępu!

Niskie płace w szkolnictwie wyższym w zestawieniu z wysokimi wymaganiami i różnorodnymi obowiązkami sprawiają, że obecnie młodzież nie garnie się do kariery nauczyciela akademickiego lub naukowca. Skutki widoczne są już teraz: w wielu instytutach i katedrach więcej jest profesorów i docentów, niż młodych magistrów. Kadra uniwersytecka starzeje się, zwłaszcza, że nie ma wymiany tej kadry z innymi działami gospodarki narodowej. Jest zastój i groźba śmiertelnego dla nauki skostnienia.

Sytuacja jest dramatyczna! Brak dopływu utalentowanych młodych ludzi sprawia, że zaburzony zostaje naturalny proces selekcji i rozwoju kadry naukowej. My dzisiaj, być może, bez naukowców żyć możemy doskonale, ale jutro? Jutro zaś to perspektywa 15—25 lat — tyle bowiem czasu zajmuje wychowanie młodego „rokującego nadzieje" magistra na dobrego młodego docenta i profesora. Wychowania tego dokonać może tylko profesor, na starej zasadzie: mistrz i terminator. Obecnie zaś profesor coraz częściej magistrów nie ma, przynajmniej takich, jakich chciałby mieć. Dobry bowiem magister woli dzisiaj zajmować się wszystkim, z wyjątkiem zaszczytnej pracy badawczej i dydaktycznej.

Młodzież ma rację, podejmując pracę tam, gdzie lepiej nagradzają. Społeczeństwo zapewne też ma rację, ustalając takie a nie inne preferencje płacowe. Ja tylko chciałbym usłyszeć wyjaśnienie — jakie to są, konkretnie, racje, uzasadniające średnie zarobki w uczelniach poniżej średniej krajowej? Czy chcemy, aby pracę w uczelniach podejmowały wyłącznie jednostki bez ikry i wigoru, *bierne*, zadowalające się byle czym — tym, co jest? Jeżeli tego właśnie chcemy, to powinniśmy liczyć się z faktem, że po kryzysie „braku rąk do pracy" (prostej) nadejdzie — w charakterze „echa" po *latach — kryzys braku głów do myślenia*. Brakowi rąk do prac prostych z nawiązką zaradzają maszyny i automaty elektroniczne; braku myśli i kwalifikacji — nic nie wyrówna (prócz kształcenia przez najwyżej wykształconych). Tak czy inaczej należałoby pamiętać, że z faktu, iż mleczarz równy jest profesorowi nie wyniknie, że dostrzegalnie wzrośnie nam kadra mleczarzy. Mleczarzy potrzeba nam bowiem setki tysięcy; ilu zaś mamy profesorów? — Kilka tysięcy. Na razie ich mamy...

6. KU CZEMU ZMIERZAMY

Dzisiejsze relacje płac względem rodzaju pracy przemożnie wpływają na decyzje życiowe ludzi, zwłaszcza tych dopiero dojrzewających. Warto trzymać to w pamięci przy kolejnych próbach regulacji płac. Warto pytać — ku czemu zmierzamy? Warto wyobrazić sobie dzisiaj, jaką właściwie chcemy mieć gospodarkę jutro, aby nie doznać bolesnego zawodu — z powodu wyboru przez młodzież zawodów, preferowanych dzisiaj! Takiej złożonej pracy „pytania i wyobrażania sobie" podjęli się kiedyś Japończycy, (a ich wzorem inni) — i postawili właśnie na kształcenie oraz na nauczycieli: wszystkich i wszędzie. Czas pokazał, że nie zawiedli się. Lecz u nich właściwie każdy jest nauczycielem, przynajmniej w niektórych okresach życia, bo to się opłaca: każdemu i wszystkim. Czasy permanentnego kształcenia już się rozpoczęły — tę prawdę także powinniśmy dopuścić do naszej świadomości zbiorowej. Aby nie oglądać czerwonych latarni kolejnego już ekspresu.

Moja wyprawa po złote runo

ADAM OCHOCKI

Piotrkowska 102 a, prawa oficyna, parter... To tutaj przychodziłem codziennie o dziewiątej rano i o szesnastej — po przerwie obiadowej. Tutaj, przez osiem prawie lat, przeżywałem radości i zawody mego zawodu.

Na początku tylko ten lokal zajmowała redakcja naszego powojennego „Expressu". Potem redaktor: Konstanty Bogusławski wystarał się o kilka pokoi na pierwszym piętrze w lewej oficynie, co już znakomicie powiększyło naszą przestrzeń życiową. Ja pracowałem na parterze, na samym końcu korytarza. Po prawej stronie, tuż przy wejściu, za ścianką z dykty, urzędowali woźny i goniec. Za okienkiem panienka przyjmująca ogłoszenia i oferty. Jeden pokój mieścił całą naszą księgowość. Trzyosobowym zespołem kierował Konstanty Łosjew, przedwojenny dyrektor administracyjny „Republiki".

Dziadzia Kostia... Uczynny, serdeczny, pełen wigoru. Przed wojną, wchodząc do mego pokoju demonstrował niezwykłą sprawność fizyczną. Bez rozbiegu, z pozycji stojącej, wskakiwał na biurko. Po wojnie popisywał się inną sztuczką: unosił mnie w górę jak piórko i tak ściskał w muskularnych ramionach, że tchu nie mogłem złapać. Na wszelkie choroby jedno znał lekarstwo: łaźnię. Na półce pod samym sufitem, w kłębach pary, wypacał z siebie mikroby i wracał rześki jak poranek. Przypalając papierosa poruszał śmiesznie pożółkłymi od tytoniu wąsami i wygłaszał ulubione powiedzonko-prośbę: razrieszytie pritknutsa konczikom mojewo udowolstwija k waszemu wasspaleniju? Kochaliśmy go wszyscy, a poczciwy dziadzia obdarzał nas nie kończącymi się dykteryjkami. To dzięki niemu znam na pamięć w rosyjskim oryginale tasiemcowy, frywolny poemat Barkowa o Łukaszu Modiszczewie...

Szef miał swą siedzibę w trzecim od wejścia pokoju. Trzecim czy czwartym? Wiedziony sentymentem, po trzydziestu kilku latach dokonałem wizji lokalnej. Kompletne fiasko! Kapitalny remont zmienił lokal nie do poznania. Nic, żaden szczegół, nie przypomina zamierzchłych czasów...

Mimo że już kilka tygodni dwoiłem się i troiłem w „Expressie" — nie miałem zielonego pojęcia dla kogo. Kto jest moim pracodawcą? Szefem — Konstanty Bogusławski, to jasne, ale komu odprowadzamy dochody ze świetnie prosperującej popołudniówki? W stopce gazety jako wydawca figurował.. „Express Ilustrowany". Z przecieków wynikało, że wspieramy finansowo deficytowy „Głos Robotniczy". Jednakże jeszcze kogoś mieliśmy na garnuszku, jak mogłem wywnioskować na przyjęciu u redaktora, wydanym na cześć Eugeniusza Stawińskiego.

Pan Eugeniusz, generalny sekretarz Zarządu Głównego Zw. Zaw. Włókniarzy, w lutym 1947 roku objął po Kazimierzu Mijalu rządy na łódzkim ratuszu. Z tej to okazji mój szef zaprosił go do siebie na kolację. I ja tam byłem, miód i czystą piłem. Z nowym włodarzem miasta znaliśmy się od dawna. Przed wojną bombardowałem go telefonami. Pan Eugeniusz, aktywny działacz związkowy, informował mnie o strajkach i innych akcjach robotniczych. Po którymś toaście poprosiłem go o wywiad dla „Expressu". Odmówił: za wcześnie, dopiero poznaję nową pracę. Jakby wiedziony proroczą wizją, spytałem czy udzieli mi pierwszemu wywiadu, kiedy zostanie ministrem. Poklepał mnie po ramieniu i wyraził zgodę. Moje proroctwo spełniło się — Eugeniusza Stawińskiego powołano wkrótce na ministra przemysłu lekkiego, jednak z wywiadu... znowu wyszły nici. Ministrowie byli chronieni, mogli się wypowiadać tylko oficjalnie.

Redaktor ciskał gromy na łódzkich literatów. Znowu zagięli parol na nasz „Express". Tym razem poszło o napisany przez szefa felieton o Gałczyńskim, konkretnie o spektaklach teatrzyku „Zielona Gęś" na łamach „Przekroju". Konstanty Bogusławski bezpardonowo rozprawił się z gęsią i jej znakomitym autorem zarzucając mu ogłupianie czytelników.

Wygłosiwszy reprymendę, redaktor z tajemniczą miną wyjął z biurka jakiś papierek i podsunął prezydentowi.

— Nawet pan nie wie kto nas powołał do życia... Proszę...

Prezydent pokiwał z uznaniem głową: ho, ho. Czyj podpis figurował pod tym dokumentem — nigdy się nie dowiedziałem. Nie pytałem o to szefa, a on widać nie uznał za celowe wtajemniczać mnie. Jedno jest pewne: byliśmy spółdzielnią na wariackich papierach.

Przy stole biesiadnym redaktor podzielił się z nami nowiną.

— Mój syn wraca z zagranicy. I co ja z nim zrobię? On nie ma żadnych kwalifikacji zawodowych.

Bogusławskiego juniora widywałem od czasu do czasu przed wojną. Młodszy ode mnie o rok, może dwa, pobierał nauki w Gimnazjum Społecznym. Świetnie jeździł na łyżwach. Przychodził do ojca na Piotrkowską 49, do redakcji, w czapce uczniowskiej, gdy ja już byłem „panem redaktorem". Szef nieraz jeszcze w rozmowach ze mną wracał do sprawy syna. Przyznam szczerze — nie bardzo przejmowałem się jego kłopotami. Pochłaniała mnie bez reszty jedna tylko myśl i jeden przyświecał cel: zdobyć jak najwięcej materiału dla „Expressu". W pogoni za wiadomościami na nasz wyłączny użytek, bo tylko takie się liczyły, nie przebierałem w środkach. Stosowałem metody żywcem przejęte z dawnych, upiornych polowań na wierszówkę, stanowiącą przed wojną moje jedyne źródło utrzymania.

Do białej gorączki doprowadzały mnie konferencje prasowe. Na takich „zlotach" wszyscy mają jednakowe szanse, a przecież poranne gazety wychodzą przed nami! Toteż gdy tylko mogłem, wystawiałem konkurentów rufa do wiatru. Wacia Kasprzak, stawiająca wówczas pierwsze kroki w reporterce, spóźniła się na prasowe zbiegowisko. Gdy opuszczaliśmy salę, spytała mnie o czym mówiono do jej przyjścia. Odpowiedziałem z wdziękiem:

— Przeczyta pani o tym jutro w „Expressie".

Trzydzieści lat z hakiem stuknęło od tego wydarzenia, a kochana Wacia do dziś wypomina mi ten wybryk. Przepraszam!

Innym razem konferencję zwołała Liga Kobiet w swym lokalu przy ul. Andrzeja 1. Poinformowano nas o niezwykłej historii. Kilkanaście kobiet przybiegło do Ligi ze skargą, że wyeksmitowano je wraz z rodzinami z domu przy ul. Magistrackiej 30. I co się okazało? Petentki, żądające pomocy, popełniły ciężkie wykroczenie. Zdarły pieczęcie i bezprawnie zajęły lokale przyznane bezdomnym profesorom wyższych uczelni łódzkich. Wszystkie mieszkały w znośnych warunkach, doszły jednak do wniosku, że „tam będzie lepiej". Usunięto je z zagarniętych mieszkań i przeniesiono do uprzednio zajmowanych, co potraktowały jako bezprawną eksmisję.

Po konferencji Irena Kawczak, której chyba bardzo się śpieszyło, spytała na kiedy damy to do gazety. Ludzie kochani, **kiedy** damy taką sensację do gazety?

— Uważam, że pani powinna napisać o tym do swego dodatku kobiecego w „Głosie". To czysto kobieca sprawa — powiedziałem z głupia frant.

Przyznała mi rację, jednakże „Głos" nie zamieścił jej informacji. Dodatek „Zrobimy to same" ukazywał się w czwartki, zaś „Express" już nazajutrz, 31 maja 1947 r. wyskoczył z tą bombą na cztery szpalty pod tytułem „Zajęły cudze mieszkania!".

Ze szpalt naszej popołudniówki przez długi czas schodziły moje rewelacje o działalności Nadzwyczajnej Komisji Mieszkaniowej. NKM — skrót brzmiał groźnie, jak rkm, ckm. Bo też instytucja ta z nikim się nie cackała. Powołano ją w celu złagodzenia głodu mieszkaniowego, ukrócenia szalejącej spekulacji lokalami. Zadania jakie sobie postawiła mogły budzić nadzieje: zagęszczenie zbyt obszernych mieszkań, odbieranie nieprawnie zajmowanych i zasiedlanie ich rodzinami żyjącymi w najcięższych warunkach. Inspektorzy zaopatrzeni w listy z przygotowanymi adresami wędrowali od mieszkania do mieszkania i wręczali lokatorom karteluszki-rewersy. Jak w starej legionowej piosence o młynarce: „Ja za kwaterę dam ci kwit, a NKN zapłaci" (występujący w piosence NKN to ówczesny Naczelny Komitet Narodowy). Natomiast NKM płaciła innym locum — oczywiście mniejszym i nie wyposażonym tak luksusowo. Odwołania od jej decyzji nie było. W ciągu trzech dni „ponadnormatywni" lub dzicy lokatorzy musieli się wyprowadzić do wyznaczonego pomieszczenia. Niepracujący mogli tylko kątem u kogoś mieszkać. Twardo żądano okazywania zaświadczeń o pracy. Po 20—30 eksmisji przeprowadzano codziennie. Zdarzały się tragikomiczne sytuacje. Do siedziby NKM przy ul. Piotrkowskiej 113 przybiegł wzburzony obywatel i sepleniąc wykrzyknął:

— Panowie! Co ja mam zrobić? Oddałem sztuczną szczękę do naprawy dentyście, a wasi inspektorzy zapieczętowali mu mieszkanie. Czym mam jeść? Jak rozmawiać z ludźmi?

Słuszną w zamyśle akcję, społecznie uzasadnioną, po jakimś czasie przerwano. Coraz częściej zdarzały się przypadki nadużyć. NKM rozwiązano, jej przewodniczący, działacz związkowy Aleksander Burski, musiał się gęsto tłumaczyć ze zbyt pochopnych decyzji. Ja zaś straciłem intratne źródło dochodów wierszówkowych.

Mimo obiędnej, całodziennej harówy, starczało mi jeszcze czasu i sił na życie kulturalne. Repertuar kin nie był zbyt zachęcający. Na ekranach szły starocie. „Blagier", „Znachor", „Jadzia", „Wielki walc", „Szczęśliwa trzynastka"... W teatrach też nic specjalnego — Teatr Wojska Polskiego grał mnóstwo razy oglądaną przeze mnie „Zemstę", Teatr Powszechny — „Szelmostwa Skapena". Teatr Kameralny Domu Żołnierza mało atrakcyjną „Starą cegielnię". Używanie na całego miałem w licznych przybytkach podkasanej Muzy. W „Albatrosie", drewnianej budzie przylegającej do basenu przeciwpożarowego w pasażu między Piotrkowką a al. Kościuszki, śpiewał mój kolega ze szkolnych lat, Julek Sztatler. Przed wojną podrywał dziewczyny piosenką o „Huli, dziecięciu czarnej Eretrei, co poznała gdzieś tam marynarza", teraz takie same efekty osiągał przebojem „Wio, koniku" ze słowami Jerzego Jurandota.

„Syrena" wystawiała „Wiosenne rewierendum" (wchodziliśmy w okres referendum narodowego trzy razy „tak"). „Gong" — rewię „Dymsza, Humor i S-ka". Dodek zbierał laury i w Teatrze Letnim „Bagatela" przy ul. Piotrkowskiej 94. Razem z Górską, Górecką, Kurnakowiczem i Łapińskim występował w komedii muzycznej Gozdawy i Stępnia pt. „Bliźniak", grając podwójną rolę. Z „Bagateli" przeniósł się znowu do „Gongu" na Południową 11 (Rewolucji 1905 r.), gdzie wraz z Gierasieńskim do łez rozśmieszał publiczność w przedstawieniu „Przez dziurkę od klucza".

Łódź była pełna Dymszy. Opowiadano, że poza aktorstwem udziela się on czynnie również w branży gastronomicznej. Że jest właścicielem „Kaczki Dziwaczki", popularnej kawiarni na rogu Piotrkowskiej i Wigury. Nie odpowiadało to prawdzie, a plotka narodziła się w następujących okolicznościach. Lokal założyła i prowadziła urocza pani Irena Z., serdeczna znajoma Jana Brzechwy, na cześć którego ochrzciła kawiarnię tytułem znanego utworu pisarza. Pani Irena tylko w jednej czwartej była współudziałowczynią, zaś głównym finansistą — niejaki pan G. Szybko wycofał on swój wkład, przywłaszczając sobie na dokładkę ćwierć miliona złotych na szkodę wspólników. Przedtem wprowadził do lokalu jako swego męża zaufania Edwarda Bagińskiego, rodzonego brata Adolfa Dymszy, bo tak brzmiało rodowe nazwisko Dodka. Edward Bagiński chętnie przedstawiał się dla reklamy: Dymsza — i stąd poszła gadka, że to Adolf Dymsza jest właścicielem „Kaczki Dziwaczki".

Dodek mieszkał parę kroków od kawiarni — na ul. Żwirki przy Piotrkowskiej. Przez dziurawy dach woda wdarła się na górne piętro i kapu kap przeciekła do jego pokoju. Pobiegł do mieszkającego nad nim sąsiada, ale nikogo nie zastał. Dodek, majster nad majstry, zawsze miał na podórędziu komplet niezbędnych narzędzi stolarskich. Wiertarką wyświdrował otwór w podłodze: woda spłynęła do mieszkającego niżej sąsiada, zaś Dodek, już spokojny o swój dobytek, pojechał do teatru na przedstawienie.

Kulturalnym rozrywkom oddawaliśmy się również w redakcji. Z pasją graliśmy w „próbkę inteligencji". Dla niewtajemniczonych: zabawa polega na tworzeniu jak największej ilości rzeczowników w pierwszym przypadku l.p. z podanego słowa. Łoiłem skórę kolegom. Z „przedstawicielki" wyszło mi ponad trzysta słów.

Potem przyszła moda na „grę półsłówek". W specjalnie komponowanych dwu lub trzywyrazowych zdaniach należało przestawić pierwsze litery. Dawało to nieoczekiwane skojarzenia. Na przykład: „S-erwus N-iusia". Prześcigaliśmy się w wymyślaniu i wentylowaniu gdzie popadło najfrywolniejszych treści. „D-obitki ruszają k-upami", „T-ykający p-ytek", „D-uża k-upa", „T-enis w p-orcie" — to niewinne hasła w porównaniu z innymi. Na pewnym przyjęciu chciałem zabłysnąć. W moim zawołaniu występował sam generalissimus. W ferworze przestawiłem litery i od razu podałem rozwiązanie. Panie z piskiem zakryły oczy, panowie zawiśli wzrokiem na obliczu gospodarza. A był to rok 1947, przyjęcie odbywało się w mieszkaniu prokuratora B., mego sąsiada na Sienkiewicza.

Licytowaliśmy się w układaniu i puszczaniu w obieg „bajeczek". Początkowo oznaczały się niewinną treścią. Czy znasz bajeczkę o Łodzi? Łudź się, łudź. Ale szybko wyparły je inne — bajeczki o strachu, kolorach, manifeście. Nie przytaczam ich, żeby uszy czytelników nie powiędły.

Złożył mi wizytę w redakcji „Ślepy Maks", król przedwojennego świata podziemnego Łodzi, „bohater" moich rewelacji z poprzedniego tomiku wspomnień. Zanim rozpocząłem pracę we wznowionej popołudniówce ukazał się w niej artykuł pt. „Łódzki Rinaldo Rinaldini". Niedoświadczony dziennikarz spitrasił pochwalny pean o „Ślepym Maksie". Jak redaktor Bogusławski mógł to puścić? Maks Bornstein szukał reklamy. Chciał, żeby jego nazwisko znowu znalazło się w gazecie. Odmówiłem, dobrze pamiętałem jego niechlubną przeszłość. Eks-król próbował mnie nastraszyć, bąknął coś o niezbadanych wyrokach losu.

— Panie Maks, niech pan zapamięta sobie raz na zawsze: redakcja to nie przedwojenne „Kokolobolo". I nie te czasy! — usadziłem go.

Przycichł. Ale nie dał za wygraną. Podsunął mi pod nos wielgachną księgę pamiątkową z osobistymi dla niego podziękowaniami od prominenta PPR za wpłaconą na fundusz partyjny kwotę. Maks, właściciel małego warsztatu tkackiego, miał jeszcze jedną taką księgę z podziękowaniami od prominenta... PPS. Pomagały mu owe księgi w załatwianiu życiowych spraw. W zależności od tego kto kierował tą czy inną placówką — członek PPR czy PPS — obrotny Maks pokazywał to jeden, to drugi foliał... Widząc, że i to nie zrobiło na mnie wrażenia, wstał i skierował się ku wyjściu. Przy drzwiach, jakby od niechcenia, postawił kilka krzesełek jedno na drugim i bez wysiłku podniósł tę piramidę nie zginając ręki w łokciu. Miał facet krzepę.

Zacieśniłem kontakty z milicją. Zrobiłem wywiad z nowym komendantem M., przedwojennym pracownikiem fizycznym naszego wydawnictwa. Komenda MO mieściła się na ul. Jaracza. Przybiegłem tam rozdygotany.

— Panie pułkowniku, poproszę o asystę! Ciotki mojej byłej żony zamurowały skarb w mieszkaniu. Mam adres i plan sytuacyjny!

Poszukiwania skarbów pasjonowały łodzian. Ludzi ogarnął szał. Przekopywano ziemię w ogrodach i na działkach, rozwalano ściany w mieszkaniach, zrywano podłogi. Mój brat, Ludwik Starski, pisał właśnie scenariusz komedii filmowej pt. „Skarb". Wtajemniczył mnie w czołowy gag. Bohater filmu w kulminacyjnym momencie wybija w ścianie otwór i wyciąga srebrne precjoza z... kredensu mieszkającego obok sąsiada. W pogoni za wierszówką i sławą popełniłem brzydki uczynek i to wobec rodzonego brata: napisałem felieton do „Expressu" zdradzając pointę filmu!

Zgodnie z obowiązującymi przepisami, ekshumacja ukrytego dobytku mogła się odbyć tylko za wiedzą i w obecności władz. Część znalezionych rzeczy szła na rzecz skarbu państwa, resztę zatrzymywał właściciel lub znalazca. Moja eks-małżonka wiedziała niewiele. Tyle tylko, że ciotki przed wkroczeniem Niemców „coś" zamurowały w mieszkaniu. Co, ile, gdzie — nie miała pojęcia.

Komendant wyraził zgodę na moją wyprawę po złote runo. Ja, jako ów legendarny Jazon, objąłem komendę. Zamiast Heraklesa, Kastora i Polluksa towarzyszyli mi porucznik i sierżant MO oraz milicjant bez dystynkcji służbowych. Rolę koraba „Argo" spełniał wysłużony „jeep", a Kolchidy, celu eskapady — mieszkanie w lewej oficynie czynszowej kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 132.

Na nasz widok lokatorka załamała ręce.

— Wiedziałam, że to się tak skończy? Wódka i dziwki go zgubiły!

W mieszkaniu natrafiliśmy przypadkowo na skład skradzionej przędzy. Ale gdzie szukać skarbu? Rozejrzałem się dokoła. Gdzie ja bym ukrył wartościowe rzeczy przed niepożądanymi gośćmi?

— Proszę opróżnić te półki — wycelowałem palec w murowaną szafę na korytarzu.

— Panie naczelniku, tam nic nie ma. Same weki. Wiśnie i truskawki...

— Pani będzie uprzejma usunąć wszystkie słoiki.

Odgarnąłem gazetę na dole. Cementowy podkład mienił się niejednolitą barwą.

— Niech pan tu stuknie młotkiem — wskazałem milicjantowi miejsce, gdzie cement z żółtej przechodził w zielonkawą barwę.

Jedno uderzenie, drugie, trzecie...

— Jest! — zawołał milicjant wsuwając rękę do otworu.

Właścicielka mieszkania zdębiała. Koledzy rębaczą porzucili przeliczane motki i wpadli do korytarza. A ja o mało nie zemdlałem z wrażenia. To się nazywa mieć nosa! Bezbłędnie, drogą dedukcji, określiłem właściwe miejsce. Jak sam Cherlak Szelmes!

Ze schowka wydobyliśmy srebrną zastawę stołową na 12 osób: noże, łyżki stołowe i herbaciane, widelce, oraz dwie, zachowane w doskonałym stanie książeczki oszczędnościowe PKO na nazwisko ciotek żony. Książeczki wzbogaciły moją kolekcję staroci, mam je do dziś — jedna z wkładem 3.088 zł, druga — 100 złotych.

I tak oto zakończyła się moja wyprawa nie tyle po złote co po srebrne runo.

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku drugiego tomu książki pt. „Reporter przed konfesjonałem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę.

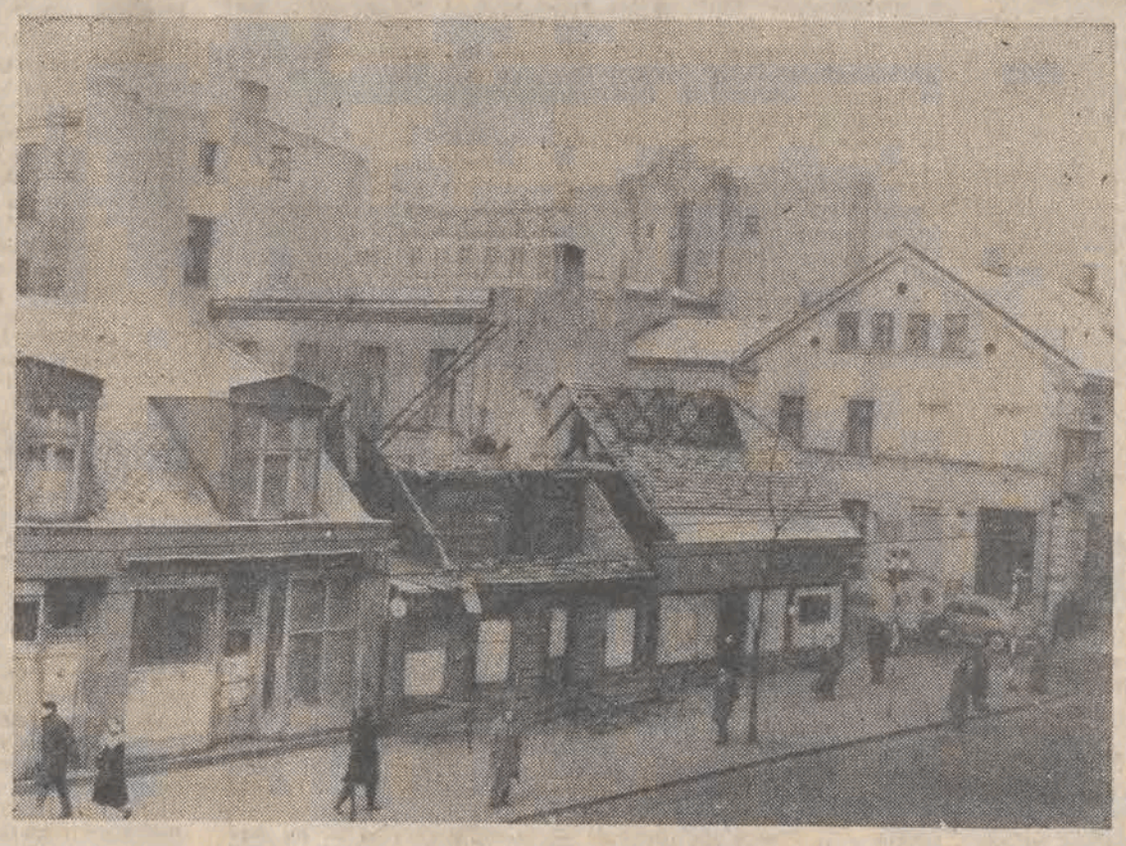

Piotrkowska przy Zamenhoffa

Foto: Eugeniusz Kudaj

Skarga

Dokończenie ze strony 1

— Pogódź się Michał, pogódź — mówi — bo to wszystko nie ma sensu... — Nigdy! — mówię... — To poradź się kogoś, pogadaj z kimś — ona na to — może ci kto przetłumaczy, że tak dalej żyć nie możemy.

Na tym skończyliśmy rozmowę, bo córka moja Karolinka zaczęła płakać i Alinka poszła ją przewinąć. Znowu położyłem się na tapczanie i zacząłem rozmyślać, kogo by się tu poradzić, z kim pogadać?

A zaczęło się to trzy lata temu na zabawie ludowej w mieście powiatowym P., gdzie poznałem żonę moją, Alinkę, która tam była bufetową. Do miasta P. pojechałem namówiony przez kolegę Janka C., z którym pracuję w fabryce. — Przyjedź w sobotę — powiedział — zabawisz się, dziewuchę jaką poznasz. Nie będziesz żałował, dziewczyny u nas jak łanie i za kawalerami aż nogami trą — kusił. Wbiłem się więc w czarny garnitur, pół litra zapakowałem do teczki i pojechałem.

Alinka od razu wpadła mi w oko. Stała za bufetem jak królowa na balkonie i żaden pijak nawet głosu nie śmiał podnieść. Wypiłem więc z kolegą przywiezione pół litra i stanąłem przy bufecie. Postałem, pogapiłem się, ale jak długo można stać, gdy wkoło tłok jak w tramwaju przed pierwszą zmianą. Ciągle ktoś mnie od bufetu odpychał, a ona wcale na mnie nie patrzyła. „Poczekaj ty sobie poczekaj, zaraz na mnie spojrzysz" — pomyślałem. No i nadszedł taki moment, gdy tłum jeszcze bardziej zgęstniał i wtedy krzyknąłem na cały głos: — Z bąbelkami proszę!... Stała tam na najwyższej półce butelka szampanskowo, zakurzona, ledwie można było dojrzeć etykietkę. Diabli wiedzą, po co ją tu ustawili, chyba tylko dla ozdoby, bo chłopaki wolą czystą goldę. Tak sobie teraz myślę, że ta butelka musiała przetrwać niejedną zabawę w mieście P. No, ale była i dzięki niej Alinka na mnie spojrzała. Huknąłem korkiem aż piana po paluchach poleciała na podłogę. A gdy się przerzedziło przy bufecie, poprosiłem dwie szklanki, napełniłem po czuby i jedną przysunąłem Alince. — Napije się pani ze mną?... — Widziałem, że się waha, nawet byłem pewien, że odmówi. Ale nie, wypiła. I taki był początek naszej znajomości, która w pół roku później zaprowadziła nas przed ołtarz w parafialnym kościele w mieście P.

Po ślubie Alinka przeniosła się do mnie, do miasta Ł. Nie narzekam, dobrze nam było ze sobą. Na początku Alinka trochę napomykała, że chce iść do pracy, ale powiedziałem, że o tym później pomyślimy, na razie niech odpocznie, rozejrzy się po mieście, bo ładniejsze i większe od miasta P. Tak jej mówiłem, a w skrytości myślałem, że nie ma sensu posyłać jej do roboty, kiedy dzieci mogą się nam posypać.

Staraliśmy się z Alinką, staraliśmy do słódmych potów, do ostatniego zmęczenia. Nic nam jednak z tego starania nie wychodziło. Rok się już kończył, a ja zacząłem przemyśliwać, że z nami coś jest nie w porządku. Próbowałem nawet Alinkę namówić do pójścia do doktora, ale tylko się obraziła. Po dwóch dniach powiedziałem sobie, że tak dalej być nie może. Czas mija, a nam może szansa ucieka sprzed nosa. Znowu zaczęliśmy te wieczorne starania, ale nie szło mi już tak, jak przedtem, bo czułem, że tracę do Alinki serce. No i popijać zacząłem... Przy wódce kolega powiedział mi, że on z babami najbardziej lubi tak... no inaczej niż zwykle. Na drugi dzień przypomniałem sobie te jego słowa. Cholera, a może w tym coś jest? No, bo jeśli nie wychodzi nam to zwykłe, normalne ciupanie, to może by spróbować czegoś innego? A wieczorem... Alinka rozbeczała się i musiałem ją mitygować ostrymi słowami: — Leż spokojnie głupia! To wcale nie boli! Rano nie chciała na mnie patrzeć, od razu uciekła do kuchni. Musiałem na ręce ją brać i zanosić na tapczan. Po robocie zaprosiłem kolegę na wódkę i dokładnie wypytałem o szczegóły. Opowiedział z detalami, jak na spowiedzi świętej. Do domu wróciłem z rozpaloną głową, ale mnie Alinka nie dopuściła do siebie, bo znowu się rozwiewały nasze nadzieje na powiększenie rodziny.

Przydały mi się jednak te opowieści kolegi. Nie poradziłbym sobie bez nich. Alinka nie protestowała już tak bardzo, jak za pierwszym razem, a nawet zauważyłem, że zaczyna się jej to podobać. Zwłaszcza... zresztą nie będę Panu Prokuratorowi w szczegółach opisywał mojego małżeńskiego pożycia, bo to jest skarga na Genowefę Lioman i Wojciecha Tatara, a nie na moje małżeństwo. Dość że serce do Aliny odzyskałem i było prawie tak, jak na początku. Minęło półtora roku i znowu nic nie było. Zauważyłem, że coraz niechętniej myślę o tych nocnych wygibasach. Wtedy chandra mnie naszła taka, że wódkę piłem, jak smok i nic, trzeźwy byłem jak świnia w Święta Wielkanocne. Alinka także posmutniała i ciągle napomykała o swojej chęci do pracy.

Od tego czasu zacząłem nosić w kieszeniach cukierki. Gdy tylko zobaczyłem dzieciaka, wołałem go do siebie i częstowałem cukierkami. Znalazłem w tym dziwną przyjemność, zwłaszcza gdy widziała to Alinka. A że potem w domu płakała... No i dobrze, niech płacze, myślałem.

Pod koniec drugiego roku Alinka powiedziała do mnie któregoś ranka: — Michał, wracaj z pracy prosto do domu, bo mamy zamówioną wizytę u lekarza. — Jakiego lekarza? — zdziwiłem się, bo wcale nie byłem chory. — Pójdziemy sprawdzić, czy możemy mieć dzieci — mówi ona poważnym głosem, a mnie zła krew zalała i zacząłem krzyczeć, że nigdzie nie pójdę, jak chce, niech sama idzie. No i poszła. A po tygodniu przynosi jakiś papierek i podsuwa mi pod nos. A wesoła taka, jakby milion w totka trafiła. — Patrz — mówi — na próżno się martwiłeś, bo ja mogę mieć dzieci...

Z Alinką żyłem coraz rzadziej, choć ochoty mi nie brakowało. Bałem się jednak tych naszych zbliżeń, bo każde potwierdzało ten wyrok z papierka. Aż któregoś dnia, gdy wróciłem schlany jak nieboskie stworzenie, Alinka mi powiedziała, że jest w ciąży. Cholera, tak sobie wymarzyłem tę chwilę, tak sobie ją wydumałem, a tu nic, ledwie stoję na nogach i słowa mi się plączą. Dopiero na drugi dzień... Niczego nie pozwoliłem jej dotknąć. Wszystko w domu robiłem sam. I tylko słuchałem, jak ten w jej wnętrzu rośnie, oddycha, złości się, kopie...

Dziewięć miesięcy zleciało tak szybko, że się nawet nie obejrzałem. Aż któregoś dnia Alinka mnie obudziła w środku nocy i powiedziała: — Leć Michał po taksówkę, bo u mnie chyba się zaczęło. Nim oprzytomniałem, już byłem w spodniach i w swetrze. Ledwie mnie Alinka zmusiła bym założył buty. Na szczęście taksówkę złapałem blisko domu. Pojechaliśmy do szpitala wojewódzkiego w mieście Ł.

Rano zapakowałem litr wódki i pojechałem do roboty. W fabryce od razu zauważyli, że ze mną jest coś nie w porządku. Tego dnia roboty nie było, bo wypiliśmy te dwie butelki, a potem skoczyłem po jeszcze dwie i tak siedzieliśmy i gadaliśmy, aż do fajerantu. Majster z początku trochę sarkał, ale koledzy mu wytłumaczyli, więc strzelił z nami kielicha i mieliśmy spokój. Chłopaki mnie uspokajali, że wszystko będzie dobrze, a jeden z nich, który miał już pięcioro dzieci i szóste w drodze opowiadał, że bez wódzi on by tych rodzeń nie przeżył.

Za bramą chłopaki jeszcze dopominali się o wódkę, ale ten, co miał pięcioro dzieci i szóste w drodze powiedział, że powinienem skoczyć do szpitala, bo może jest już po wszystkim. No to skoczyłem, a chłopaki ze mną. Do środka ich nie wpuścili, a mnie tylko na korytarz do telefonu. Kazali mi nakręcić jakiś numer i pytać o Alinkę. Nakręciłem i mówię: — Nazywam się Michał Rudyk. W nocy przywiozłem żonę moją Alinkę na rodzenie... — Jak się pan nazywa? — pyta mnie damski głos w słuchawce... — Rudyk — mówię głośniej, bo po wódce trudno mnie zrozumieć... — Niech pan nie krzyczy — mówi ta w słuchawce — zaraz sprawdzę.

Długo to trwało i już chciałem ponownie dzwonić, ale na szczęście znowu usłyszałem głos w słuchawce: — Panie Rudyk, jest pan tam?... — Jestem — odpowiadam... — Wszystko w porządku — mówi ta w suchawce. Serce mi załomotało jak dzwon na podniesienie. Pytam jednak spokojnie: — Jak to w porządku? Urodziła już żona moja, Alinka?... — Nie, jeszcze nie rodziła, ale wszystko jest w porządku, nie powinien się pan martwić... — Wcale się nie martwię — mówię tak spokojnie, że aż mi samemu dziwnie — tylko dziś w nocy przywiozłem żonę moją Alinkę, bo mi powiedziała, że się już zaczęło... — Rozumiem — mówi ta w słuchawce — wszystko wiem, tylko nie zawsze to tak idzie szybko, jak pan myśli. Ale wszystko będzie w porządku... — Co mi pani tu wyjeżdża z tym porządkiem! — powiedziałem, bo w końcu przerwała się we mnie ta tama spokoju — Nic nie jest w porządku, skoro żona moja, Alinka, powiedziała w nocy, że się już zaczęło, to dlaczego się nie kończy!... — Niech pan nie krzyczy, bo położę słuchawkę — powiada babsko z drugiego końca telefonu. — Najlepiej niech pan idzie do domu, prześpi się i jutro do nas zadzwoni. — Trzask i słuchawka odłożona. Wściekłem się i chciałem ponownie zadzwonić, ale portier mi nie pozwolił. Poza tym chłopaki zaczęli się niecierpliwić i stukać do drzwi, więc machnąłem ręką i wyszedłem.

Obskoczyli mnie za drzwiami, zaczęli ściskać i całować, a ten, co miał pięcioro dzieci i szóste w drodze, powiedział, że on obstawia chłopaka. — Dajcie spokój — powiedziałem, gdy się trochę uspokoili — nic jeszcze nie ma, ale wszystko jest w porządku... — Jak to nie ma? — zdziwili się. — Przecież mówiłeś, że w nocy się zaczęło?... — No, mówiłem... Dużo wam mówiłem, a teraz mówię, że wszystko jest w porządku. Gdybym mógł pogadać z żoną moją, Alinką, to bym wiedział więcej, ale gadałem z taką zołzą, co tylko mnie uspokajała zamiast powiedzieć co i jak.

Podumali chwilę, a jeden z nich, najmłodszy, mówi: — Mnie się ten szpital nie podoba. Podobno masa ludzi tu umiera!... — Ty, głupi! — krzyknął ten, co miał pięcioro dzieci i szóste w drodze. — Komu to mówisz? Michałowi! Przecież widzisz, że on nam gotów kipnąć na ulicy. Chłopaki, chodźmy się napić!... No i poszliśmy.

Rano nie poszedłem do fabryki, tylko pojechałem do tatki. Jak mnie zobaczył, to wszystkiego się domyślił. Był zły, że wczoraj do niego nie wpadłem. Posiedziałem chwilę, wypiłem herbatę i postanowiłem iść do szpitala, ale tatko mi powiedział, że wystarczy tam zadzwonić. Więc zeszliśmy do sąsiadów, którzy mieli telefon i tatko zadzwonił, bo mnie się trzęsły ręce i nie mogłem nakręcić numeru. — Ja w sprawie Aliny Rudyk — tatce też głos się zmienił. — Wczoraj w nocy syn mój, Michał, przywiózł ją do szpitala... Tatko przyssał się do słuchawki, aż mu ucho poczerwieniało. — Każe czekać — szepnął, a ja pokiwałem głową, że wiem, bo pewnie trafił na tę samą zołzę, co ja. Długo staliśmy w tym przedpokoju, aż sąsiadka zaczęła wyglądać z kuchni. Może się bała, że coś z przedpokoju świśniemy? Głupia baba! Nagle tatko drgnął: — Tak — mówi — czekam — mówi — w porządku? — mówi, a we mnie zaczyna się gotować, więc wyrywam tatce słuchawkę i krzyczę: — Już wczoraj to słyszałem! Nie interesuje mnie, czy wszystko jest w porządku, tylko czy żona moja, Alinka, urodziła?! — Ale w słuchawce cisza. Tatko patrzy na mnie zbaraniałym wzrokiem i ja patrzę na niego i niczego nie rozumiemy. — Co ci powiedziała ta... — nie dokończyłem, bo w obcym mieszkaniu nie lubię się wyrażać. Tatko pokręcił głową i powiada: — Nic konkretnego, tyle tylko, że wszystko w porządku, Alinka jeszcze nie urodziła... — Po co ja ją zawoziłem do tego szpitala! — mówię i widzę, że sąsiadka ciekawie ucha nadstawia, więc kładę dwadzieścia złotych na stoliku i ciągnę tatkę na górę, do mieszkania. — Po co obcych ludzi wtajemniczać w nasze zmartwienia... — Nie podoba mi się to wszystko — mówi tatko i stawia na stole pół litra. — Posiedź Michał, pogadamy...

Nie smakowała mi ta wódka, ale nie chciałem go urazić. — Co jest z tym szpitalem? — pyta. — Zdaje się, że coś na ten temat mówiłeś?... — Nic — odpowiadam — szpital jak szpital, tylko ta zołza w słuchawce denerwuje mnie okropnie... — Brr, nieprzyjemne babsko — mówi tatko. — Jak kto ma taki paskudny głos, to i charakter pewnie nie lepszy!... — Nie martw się tata — mówię — dowiem się, jak to babsko się nazywa i gdzie trzeba naskarżę. To już nie mają w tym szpitalu nikogo, kto by po ludzku powiedział co i jak?

Z tego portiera niezły jest chłop, numer mi nakręcił, nawet słuchawkę przyciskał do ucha, bo ręce mi się trzęsły jak delirykowi. Głos także mi się trząsł, ale tylko z nerwów, bo w słuchawce usłyszałem głos zołzy. Jakoś się opanowałem i mówię: — Chciałem się dowiedzieć, co z żoną moją Alinką Rudyk?... — Aha — mówi tamta — poznaję. Pana żona rodzi... — Trzask i słuchawka odłożona. A to cholera! Przecież wiem, że rodzi! A co ma robić? Tańczyć czy co?! — Panie — mówię do portiera — muszę jeszcze raz zadzwonić, bo ta stara prukwa nic nie chciała mi powiedzieć... — Nie ma obawy — odpowiada tamten. — Na własne uszy słyszałem, co siostra panu powiedziała. Rodzi, to znaczy rodzi i nie wolno im teraz przeszkadzać... — Dla pana to może ona jest siostrą, ale dla mnie siostrą nie jest i nie będzie!... — Proszę się uspokoić — mówi ten dziad — bo wezwę policję... — Wzywaj sobie kogo chcesz — odpowiadam i chwytam za telefon. Dopiero, gdy przyleciał drugi w białym fartuchu oderwali mnie od słuchawki i wyrzucili na ulicę.

Rano pojechałem do fabryki, ale długo nie usiedziałem na miejscu. Poszedłem do majstra i zgłosiłem chorobę. — Dobra, dobra, znam tę chorobę — powiedział. — Idź do domu i nie wracaj, aż z nowiną o dzieciaku...

Przebrałem się i pojechałem do szpitala. Był tam inny portier, z dziennej zmiany, więc bez gadania dopuścił mnie do telefonu. Pomyślałem sobie, że jak usłyszę głos tej zołzy, co zwykle, to odłożę słuchawkę, ale jakoś się przemogłem i dobrze zrobiłem, bo ta cholera była chyba w dobrym humorze i od razu powiedziała: — Panie Rudyk, niech się pan czegoś przytrzyma... — Trzymam się — mówię — słuchawki i to mi na razie wystarczy... — Ma pan córkę! No co, cieszy się pan?... — Cieszę się — odpowiadam po chwili, bo głos mi w gardle uwiązł. — A co z żoną moją, Alinką?... — Dobrze — mówi ona takim słodkim głosikiem — długo to trwało, ale wszystko jest w porządku.

Z tej radości nawet jej nie podziękowałem. Portier kazał mi usiąść na krzeselku i podał szklankę wody. — Każdy mi tu mdleje przy telefonie — mamrotał. Odsapnąłem, odzipnąłem, wsunąłem mu stówkę do fartucha i pognałem do domu. W domu jednak nie mogłem wytrzymać, więc pojechałem do tatki. Jemu także zrobiło się słabo i musiałem go ratować wodą. A kiedy już przyszedł do siebie, zaczął mnie wypytywać: — A ile waży ta moja wnuczka?... — Wzruszyłem ramionami, bo nikt mi tego nie powiedział. — Dziecko jak dziecko, ile toto może ważyć? Ot, jak dobra gęś. — Ty nie bagatelizuj tej sprawy — mówi tatko — po tym się sprawdza, czy dziecko nie chorowite... — Cholera — mówię — nie wiedziałem, a ta nie raczyła mnie o tym poinformować... — Tatko pokręcił głową. — A może ona nie chciała ci tego powiedzieć?

Tak się zdenerwowałem, że od razu chciałem lecieć do szpitala, ale tatko mi przypomniał, że wystarczy zadzwonić. Więc zadzwoniliśmy, to znaczy tatko dzwonił, a ja stałem z boku i nadstawiałem uszy. I dobrze się stało, że zadzwoniliśmy, bo tatko dowiedział się więcej niż ja. — Dziewczynka waży trzy i pół kilo, ma prawie pięćdziesiąt centymetrów i jest bez skazy! — powiedział specjalnie tak głośno, bo sąsiadka z kuchni nas podsłuchiwała. — Wszystko w porządku synku. Jutro masz zadzwonić do szpitala, może Alinka podejdzie do telefonu.

Nie chciałem z tatką pić wódki, bo wiem, że mu szkodzi. Był zły, że odchodzę, więc mu powiedziałem, że czekają na mnie chłopaki. Podjechałem pod fabrykę i poczekałem na nich. Od razu poszliśmy do knajpy i nie wiem, w jaki sposób dotarłem do domu. Rano łeb mi trzaskał i nie chciało się jechać do fabryki. W porę jednak przypomniałem sobie o telefonie do Alinki, więc ubrałem się i pojechałem do szpitala. A tam już przy telefonie stała kolejka i portier co rusz latał ze szklanką ratować osłabłych ojców. Kiedy doszło do mnie, zadzwoniłem i poprosiłem Alinkę. Ledwie ją poznałem po głosie, taki był słaby i zmieniony. — Jak się czujesz żono moja Alinko? — pytam... — Dobrze — mówi — już dobrze, choć się namęczyłam okropnie. Przynieśli mi dzisiaj dziecko do karmienia: takie spokojne, cały czas spało, nawet dlągnęło przez sen... — Ładna jest ta nasza córeczka? — pytam, ściszając głos, bo wokoło pełno czekających i pchających się do telefonu. — Ładna — mówi Alinka niepewnym głosem. — Była cała opatulona. Widziałam ledwo czubek nosa i usta, ale jutro ją obejrzę... — Obejrzyj Alinko, obejrzyj — mówię, ale nie pozwolono mi skończyć, bo stojący w kolejce zaczęli na mnie pyskować, więc tylko powiedziałem, że jutro zadzwonię.

Nad ranem obudziłem się z przeświadczeniem, że o czymś ważnym zapomniałem. O czym? Diabli wiedzą! Przez godzinę dumałem nad tym moim głupim uczuciem, aż wreszcie, gdy już machnąłem ręką, przypomniałem sobie. Kwiaty! Idioto! Zapomniałeś o kwiatach. Wstyd mi się zrobiło, bo co sobie Alinka o mnie pomyśli?! Wyskoczyłem z domu i w najbliższej kwiaciarni kupiłem odpowiedni bukiet.

Z tym bukietem pewnie do tramwaju bym się nie wcisnął, więc wsiadłem do taksówki, modląc się w duszy, żeby starczyło mi pieniędzy. Na szczęście starczyło.

Gdy wszedłem do szpitala, miałem głupie przeczucie, że zdarzy mi się coś przykrego. No i od razu zobaczyłem tego portiera z nocnej zmiany. Popatrzył na mnie koso, a ja nic, jakbym go nie poznawał. — Żonie chciałbym przekazać kwiatki — mówię mu. — Wczoraj urodziła dziewczynkę. Należy się jej... — Dobra, dobra — mówi ten dziad — niech pan czeka, zadzwonię na oddział, przyjdzie siostra, odbierze kwiatki.

Dobrze jest, myślę sobie, mogę poczekać. Dziad dzwonił i dzwonił, ale nikt nie schodził. Wreszcie przyszła: mała, czarna, ospowata na gębie. Coś mnie tknęło, że to będzie ta zołza z telefonu. Odezwała się i wiedziałem, że to ona. — Słucham pana — mówi... — Kwiatki chciałbym przekazać żonie — peroruję grzecznie i uśmiecham się przymilnie. — Mogą być kwiatki — mówi ona — tylko niech pan wyjmie asparagus, bo z nim nie wolno... — Jak to wyjąć. Przecież to jest bukiet! Bez asparagusa bukiet nieważny... — Ważny, ważny — odpowiada. — Niech pan wyjmuje bez gadania, bo się spieszę... — Dobrze — mówię — wyjmę.

Trochę to trwało, bo musiałem drut rozplątywać. Zołza stała obok i posapywała ze zniecierpliwienia. Miałem rację: bez asparagusa to już nie był bukiet. Cholera, pomyślałem, przecież nie będę się kłócił z tym babskiem o głupie zielei

Podałem jej kwiaty, a ona stoi i gapi się na mnie. Przecież przed chwilą się spieszyła! Staliśmy tak w milczeniu i już zacząłem grzebać po kieszeniach, żeby jednak dać jej kilka groszy, ale natychmiast przypomniałem sobie, że nie mam już pieniędzy. Odwróciłem się na pięcie i mówię: — Zadzwonię do żony mojej, Alinki i powiem jej o tych kwiatach. — Musiałem przecież mieć pewność, że ona nie ciśnie ich gdzieś po drodze.

Nagle czuję jej rękę na swoim ramieniu. — Panie Rudyk — mówi ona z takim dziwnym błyskiem w oczach, że aż mnie zmroziło. — Niech pan dzisiaj nie dzwoni do żony. Śpi teraz, bo źle się czuje. — Szarpnąłem się, strąciłem jej łapsko. — Teraz mi pani o tym mówi? Dlaczego nie od razu?... — Po co to panu? — odpowiada z głupim wyrazem twarzy... — Jak to po co? Mężem jestem czy nie?... — Jasne, że mężem — mówi uspokajająco, a mnie szlag trafia... — Coście z żoną moją, Alinką, zrobili?!... — Nic — mówi ona — w szoku jest — mówi — poporodowym... — W jakim szoku? Przecież wczoraj z nią rozmawiałem!... — Wczoraj to było wczoraj, a dzisiaj jest inaczej...

Ty babo coś kręcisz, myślę sobie i buch do telefonu. Patrzę, a ona biegnie po schodach. Portier schwycił mnie za rękę, ale tak na niego spojrzałem, że puścił bez słowa. No, muszę zadzwonić, nim zołza dobiegnie. Nakręciłem numer i w czeluść słuchawki rzucam, że chcę koniecznie mówić z żoną moją Alinką. A z tamtej strony głosik wątlutki informuje mnie, że Alinka śpi i nie podejdzie. No to ryknąłem, żeby ją obudzić i głosik kazał czekać. Szum tam był, rwetes, aż w końcu usłyszałem zapłakany głos Alinki: — Michał? Zabierz mnie stąd, koniecznie zabierz!... — Co się stało Alinko? — pytam przerażony, bo skąd u niej łzy, jak wszystko w porządku... — Michał — płacze Alinka — dziecko nam zamienili!... — Co zrobili?! — krzyknąłem aż dziad w portierni podskoczył... — Zamienili! — kwili Alinka... — Jak to możliwe? — pytam, choć gardło mam ściśnięte... — Zamienili — powtarza żona moja Alinka. — Przywieźli dzisiaj na wózku do karmienia z dwadzieścia takich dzieciaków i mówią, żebym sobie wybrała. A skąd ja mogłam wiedzieć, które moje, jak wszystkie w takich samych prześcieradłach. No skąd?! To ja mówię, że nie wiem, a siostra się śmieje i wyciąga jedno z nich i mówi, że to moje, bo tak pisze na plastrze. A ja wiem, że to nie moje!... Gryzie, płacze... A moje było takie spokojne!... — Alinko — mówię i nie poznaję swojego głosu — Alinko... — ale tam już nie ma mojej żony, tylko słyszę głos zołzy i szamotaninę przy telefonie. Jezu, co ja mam robić?! — Hallo — krzyczę — hallo! Chcę mówić z żoną moją... — Trzask.

Popatrzyłem nieprzytomnie dookoła i runąłem w drzwi, które mnie odgradzały od Alinki i dziecka. Trzasnęła szyba, posypało się szkło, drzwi puściły. Ten dziad z portierni złapał mnie w połowie schodów, inni, którzy nadbiegli, przytrzymywali.. Z przeciętej ręki krew leciała jak z sikawki strażackiej. Zaraz przyszedł starszy facet ze słuchawkami lekarskimi na szyi i rękę mi zabandażował. A głową kręcił... W końcu powiedział: — I trzeba to tyle wódki pić? Nie można uczcić urodzin dziecka kulturalniej?... — Jak Boga kocham, nie wypiłem dzisiaj ani kieliszka — mówię mu, bo mi trochę złość mijała i wstyd się zrobiło. — To wszystko, panie doktorze, przez żonę moją Alinkę. Powiedziała mi, że nam tu dziecko zamienili... — Jak to zamienili? — zdziwił się... — A bo ja wiem? — odpowiadam. — Żona moja Alinka rozpacza, to co ja miałem biedny zrobić. — Na pewno nie drzwi rozwalać — mówi surowo. — A histerii żony niech się pan nie dziwi. To często się zdarza młodym matkom. Za kilka dni minie — powiedział i poszedł, a ja zostałem z obandażowaną ręką i myślami.

Nim wyszedłem ze szpitala, kazali mi podpisać papierek, że za szybę zwrócę w późniejszym terminie. Podpisałem i wyszedłem. Głowa mi pękała i różne myśli przychodziły do głowy. Gdybym wiedział, co mnie w tym szpitalu czeka, nigdy bym żony mojej Alinki tu nie przywiózł!

Szedłem tak, Panie Prokuratorze, i czułem, że z tej mojej poprzedniej radości zostaje tylko popiół, gorzki osad i ciężar gniotący w piersiach. No, bo jeśli zamienili, to co? Cudze dziecko wychowywać?! W domu miejsca nie mogłem sobie znaleźć. Myślałem wciąż o słowach Alinki i porywała mnie wściekłość, żal i ból, i z tego wszystkiego nie wiem, co bym zrobił. Ale z kim miałem o tym gadać? Sam z sobą?

Rano obudziłem się rześki, świeży jakbym wyszedł nie z betów, ale z kąpieli w plance. Nawet zacząłem pogwizdywać, ale mój dobry humor diabli wzięli, gdy przypomniałem sobie wczorajszą awanturę. Po cholerę rozwalałem tę szybę?! Wszystko przez żonę moją Alinkę! Jak zaczęła kwilić, że dziecko zamienili, to głowę straciłem. Spokojniejszy by nie wytrzymał, a o mnie tatko zawsze mówił, że jestem w gorącej wodzie kąpany. No i co ja mam teraz zrobić? Przepraszać za wczorajsze? Może tę zołzę, która mnie od początku denerwuje? A może tego dziada w portierni. A jeśli Alinka miała rację? Ja będę ich przepraszał, a oni moje dziecko podmieniają na obcego bękarta?! Tu nie przeprosiny potrzebne, ale walenie w głupie mordy...

Tak się uspokajałem, Panie Prokuratorze. I pewnie całkiem bym się uspokoił, gdyby nie te głupie słowa żony mojej Alinki. Na nic zdało się moje uspokajanie, kiedy one tam, wewnątrz mnie siedziały i żadnym sposobem nie mogłem ich stamtąd wyrzucić. Czułem, że padło to ziarenko na dobrą glebę, bo mi się od początku szpital wojewódzki w mieście Ł. nie podobał, a zwłaszcza nie podobali mi się jego pracownicy w osobach Genowefy Lipman pielęgniarki i dziada w portierni, którego nazwiska nie znam do dzisiaj.

Gdybym miał pewność, najgłębszą pewność, że to, co mi powiedziała żona moja Alinka jest prawdą, to bym ten szpital wojewódzki w mieście Ł. przewrócił, rozdeptał, starł na proch. A jeśli to wszystko nieprawda?!

Wymyśliłem w końcu, Panie Prokuratorze, że powinienem przeprosić, ale i z Alinką pogadać, a przede wszystkim samemu dziecko obejrzeć. A cóż to ja, ojciec, nie poznam swojego dziecka?!

Ubrałem się porządnie i pojechałem do szpitala. W portierni siedział ten z dziennej zmiany, więc obyło się bez kłopotów. Zadzwoniłem i grzecznie poprosiłem doktora. — Nazywam się Rudyk — mówię — chcę z panem porozmawiać... — Rudyk? — powtarza tamten — to dobrze, też chciałem z panem porozmawiać...

Niedługo czekałem. Przyszedł taki mały, łysy, wziął mnie pod ramię i zaciągnął do kąta. — Tatar jestem — mówi — doktor Wojciech Tatar. Odbierałem pańskie dziecko... — Nastroszyłem się i pytam, komu odbierał? Uśmiechnął się i wyjaśnił uprzejmym tonem, że tylko tak się mówi... — Dobrze, możemy tak mówić — niech wie, że jestem zgodliwy... — Mam do pana pretensje za wczorajszą awanturę — mówi dalej. — Nie powinien pan żony denerwować... — Ja żonę denerwowałem?! Ja?!... — Walę się w piersi aż echo idzie po korytarzu. Przytrzymał mi rękę... — Niech się pan uspokoi. Wczorajsza awantura źle podziałała na żonę. Musi pan wiedzieć, że miała bardzo ciężki poród, myśleliśmy, że nie obędzie się bez cesarskiego... — Wszystko rozumiem, panie doktorze, żonie mojej Alince szczerze współczuję, ale porozmawiajmy o dziecku... — Dobrze, że pan zaczął na ten temat — mówi — żona panu głupstw naopowiadała. Żadnej zamiany nie było. Siostra zażartowała, a pana żona dostała histerii. Nie przeczę, to był głupi żart... — Rzeczywiście nie najlepszy — mówię grzecznie, bo nie chcę go do siebie zrażać... — No to wyjaśniliśmy sobie wszystko — mówi doktor i wstaje z krzesełka... — Zaraz — przytrzymuję go za fartuch — wysłuchałem pana, teraz niech pan mnie wysłucha... — Zrobił znudzoną minę i prosi, żebym się streszczał, bo spieszy się na oddział... — Zgoda — mówię — przyjmijmy, że to był żart, ale ja chciałbym dziecko obejrzeć... — Niemożliwe — kręci głową — niemożliwe, panie Rudyk, za dwa, trzy dni wypiszemy żonę ze szpitala, wtedy będzie pan mógł do woli dzieciaka oglądać... — Aha — mówię spokojnie, choć krew mnie zalewa — to wy w dwa, trzy dni dziecko moje odszukacie... — Żachnął się. — Daj pan spokój! Jak źle się pan czuje, to niech pan się leczy. — Zapewne — mówię — zapewne, ale to już nie u pana doktora... — Odszedł jak zmyty, tylko mi z daleka krzyknął, żebym nie próbował dzwonić do żony, bo nikt jej nie poprosi...

Powlokłem się do domu, rzuciłem na tapczan i tak przeleżałem dwa dni. Do fabryki nie chodziłem, nawet tatki nie wpuściłem, choć pukał do drzwi. Trzeciego dnia pojechałem po Alinkę...

W korytarzu stało kilkunastu mężczyzn, w tym tylko dwóch pijanych. Wszyscy z tobołkami w rękach. Wpatrywali się w zamknięte drzwi, zza których wychodziły bledziuchne dziewczyny. Brały te tobołki i ponownie znikały za drzwiami. Gdy wyszła Alinka, to mi serce zawaliło jak oszalałe... Alinka jednak miast rzucać mi się na szyję, w bek... — Jak ty Michał wyglądasz?!... — Rzeczywiście, nie wyglądałem najlepiej, nie zdążyłem się nawet ogolić... — Kołderkę przyniosłeś — pyta żona moja Alinka. — Zapomniałem — mówię, a ona znowu w bek... — Zaczekaj, zaraz przyniosę, tylko dzieciaka obejrzę... — Jedź zaraz — mówi ona — dzieciaka za chwilę zniosą. Pieniądze przywieź, bo mam zobowiązania...

Wyleciałem ze szpitala jak szalony. Zatrzymałem prywatny samochód. Rozejrzałem się po naszym mieszkaniu. Bałagan był okropny, bo kiedy miałem sprzątać, jak ciągle siedziałem w szpitalu?... Zaścieliłem tylko tapczan i porwałem szmatki, które Alinka przygotowała przed porodem.

W korytarzu szpitalnym nikogo już nie było, tylko Alinka czekała. — No, już jesteś — mówi ona — myślałam, że już nie wrócisz. — Gdzie masz dzieciaka — pytam, ale ona tylko ramionami wzruszyła — Miałam go trzymać na tym zimnie — mówi. — Poczekaj, zaraz go przyniosę... — Wróciła po chwili z białym tobołkiem, z którego sterczał różowy czubek nosa.. — Masz, nieś ją — mówi żona moja Alinka... — Mogę ponieść — odpowiadam na to — jeśli chcesz... — Chcę nie chcę, ale taki jest obyczaj, że ojciec niesie...

Wziąłem to dziecko, Panie Prokuratorze, i poczułem, że znowu rośnie we mnie radość wielka, nie do wyobrażenia... — No, kruszyno — mówię do niej — chodźmy do domu, bo tatuś chce cię obejrzeć. — A po co ty chcesz ją oglądać? — pyta Alinka niespokojnym głosem. — Dziecko jak dziecko, normalne... — Ano zobaczymy, czy do nas podobne — mówię i widzę, że żona moja Alinka zła się robi... — Niczego nie będziesz oglądał — mówi ona — lepiej siebie obejrzyj w lustrze, to się przestraszysz...

Przy pierwszej kąpieli dzieciaka obejrzałem... Długie to było, czerwone, chude... Żadnego podobieństwa do żony mojej Alinki nie spostrzegłem. — Patrz — mówi Alinka — patrz, bo to twoje... — Takaś pewna? — pytam. Przedtem taka pewna nie byłaś — mówię i widzę w jej oczach łzy... — Głupstwa bajdurzysz — powiada Alinka — zawsze wiedziałam, że to moje... — Zawsze? A coś mi mówiła przez telefon?!... — W szoku byłam — mówi Alinka — bzdury plotłam... — Trzeba było ugryźć się w język — mówię i siadam przy stole. Alinka łzy otarła i zabrała się do mycia dziecka... — A może oni spostrzegli te zamiane i podrzucili nasze? — myślę głośno... — Głupi jesteś — mówi Alinka i znowu w płacz. Karolinka do niej dołącza i już nie ma dla mnie miejsca w domu. Wychodzę.

Tak, Panie Prokuratorze, upłynęły dwa miesiące. Karolinka, nie powiem, dobre dziecko, jak nie płacze, to lubię ją na ręce wziąć. Tylko w nocy spać nie mogę, wciąż myślę o tym, co się tam w szpitalu mogło zdarzyć... Jeść nie mogę i pracować się nie chce... Z chłopakami popiję, wtedy mi lżej. Alinka nie chce o tej sprawie rozmawiać, nawet tatko machnął ręką, więc już nie mam nikogo, z kim mógłbym pogadać, wyżalić się. Dlatego pisze do Pana Prokuratora te skargę na Genowefę Lipman i Wojciecha Tatara. Nie chcę ich krzywdy, tylko pragnę się dowiedzieć prawdy o tej zamianie mojego dziecka w wojewódzkim szpitalu w mieście Ł. Prawda to czy nieprawda?

MIROSŁAW KUŹNIAK

Śmiać się czy płakać?

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Niedawno nasza telewizja przypomniała w cyklu „Historia muzyki rozrywkowej" wspaniały zespół The Beatles. Oglądałem — myślę, że podobnie jak wielu telewidzów — ten program odgrzewając w pamięci atmosferę tamtych lat. Muzyka młodzieżowa spod późniejszego znaku „pop" była wówczas szokiem. Stąd właśnie nasuwają się pewne analogie z sytuacją, jaka w naszym show-businessie (czy raczej na jego zapleczu), ma miejsce dzisiaj. To prawda, że w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych tak zwany „big-beat" i moda z nim związana szokowały, zwłaszcza starszych, przyzwyczajonych do tradycyjnego modelu piosenkarstwa. Ale mimo wszystko na pierwszy plan wysuwała się m u z y k a — do tańca, do słuchania, do przeżywania, ale jednak muzyka, a nie kompleks postaw jednostek współtworzących aktualną modę. Fakt, że „długowłosa" fryzura George'a Harrisona, który tyle co wyszedł z wanny i grzywa spadała mu na oczy, stała się dla młodzieży obowiązującą przynajmniej przez pewien czas, lecz równocześnie przebojami były wtedy kolejno melodie, których dziś słucha w przeróżnych (także orkiestrowych) nagraniach cały świat, a fachowcy zachwycają się uniwersalnością i prostotą tematów muzycznych piosenek niezapomnianych The Beatles.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych naszego stulecia nie było i w Polsce inaczej. Muzyka młodych znalazła swoje miejsce — potrafiła dotrzeć również do rodziców ówczesnych nastolatków. Przecież i oni nucili przeboje „Czerwonych Gitar". Sam pamiętam, jak — bodaj w 1968 roku — Polskie Radio nadało po raz pierwszy audycję z cyklu „Plebiscyt 17 Rozgłośni". W tym ogólnokrajowym głosowaniu do ostatniej chwili konkurowali ze sobą Ewa Demarczyk (śpiewająca o narodzinach Bolesława Krzywoustego) i zespół „Trubadurzy" (z piosenką „Krajobrazy"). Czy dziś podobne zestawienie na antenie radiowej jest możliwe?

* * *

Rzecz dzieje się w jednym z łódzkich domów kultury. Siedzimy w ostatnim rzędzie i przy blasku dwóch lampek robimy notatki. Stanowimy zarazem pierwsze sito — jesteśmy bowiem jurorami pierwszych, można powiedzieć: „przedeliminacyjnych", przesłuchań kandydatów do VIII Ogólnopolskiego Młodzieżowego Przeglądu Piosenki.

W chwili, gdy te słowa dotrą do czytelników wszystko w zasadzie będzie już wiadomo — przynajmniej jeśli chodzi o województwo miejskie łódzkie, ale w tym wypadku nie lista zakwalifikowanych wykonawców jest sprawą najważniejszą. Główną rolę odgrywa tutaj świadomość młodych muzykujących ludzi, którzy niestety nie zawsze za pośrednictwem piosenek czy utworów instrumentalnych chcą ukazać własne spojrzenie na świat. Dziwactw różnego typu na sali nie brakuje. Jest na przykład chłopak, który ma spodnie uszyte z samych sukaków zwanych niegdyś ekoresami. Wielu z obecnych powygalało sobie głowy po bokach, a na środku biby grzebień „stoją" im czupryny. Jak oni to robią, że włosy są posłuszne cały czas „na baczność"? Dowiedzieliśmy się: po prostu przygotować wodę z cukrem, a następnie po umyciu głowy nasmarować nią włosy i poczekać aż wyschną. Dobrze jest, gdy są one w paru kolorach.

Siłą rzeczy — z racji swojej profesji — zwracam uwagę na prezentowane teksty. Kilka z nich budzi — delikatnie mówiąc — moje wątpliwości, niektóre są autentycznym zaskoczeniem. Sam tym tego nie wymyślił. „Stany (chyba Zjednoczone — przyp. K.D.) się zbroją — ludzie się boją" — wyje jeden z wykonawców nawiązując, jak się zdaje, do protest-songów sprzed dwudziestu lat.. Inny natomiast śpiewa: „Ludzie idą do roboty, mnie się zbiera na wymioty". Mnie w tym momencie też. Mimo że jest akurat wolna sobota i ludzie do pracy nie idą.

Foto: Tomasz Misiak

Na scenie zespół używający nazwy identycznej, jak stolica Kraju Rad. To, co grają, ma w założeniu być muzyką punk-rockową. Niestety, nie słychać absolutnie niczego, łącznie z perkusją. Wszystko skutecznie zagłusza gitara „na fuzzie", od której drży nawet ostatni rząd. Przy mikrofonie męczy się jakiś blondyn bokiem odwrócony do publiczności. Bardziej z ruchu ust niż ze słuchu odczytuję słowa refrenu: „Bomby, miny, karabiny, czołgi". W tym gitarowym kotle i one by się nie przebiły. W przerwie pomiędzy pierwszą a drugą piosenką (regulamin przewiduje wykonanie dwóch utworów i ewentualnie trzeciego na życzenie jurorów) prosimy akustyka, aby zdjął trochę mocy. Robi to, ale zaraz podbiega do miksera stały akustyk zespołu i... znowu nic poza charczącą gitarą nie słychać. Dziękujemy grupie, natomiast wokalista mówi do mikrofonu: „Bardzo dziękuję naszemu akustykowi, bo gdyby nie on, wypadlibyśmy fatalnie". Tak po prostu wypadli z eliminacji i to nie dlatego, że jury miało zastrzeżenia do poziomu artystycznego piosenek: myśmy ich naprawdę nie słyszeli.

Prowadzący zapowiada kolejną grupę. Nagle wstaje mniej więcej jedna trzecia widowni i wychodzi na estradę — to właśnie ten zespół. Większość sprawia wrażenie półprzytomnych. Młodzi chłopcy w czarnych skórzanych kurtkach wzajemnie wyrywają sobie mikrofony. Wyją, krzyczą. Perkusista w jakimś amoku wali w bębny bez ładu i składu. Gitary coś tam grają, a chłopcy próbują śpiewać. Po jakimś czasie okazuje się, że skończył się właśnie pierwszy utwór. Ktoś tam jeszcze gramoli się na scenę i zaczyna się następna „piosenka". Nie wszystkie słowa można w tym hałasie wyłowić, tym bardziej, że wszyscy raczej ryczą niż śpiewają. Coś tam jednak zapamiętałem: „Wpadła bomba do piwnicy, rozjebała pół ulicy". Z oporami członkowie zespołu opuszczają estradę, a my udajemy się na naradę.

Kolejna scena w biurze domu kultury. Pani kierowniczka mówi do słuchawki: „Hallo. Komenda? Chciałabym prosić o radiowóz. Co? Jest na interwencji? To niedobrze, bo my mamy tutaj przegląd piosenki. Tak... Dobrze by było, gdyby już przyjechał, bo za chwilę jury ogłosi werdykt".

* * *

Nie ma jeszcze dziesiątej przed południem. W gmachu „Estrady Łódzkiej" na parterze i przed wejściem do budynku sporo ludzi. Będzie ze sto pięćdziesiąt osób. Okazuje się, że po bilety, których sprzedaż ma za chwilę się rozpocząć. Przyszli tutaj wcześniej i czekają. Bilety na recitale Ewy Demarczyk są na zapisy. Chętni zrobili nawet listę. Dla wielu z nich niestety miejsc zabraknie. Koncerty są tylko cztery, a sala Teatru Nowego też nie z gumy.

Komentarza nie będzie, bo prawdziwa sztuka broni się sama.

Czarna madonna...

JACEK BINKOWSKI

Zaczynała przed ponad 20 laty, na festiwalu piosenki studenckiej w Krakowie.

Później studencki klub „Cyrulik" i wreszcie „Piwnica pod Baranami", najbardziej znacząca w jej artystycznym rozwoju.

Ewa Demarczyk powiedziała kiedyś, że śpiewa nastrój, nie fabułę. I rzeczywiście potrafi tak interpretować poezję Baczyńskiego, Tuwima czy Pawlikowskiej, żeby wydobyć z tych wierszy maksimum uczuć, tragizmu albo ironii. Nie tylko za pomocą niespotykanie oryginalnego talentu wokalnego i ekspresji.

Właśnie dzięki nastrojowi, który nieodłącznie towarzyszy jej koncertom. Również dzięki niezmiernej sile jej osobowości, która przebiła wiele przemijających gwiazdek estradowych na przestrzeni tych lat, przez które śpiewa Demarczyk.

Ostatni raz w Łodzi była bodaj cztery lata temu. I ciągle pamięta się ją taką samą. Ta sama fryzura, ten sam krój sukienki, ta sama zaciemniona sala, ta sama atmosfera towarzysząca jej występom. Prawie nie zmieniony repertuar. Jest więc Tuwim, Baczyński, Pawlikowska, Cwietajewa i ciągle inaczej odbierane wiersze wojenne „Jeno wyjmij mi z tych oczu szkło bolesne obraz dni"...

I co ciekawe, że słuchając ciągle tych samych utworów, przeżywa się je zawsze inaczej, jak gdyby na nowo, jak gdyby po raz pierwszy.

Ewa Demarczyk porywała widownię dwadzieścia lat temu, porywa ją i dzisiaj... Z niesłabnącym wzruszeniem.

Występuje bez konferansjera, bez zapowiadania własnych piosenek, bez zbytecznych gestów i umizgów w stronę publiczności. Zawiera w swoim śpiewaniu sprawy poniekąd proste — miłość, zdrada, wojna; niemniej jednak trwałe; nieprzemijające, jak ona sama — „czarny anioł polskiej piosenki" — jak powiadają.

Nigdy nie dała się porwać „estradowemu biznesowi", nigdy nie poddała się szalonej popularności i uwielbieniu publiczności. Nie doprowadziła do sytuacji, kiedy po wielkiej modzie dochodzi się do przestoju i znudzenia. Śpiewa bowiem niezmiernie rzadko; bez, często niszczącej, rutyny.

Publiczność.

Nigdy nie miała z nią „kłopotu". Na każdy recital, obok „szczęśliwców, którym udało się kupić bilet", przychodzą setki takich, którzy chcieliby jej posłuchać choćby na stojąco. To nic, że bilet na tegoroczny koncert w Teatrze Nowym kosztował 350 zł. Wrażeń, jakich dostarcza Demarczyk nie sposób mierzyć ceną wyznaczoną w złotówkach.

Publiczności nie trzeba zachęcać reklamami i afiszami rozlepianymi na słupach ogłoszeniowych w mieście. W przeciwieństwie do gwiazd muzyki rockowej, występom Demarczyk nie towarzyszy reklamowa otoczka. A przecież nie można porównywać jej talentu do wszystkich Urszul, Beat i innych idolek nastolatków.

W trakcie recitalu znowu powraca sprawa nastroju, jaki się stwarza na widowni. Najpierw skupienie, refleksja i zaduma, a potem nie kończący się aplauz.

Nie ma określonej wiekiem publiczności. Nie jest niczyim idolem. Słuchali jej zarówno starzy, jak i młodzi.

Kiedy zakończyła wierszami z refrenem „Jeno wyjmij mi z tych oczu..." publiczność czuła gwałtowną potrzebę rewanżu.

A więc brawa, nie kończące się oklaski. Na stojąco, z wyrazem ogromnego szacunku.

Okazuje się, że czas zweryfikował nieco postawę Demarczyk wobec swoich wielbicieli. W przeciwieństwie do ubiegłych lat jest jakby mniej wyniosła i chłodna. Pojawił się uśmiech, głębokie ukłony, kilkakrotne powroty na scenę. Zaskakujące...

Kronika kulturalna

W MINIONY czwartek otwarta została w Muzeum Historii Miasta Łodzi wystawa zorganizowana przez Muzeum wspólnie z „Głosem Robotniczym" i poświęcona życiu i działalności znanego łódzkiego dziennikarza i publicysty, działacza społecznego, laureata wielu nagród, m. in. Nagrody Miasta Łodzi — **Henryka Rudnickiego — „Hendryka".**

W PIĄTEK, 20 bm. w DDK Łódź-Górna odbyło się spotkanie z pisarzem i dramaturgiem, **Władysławem Orłowskim.**

OD WIELU już lat Polska Agencja Prasowa ocenia co roku najważniejsze wg Zespołu Kultury PAP wydarzenia w naszym życiu kulturalnym

Miło nam poinformować Czytelników, że w 1983 roku wśród wydarzeń artystycznych w dziedzinie muzyki PAP wysoko oceniła premiery w łódzkim Teatrze Wielkim: „Żydówkę", „Normę" i „Łucję z Lammermooru". Zespołowi Teatru Wielkiego gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów.

W WARSZAWIE odbył się Konkurs Pieśni i Ballad Stanisława Moniuszki. Wzięło w nim udział 27 uczestników — studentów wyższych szkół i akademii muzycznych. Laureatem konkursu i zdobywcą pierwszej nagrody za wykonanie ballady został bas — **Piotr Nowicki.** Jest on studentem WSM w Łodzi, w klasie doc. Jadwigi Pietraszkiewicz.

20 STYCZNIA, w piątek, w Dzielnicowym Domu Kultury Łódź-Widzew odbyła się premiera spektaklu **„Jaskinia filozofów",** przygotowana przez studio teatralne **„Słup".** Sztukę reżyserował Marcel Szytenchelm.

17 STYCZNIA, w kościele katedralnym odbył się recital organowy, w którym wystąpiła **Zsuzsa Elekes** (Węgry) —, laureatka Konkursu im. J. S. Bacha w Lipsku. W programie znalazły się m. in. utwory Mendelssohna-Bartholdy'ego i Widora.

W dniach 28—30 stycznia br program zatytułowany „Damy wam szkołę" zaprezentują w Łodzi znani artyści kabaretowi m.in. Andrzej Fedorowicz, Marian Opania, Marcin Wolski, Ewa Wiśniewska, Jerzy Kryszak.

ZARZĄD Oddziału Łódzkiego Towarzystwa Polsko-Japońskiego zorganizował prelekcję dr **Krzysztofa Strebeyko** z Katedry Architektury UW nt. „Geneza architektury japońskiej".

Wykład, bogato ilustrowany przeźroczami, odbędzie się w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym.

Grzesznica wśród sprawiedliwych

EDWARD BRYL

Nacisnęła mocniej. Walizka się wreszcie dopięła. Szczęście, że to ostatni bagaż. Poczuła, jakby zamknęła w niej dziesięć przeżytych tu lat — dzwoniącą ciszę rozpalonych żarem letnich popołudni, pustkę wieczorów zapełnianych sprawdzaniem zeszytów, zebrania, wycieczki z rozwrzeszczaną dzieciarnią. Usiadła ciężko na łóżku. Przecież w końcu musiała ustąpić. Nauczycielka z nieślubnym dzieckiem w maleńkim miasteczku! Co to za przykład, jakie zgorszenie! Początkowo nie mogła uwierzyć, ale kiedy dyrektorka wezwała ją do gabinetu i powiedziała że dłużej tak trwać nie może, będzie lepiej jak zmieni pracę, bo tutejsi ludzie jej nie wybaczą — zdecydowała się odejść Musi się przecież jakoś urządzić. Do rodzinnej wsi wrócić nie mogła. Zresztą nie zdobyła w życiu wiele. Nie należała do tych, co to przepychają się łokciami, trochę nieśmiała, niezaradna, ale doskonale potrafiąca nieść pomoc innym. Swoich spraw jakoś nie mogła uładzić. Przez ostatnie miesiące z trudem walczyła o zrealizowanie swego planu. Dziecko mieć będzie i nauczycielka też pozostanie. Rozległo się pukanie. Przez szparę w drzwiach wetknęła głowę Michalikowa.

— Może gorącego mleka? Dobrze się po nim śpi. Pani często siedzi teraz po nocach, to niezdrowo!

Piła mleko parząc sobie wargi. Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę chociaż kobiecina przycupnęła na krześle i zaczęła przepraszająco:

— Ja bym tam pania trzymała. Dziecko mnie nie przeszkadza. Swoje wychowałam to i panine przyhołubiłabym, ale szyby mi powybijają!...

— Poradzę sobie — burknęła niechętnie. Wolała być sama.

Wypiła mleko Potem zrzuciła ubranie. Zgasiła światło. Jednak sen nie nadchodził.

Tyle jest matek samotnych. Dzisiaj nikt tego nie ma im za złe. Dlaczego w miasteczku właśnie jej nie chciano zrozumieć?

— Powinna pani brać pod uwagę mentalność ludzi, powiedział sam kurator Megierski, kiedy wezwał ją na rozmowę. — Nie wolno pochopnie podejmować decyzji sprzecznych z mentalnością środowiska, w którym się żyje. Zawód nauczycielski to posłannictwo...

Nie godziła się z jego poglądami. Ma trzydzieści sześć wiosen i chce mieć własne dziecko. Co w tym zdrożnego? W jej przypadku to przeniesienie stało się nieuchronne. Dalej nie było sensu dochodzić swojej niezależności wśród ludzi, którzy zawsze traktowali ją jak obcą, mimo że oddała ich dzieciom najlepsze lata. Pojedzie na drugi kraniec województwa. Może to i lepiej. Mieszkanie w domu nauczyciela z wodą, łazienką. Nie tak jak tu, u chłopa, pod lasem, ze śmierdzącym wychodkiem i gnojem w podwórku Ale przecież żal jej było. Przywykła do wszystkiego, do ludzi, nawet do tej pustki, która właśnie po swojemu i wydaje się jej, że najsensowniej postanowiła zapełnić. Tak niewiele brakowało do szczęścia. Blok nauczycielski na wykończeniu. Mieszkanie miała zapewnione. A teraz boi się ludzi, straciła zaufanie, pewność siebie. Te same matki, które kłaniały się jej z daleka, na wywiadówki przychodziły skromne, ciche, trochę zażenowane, zmieniły się nie do poznania. Dobrze pamięta awanturę w gabinecie dyrektorki.

— Nie życzę sobie, aby taka dziwka uczyła moją córkę — wrzeszczała Kowalska. — Wychowawczyni ósmej klasy! Może za jej przykładem mają pójść nasze dzieci? Niedoczekanie!

Delegacja trafiła też do kuratorium

Ile przeszła upokorzeń. Potem cały czas była na zwolnieniu. Musiała jakoś sobie organizować przeprowadzkę. Przewieźć tych parę gratów. Samej podołać wszystkiemu było trudno. Ale i tak nie dawali jej spokoju, choć wiedzieli, że zbiera się na stałe opuścić miasteczko. Na ulicy, w sklepie słyszała głośne uwagi. Czemu jeszcze się pęta? Włazi im w oczy z tym brzuchem! Wstyd! Niektóre baby spluwały na jej widok. Na koniec jeszcze te okna powybijane u Michalikowej...

Przez kilka dni była u swojej przyjaciółki Baśki. Znały się jeszcze z okresu studiów w Łodzi. Zwierzyła się ze swych kłopotów. Myślała, że gdyby tak jak ona osiadła w dużym mieście, nie znalazłaby się w podobnej sytuacji.

— Bzdura — powiedziała tamta. Przed sześciu laty prawie identyczna historia miała miejsce w naszej szkole. Wydarzyła się młodziutkiej dziewczynie, tuż po studiach. Jej rodzice nie robili z tego powodu tragedii. Więcej, zaofiarowali pomoc, nawet cieszyli się z wnuka. Wszystko potoczyłoby się normalnie, gdyby nie stosunek do sprawy prześwietnego grona nauczycielskiego. Tak dokuczano dziewczynie, że postanowiła zmienić pracę. Najgorsza była dyrektorka, jej okazjonalne pogadanki na temat dzisiejszej młodzieży, sposobu ubierania się, moralności. Zresztą obciążała małą różnymi dodatkowymi obowiązkami, gnębiła hospitacjami. Dziewczyna odeszła, dziś pracuje gdzieś w biurze, nadal sama wychowuje dziecko i nikt jej tego nie ma za złe. Spotykam ją często, mieszka też na tym osiedlu. Nie żałuje żadnej swojej decyzji, ma wspaniałego syna, jest zadowolona, że wyszła z naszego zakłamanego środowiska. Chcesz innego przykładu? Do dziś pracuje w mojej szkole kobieta lekkiego prowadzenia. Piękna, aż oczy rwie, nosi na sobie chyba cały „Pewex". Zazdroszczą jej po kątach ciuchów, kosmetyków, wycieczek zagranicznych, ale szanują — wspaniała siła fachowa. Nachwalić się nie mogą. Nasze szkolne władze cenią ją też, sam wizytator od czasu do czasu z kwiatkiem się pokazuje. Koleżanki pożyczają od niej pieniądze — cóż, pieniądz nie śmierdzi. Latem nasza lalunia na kolonie nie jeździ. W ubiegłym roku była w Hiszpanii, z jakimś pracownikiem firmy polonijnej...

Tych szyb Michalikowej może nikt by nie powybijał, gdyby nie odwiedziły jej dzieciaki ze szkoły, delegacja z jej klasy i klas, w których uczyła. Od początku konfliktu stanęły po jej stronie i chyba to stało się główną przyczyną klęski. Była lubiana. Cieszyła się szacunkiem, zawsze służyła radą i pomocą. Ile się nastarała, aby Bobrowskim przydzielono inne mieszkanie. Piątka dzieci, ojciec alkoholik i matka zastraszona, zahukana kobiecina w rozwalającej się, wiatrem podszytej chałupie. Pieniądze z opieki Bobrowski przepijał, maluchy zimą marzły, głodowały na okrągło. Jej zasługą było, że starego wzięli w końcu na leczenie, a Bobrowska z dziećmi dostała izbę w rynku po szewcu, który zmarł w tym roku. W Moszkowie nic nie budowano. Nawet PGR, jedyny zakład produkcyjny w miasteczku był biedny. Każdy żył na własny rachunek. Tylko rolnicy się pobudowali. Za kościołem stała okazała willa Siemiradzkiego, co to swoje pomidory do Poznania i Warszawy wysyłał. On tu był najbogatszy no i doktor, który zbijał forsę na modnej akupunkturze. Kładł pacjentów pokotem i szpilki wbijał. Leżeli jak jeże, seans trwał, a on pykając fajeczkę maszerował tam i z powrotem. Niektórym ponoć te igły pomagały. Doktor mieszkał w ośrodku, w pięknie utrzymanym, zabytkowym dworku, dumie całej okolicy... Tylko ci dwaj się liczyli. Może jeszcze ksiądz, ale i u niego nie znalazła poparcia. Jedynie te dzieciaki. Kiedy odwiedziły ją przedwczoraj, ani przez chwilę nie żałowała przeżytych tu dziesięciu lat i niefortunnego końca swego pobytu.

— Nie rozumiem — mówiła Jola — dlaczego pani im nie pasuje. Sami czasami są znacznie gorsi. Tylu naszych ojców pije, awanturuje się w domu, bije matki, dzieci i nikt im tego nie ma za złe. Zresztą w miasteczku jest niejedna panna z dzieckiem. Każdy ma chyba prawo układać sobie życie, jak mu się podoba.

— Zalescy — wtrącił Krzysiek — stara matkę nawet zimą w przybudówce trzymają. Mało co jeść dają, czasem biją, a ksiądz z ambony tego im nie wytknął, tylko panine dziecko.

Siedzieli zakłopotani, jakby to oni byli za wszystko odpowiedzialni, za rodziców, ludzi z miasteczka. Przegrała z ich matkami, ojcami, ale nie z nimi. Są wrażliwsi, inaczej patrzą. Oby tylko nie stępieli. Dostała kwiaty, album o Warszawie. Pożegnanie trwało ponad godzinę. Siedzieli naprzeciw siebie, ona w ich mniemaniu, niesłusznie skrzywdzona, lecz jakże im bliska, potrzebna i oni młodzi, tragicznie bezsilni, z racji swej młodości, rozżaleni, że tracą przyjaciela.

— Ot, weszliśmy za panią w dorosłe sprawy — skonkludował Waldek Ociepski. — Pamiętam, jak mi pani tłumaczyła: po co ci papierosy, i bez nich pożegnasz dzieciństwo. To chyba właśnie teraz się stało. Pani przegrana jest naszą porażką, nie ma w budzie drugiego belfra, który by nas tak rozumiał. Nikt nam nie poświęci tyle czasu. Żegnajcie wycieczki.

— Nie będzie tak źle — powiedziała.

— Ot, zwykłe nauczycielskie gadanie. Robi pani dobrą minę do złej gry. Przecież oni mieli i mają swoje ważniejsze sprawy, gospodarstwa, ogródki, rodziny. A my? Nam tyle, ile trzeba, według rozkładu zajęć i ani chwili więcej.

Wiedzieli, że miasteczko takiej nie przyjmie już nigdy. Gdyby była sprzątaczką, albo sklepową, to i owszem. Wtedy baby mogłyby się nad nią litować, biadolić, ale nauczycielka była poza zasięgiem ich potrzeb psychicznych. Nie przebaczą jej. Częściowo dlatego, że była tu obca, ale przede wszystkim z powodu tej bariery, jaką wytworzył w ich mniemaniu ten zawód, może jej osobowość. Przez te lata, kiedy tu mieszkała, pokazała im, że trudnymi sprawami bliźnich też trzeba się zajmować, pomagać. Z jej inicjatywy powstało koło terenowych opiekunów społecznych, współpracujące z ośrodkiem zdrowia. Na terenie gminy Moszków nie było już ludzi samotnych, starych, opuszczonych. Ostatnio toczono dość skuteczną walkę z pijącymi. Kobiety były naprawdę zadowolone. Zamiast żyć plotkami, jak to zwykle bywa w małych miasteczkach, te najbardziej wścibskie zajęły się działalnością społeczną. Przy okazji zaspokajały ciekawość, wiedziały co chciały wiedzieć, a energię obracały ku pożytkowi bliźnich. Wydawać by się mogło, że miasteczko uładziło się. I tu nagle nastąpił krach. Pewnie oczekiwali od swojej nauczycielki czego innego, ale przecież szanowali ją, chociaż niektóre kobiety szeptały, że taka urodziwa, niczego jej nie brak, a stara panna. Coś w tym musi się kryć. Kiedy zobaczono, że jest w ciąży, bomba pękła. Nie mogli darować, niby uczona, mądra, a skończyła jak niedorozwinięta Kaśka tych alkoholików Niemirskich, co teraz będzie drugie nieślubne dziecko rodziła. Ale Kaśka, wiadomo, włóczyła się ze wszystkimi, zwyczajna dziwka. Jeszcze jedno spędzało sen z oczu kobietom z Moszkowa — nie wiedziały, kto jest ojcem dziecka pani nauczycielki. Mogły snuć tylko domysły, tak naprawdę to trop nigdzie nie prowadził. Próbowały podpytywać Michalikową, ale ta jakby nabrała wody w usta. Niektóre nawet zaczęły się baczniej przypatrywać własnym chłopom. Zresztą wśród nich niewielu było, co by jawnie przeciwko niej występowali. Żaden nie dał się namówić w delegacje do kuratorium jechać. Nie wciągnęły też w sprawę naczelnika gminy, ani sekretarza komitetu. Kobiety prowadziły walkę same i wygrały. Kurator Megierski miał twardy orzech do zgryzienia. Wysłuchał, pokiwał głową i przyrzekł, że zabierze im nauczycielkę siejącą zgorszenie. Jednak kiedy przyjechała młodzież, wpadł w wściekłość.

— To nie wasze sprawy! Marsz do książek! Też obrońcy się znaleźli. Zawodu nauczycielskiego kalać nie można. Ta wasza ukochana pani popełniła błąd i konsekwencje ponieść musi.

Nauczycielce wykrzyczał, że w swoje osobiste sprawy wciąga młodzież, a w ogóle to chyba nie chce, żeby uczennice brały z niej przykład, więc dla ich dobra niech się przeniesie. Uważał, że konflikt załatwił zgodnie z własnym sumieniem i przepisami.

Kiedy Helena Malewska wyjeżdżała z miasteczka, aby objąć nową posadę, była przekonana, że to co spotkało ją w Moszkowie, przytrafiłoby się w każdej innej szkole, także w dużym mieście. Żadna z koleżanek nie odwiedziła jej przez tych kilkanaście tygodni, gdy była na zwolnieniu. A dyrektorka wręczając przeniesienie zaznaczyła, iż w jej przekonaniu jest ono karne. I gdyby nie opieka nad ciężarną, to za zamęt w szkole, którego była przyczyną, już dawno wyrzuciłaby ją. Dodała jeszcze, że metody pracy z młodzieżą, które tu wprowadziła były nieodpowiednie. Pozbywała się jej z ulgą.

Przesypka

RYSZARD BINKOWSKI

W listopadzie 1982 roku w „Dzienniku Łódzkim" ukazało się ogłoszenie następującej treści: *„Przesypki — Fiat 125p, 126p — posiadamy karoserie. Auto Serwice — Łaskowice, dojazd ul. Chocianowicką, Andrzej K".*

Zachęcający anons pojawił się z tej przyczyny, że w październiku 1981 r. Andrzej K., dwudziestopięcioletni natenczas mechanik samochodowy ze średnim wykształceniem, uruchomił Zakład Mechaniki Pojazdowej w Łaskowicach, gm. Pabianice.

Ponieważ pan Andrzej tworzył małżeństwo rozwojowe i miało mu się urodzić dziecko w stanie zawieszenia, zaczął myśleć przyszłościowo, aby rozwijać swój warsztat, samochodowy oczywista. W tym celu już w styczniu 1982 roku zapisał się do Spółdzielni Rzemieślniczej „Wielobranżowa" w Pabianicach, gdyż jako członek miał możliwość nabycia materiałów budowlanych na rozbudowę warsztatu oraz artykułów metalowych służących do świadczenia napraw.

Jak wyjaśnia Andrzej K., ktoś mu powiedział (nie pamięta już kto), że poprzez Spółdzielnię mógłby nabywać w fabrykach samochodów gotowe karoserie z pełnym wyposażeniem. Wobec tego mechanik pojechał do FSO na Żeraniu. W dziale handlowym pewna kobieta, której nazwiska i wyglądu nie pamięta, oświadczyła, że w jego przypadku można nabywać karoserie przez Spółdzielnię „Wielobranżowa". Tak więc Andrzej K. strasznie się ucieszył i chociaż nie miał jeszcze nadwozi, dał ogłoszenie, które wtrząsnęło opinią publiczną zmotoryzowanej aglomeracji łódzkiej.

Ogłoszenie przeczytał małżonek pani Zofii B., inżyniera włókiennika, zatrudnionej jako specjalista chemik w Politechnice Łódzkiej 21 grudnia 82 r. pojechali do Łaskowic. Andrzej K. oznajmił że z FSO sprowadza nadwozia do fiata 125p i dokonuje ich przełożenia, co się fachowo nazywa przesypką. Koszt nadwozia wynosi 125 tys. zł, a łącznie z kosztem przesypki — 180 tys. Państwo B. zawarli więc z właścicielem umowę, wpłacili 125 tys. zł i otrzymali pokwitowanie nr 20/82 Na pokwitowaniu u góry był stempel z napisem: *„Zakład Mechaniki Pojazdowej"* i adres, a na dole stempel z napisem: *„Mistrz Mechaniki Pojazdowej"*, nazwisko i adres

Zofia B. kilkakrotnie odwiedziła Łaskowice, ale karoserii nie było. Wreszcie mechanik oznajmił, że w marcu dostaje nadwozia do malucha, a do fiata 125 dopiero na początku kwietnia. W kwietniu nadwozie już było, i to nawet białe ale p. Andrzej nie mógł go pokazać, bo zostawił w garażu w Łodzi. Samochodu jednak nie przyjął do naprawy. Napisał za to na odwrocie pokwitowania, że nie może wykonać usługi w wyznaczonym terminie ponieważ... nie otrzymał nadwozi

Zofia B. zażądała zwrotu zaliczki. Mechanik oświadczył, że jak pobierze pieniądze, to zwróci 6 maja 1983 r. Jednak tego dnia państwo B. nie otrzymali swoich pieniędzy. Spotkali za to w Łaskowicach ob. Henryka L., z zawodu frezera, właściciela taxi marki fiat 125, która wymagała wymiany karoserii. On też czekał na swoje nadwozie, i to długo.

4 stycznia 83 r Henryk L. zawarł z Andrzejem K. ustną umowę, wpłacił 125 tys. zaliczki, na co otrzymał pokwitowanie nr 22/83. Termin przyjęcia auta do naprawy — 20 kwietnia, a wykonanie — 12 maja. Mechanik nie wywiązał się z terminu. Nie chciał pokazać dowodu wpłaty na karoserię, twierdząc, że wpłaty dokonała Spółdzielnia „Wielobranżowa", gdzie jest zrzeszony. Pan Henryk dowiedział się w Spółdzielni, że pan Andrzej składał zamówienia na nadwozia, ale tylko dla 1 fiata 125p i 1 fiata 126p.

Natrętnej Zofii B. mechanik wyjaśniał cierpliwie, że nadwozia sprowadza przez „Wielobranżową" tam składa forsę, a Spółdzielnia zamawia nadwozia na Żeraniu i w Bielsku. Państwo B. dowiedzieli się w księgowości Spółdzielni, że stan konta Andrzeja K. wynosi zero. W zakładzie mechaniki też było zero, ba, nawet właściciela nie było.

Zbigniew S., szef działu zaopatrzenia pabianickiej „Wielobranżowej" wyparł się wrednie własnego członka, tzn. wyparł się Andrzeja K. w temacie zamówień. Owszem, ob. K. wpłacił 200 tys. zł, aby móc zrobić jakieś zamówienie. Ale ponieważ do niego nie przyszły żadne zamówienia, więc zwrócono mu te 200 tys. z konta. Zbigniew S. dodał: *„W mojej dotychczasowej praktyce nie spotkałem się z tym, by któryś z rzemieślników tej branży pobierał zamówienia na karoserie do samochodów".*

Andrzej K. twierdzi, że był w FSO na Żeraniu cztery razy i zawsze mu mówiono, że nie dostanie nadwozi, bo są opóźnienia w produkcji. Mimo to pobierał zamówienia od klientów. *„Na fiata 125p złożyłem zamówienia na 2 sztuki karoserii, mimo to pobierałem od klientów dużo więcej usług, niż te dwie sztuki. Na maluchy też pobierałem zamówienia wiedząc, że nie otrzymam karoserii. Nie wiem, na co liczyłem. Wyszło mi, że pobrałem około 12 zaliczek na kwotę około 1,5 mln zł."*

Milicyjny detektyw całkowicie zagubił się w dziale handlowym FSO, bo to wielki dział, stanowiska porozrzucane, i za Chiny nie mógł znaleźć tej urzędniczki, która zapewniała Andrzeja K., że dostanie karoserie do wyboru, do koloru. Za karę innym milicjantom dostała się cholernie żmudna papierkowa robota. Szperając w pocie czoła, nazbierali różnych karteluszek, świstków, kalendarzyków i okazało się, że tych zaliczek było trochę więcej. Potem zaczęli się ujawniać inni amatorzy przesypki. Np. rzemieślnik, Stanisław K., czekał ze swym pokwitowaniem na 125 tys. zł i dopiero od milicjantów z Pabianic dowiedział się, że mistrz mechaniki pojazdowej to także mistrz wyłudzania.

Włodzimierz G., technik budowlany, dowiedział się, że za 92 tys. zł plus 47 tys. za usługę, płatne przy odbiorze, może mieć karoserię dowolnego koloru. Tylko, że adres zamieszkania mechanika na pieczątce się nie zgadzał, termin też a kolor mógł być tylko biały Włodzimierz G. uzgodnił z K., że ten zrobi mu remont silnika i podzespołów podwozia. Po tygodniu silnik był wyjęty i wywieziony do innego warsztatu. Fiat stał długo z wyjętym silnikiem, ponieważ K. miał trudności rodzinne. Wreszcie G. znalazł go w Łodzi i zażądał pieniędzy. Andrzej K. wykazał gest: zamontował silnik i zwrócił 86 tys. złotych, wliczając 5.400 zł w koszt części zużytych do remontu silnika, a robocizna była rekompensatą za zwłokę.

Krzysztof J., szlifierz, chciał ułatwić mechanikowi zdobycie karoserii, więc wystarał się o wycenę Polskiego Związku Motorowego na zużycie starej, ale ta wycena nie miała dla K znaczenia. Pokazał sprowadzone z Żerania nowe nadwozie, które właśnie przekładał, ale wyszło zaraz na jaw, że klient sam sobie kupił gdzieś to nadwozie. Krzysztof J. zapłacił za swoje 144 tys.

Wyżej został wyceniony Janusz G., ponieważ miał zakład szczotkarski. Zapłacił 250 tys., ale mechanik nie mógł mu pokazać nadwozia, ponieważ leżało w wynajętej stodole, a on nie miał klucza do tej stodoły. Janusz zaczął straszyć pismem do MO, K. się zdenerwował i pokazał dwa upoważnienia „Wielobranżowej" do odebrania nadwozi. Potem zwrócił zaliczkę, 90 tys. w bonach lokacyjnych, resztę w gotówce, plus 6 tys. odsetek. Pieniądze zostały w depozycie, umowa stała nadal, ale karoserii nie było.

A ślusarz, Euzebiusz J., to wiedział, że w Bielsku nie ma nadwozi do fiata 125p, ale jak mu K. pokazał dokument z pieczątką „Polmozbytu" na dwie karoserie do malucha z Bielska, ponieważ nie miał przy sobie dokumentu z Żerania, więc zapłacił te 125 patoli.

Pewien rolnik kupił sobie w Piotrkowie nowy silnik za 58.600 zł, zaprowadził swego malucha do Łaskowic, wpłacił 90 tys. na przesypkę i co? Mistrz mechaniki nie chciał mu zwrócić ani tego, ani tego...

Tomasz T., adiunkt w PŁ, wolałby się nie zwierzać ze spotkania z przesypką. Natomiast Kazimierz W., mgr ekonomii, prowadzący prywatny sklep motoryzacyjny, z mety nabrał zaufania na 144 tys., ponieważ na jego widok Andrzej K., zawołał radośnie: *„My się znamy! Ileż to ja razy byłem w pańskim sklepie!"*

A Zygmunt M., mgr geografii, właściciel zakładu wyrobu listew i parkietów, dał 125, ale po miesiącu koszty mu wzrosły do 144. Artysta plastyk, Kazimierz Ż., przemilcza straty własne.

A swoją drogą to ludzie z tytułami, aby zdobyć te trudne kryzysowe pieniądze imają się przedziwnych zawodów. Ale to nie jest problem. Prezesa Sądu Rejonowego w Pabianicach, pana Włodzimierza Wlazłę, nachodzą bardziej liryczne refleksje, zwłaszcza, kiedy na wokandzie na dwudziestu świadków staje dziewiętnastu rencistów. Renciści to są ludzie nadający się do podglądania i świadkowania, bo mają czas. Ale jak przez sądy zacznie się przewijać 6 milionów rencistów, to Chryste Panie! Skończmy jednak ten poemat dygresyjny w kryzysie...

Otóż pani Barbara Gorzewska, ekonomistka z PP „Polmozbyt" stwierdziła, co następuje:

„Jak do tej pory jedyną formą otrzymania nadwozia do wymiany był protokół powypadkowy PZU i nasze pośrednictwo. Dziś są także przyjęcia do wymiany nadwozia na podstawie protokołu eksploatacyjnego zużycia nadwozia samochodu, orzeczonego przez Polski Związek Motorowy. Dziś nadwozie do fiata 126p kosztuje 82 tys., a do fiata 125p — 144 tys. zł. Są to karoserie tylko lakierowane, bez wyposażenia. Żadna spółdzielnia nie związana z motoryzacją, ani zakład prywatny nie może dokonać zakupu nadwozia w fabryce".

Prokuratura wyliczyła z ołówkiem w ręku, na podstawie zgromadzonych dokumentów, że od chwili ogłoszenia w gazecie do 7 maja 83 r. Andrzej K. pobrał od klientów zaliczki w wysokości 2813 tys. zł, z czego zwrócił tylko 809 tys. Pozostałych dwóch milionów i czterech tysięcy nie zdołano odzyskać W sumie na przesypkę zapisało się 21 osób.

Wprawdzie w aktach znalazło się hufcowe oświadczenie, że swego czasu dh Andrzej K. był instruktorem Hufca w stopniu przewodnika i pełnił też funkcje szkutnika, wywiązując się z obowiązków zadowalająco, lecz prokurator Orłowski uznał, że z obowiązku świadczenia usług dla ludności wywiązał się przechernie, i sporządził akt oskarżenia. Oskarżony przyznał się do zarzucanego mu czynu i wyjaśnił, że zdawał sobie sprawę, iż nie ma możliwości nabycia w fabrykach samochodów nowych karoserii, jednak miał nadzieję, że *„jakoś to załatwi"*.

Polemiki • Listy • Opinie

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Jestem pełna uznania dla Pana artykułów, ostatnio zamieszczanych w „Odgłosach", a dotyczących naszego krajowego personelu medycznego. To wszystko, co Pan pisze to najprawdziwsza z prawd. Owszem, okrutna, ale prawda, która nigdy nie miała i chyba już mieć nie będzie czołowego miejsca w zdeczłowieczonej rzeszy ludzkości XX wieku. Być może nie wszyscy są takimi lekarzami, ale rzeczywistość „pracuje" na ich niekorzyść. To bardzo ważne, że Pan odważył się publicznie ujawnić to, co od tak dawna mówiło się sciszonym głosem. Pana artykuły są rozchwytywane przez wszystkich, przez ludzi, o których Pan pisze, przez ludzi z pana zawodu i przez „motłoch". Tylko ludzie w kitlach mogą mieć do Pana żal, ale pozostałe grupy naszego społeczeństwa solidaryzują się z Panem. Jest Pan wzorem prawdziwego dziennikarza, który dotarł do sfer tabu. Znam bardzo dobrze to środowisko z układów rodzinnych i nie będę ukrywała, że jadałam łapówkowe łakocie, piłam łapówkowe alkohole, dostawałam prezenty nie przeznaczone dla mnie bezpośrednio, bo nie jestem lekarzem. Znam stawki za zabiegi, przeróżne, za możność leżenia w określonym szpitalu. Może mnie Pan tutaj mocno potępić i ma Pan prawo. Ale skoro większość domowego dobytku pochodzi z tych źródeł? Trudno nie korzystać z magnetofonu, który dał pacjent za wykonanie (chęć wykonania) operacji. To jest okropne, ale to prawda. A czy słyszał Pan kiedyś rozmowy lekarzy przy stole gościnnym o chorych? Lepiej tego nie słyszeć!

Ostatnio najbardziej atrakcyjne prezenty to tzw. rąbanka. Mówi się: trudno, życie jest ciężkie, niech zdechlaki płacą, dają. Kiedyś wtrąciłam do rozmowy, że kobieta, która dała ten koniak rodem z Pewexu, ma troje dzieci, usłyszałam, że to jej sprawa. Ponoć wszyscy biorą łapówki, w każdym sklepie, na cmentarzu przy ostatniej ziemskiej formalności. To fakt, ale lekarze kiedyś przysięgali na słowa Hipokratesa. Poza tym wg. klasyfikacji jego „następców" biada temu, kto ma lat około 50 i więcej i spróbuje zachorować. Toż to już są stare d..., nadające się do ziemi. Przyznam, że z ogromnego grona tych zawodowców już nie znam ani jednej osoby wypełniającej ten szlachetny zawód z oddaniem, choćby z sumiennością zawodową. Choćby ktoś chciał, to lata, nawet bardzo niewiele lat (3—4) odpowiednio „uplastyczni" człowieka.

Czy Pan choć odrobinę wierzy nawet łódzkiemu lekarzowi wojewódzkiemu? O ile można polecić swoje zdrowie, to tym najmłodszym (acz niedoświadczonym) lekarzom, ale jak już nabędą stażu w zawodzie, trzeba od nich uciekać. Czy zna Pan ubogiego lekarza? Ja nie! Może taki młody lekarz, ale wystarczy kilka lat, a wyrośnie ponad ogólny poziom (oczywiście majątkowy, ale broń Boże nie intelektualny, bo jest w Łodzi znana fachura w szpitalu i spółdzielni, która nie bardzo wie, kim był i co zrobił Piłsudski; tematem nr 1 są oczywiście stawki, ubożenie społeczeństwa, od którego trzeba wołać oraz rozmowy sex-erotyczne). Chciałam Panu donieść, że gros lekarzy, w bardzo wąskim gronie, podziwia Pana i uznaje. Jest Pan bardzo odważnym i prawym człowiekiem. Niech się Pan nie obawia, że o ile Pan będzie zmuszony skorzystać z ich usług, odmówią. Za pieniądze zrobią wszystko. A pielęgniarki to zupełnie małe gąski, które za cenę rozpracowania lekarskiego rozporka (przepraszam) zmieniają zdanie i stają się rozmowne, na każdy temat. Życzę Panu dużo wytrwałości i najwyższych zaszczytów zawodowych. Proszę nie przerażać się listami z pogróżkami do Pana. Ci co piszą źle, to boją się o własną skórę. Na pewno mają ochotę pogratulować Panu.

„NOCĄ W KARETCE POGOTOWIA"

W 51 numerze tygodnika „Odgłosy" z 17 grudnia 1983 r. ukazał się reportaż Edwarda Bryla pt. „Nocą w karetce pogotowia". Z uwagi na to, że reportaż zawiera kilka uogólnień znaczących dla oceny merytorycznej pracy tut. Stacji Pogotowia Ratunkowego, a jednocześnie szkodliwych społecznie, mam obowiązek zwrócenia uwagi na ten fakt. Reportażyk można niewątpliwie napisać nawet wówczas, gdy obserwacja dotyczyła pracy tylko dwóch lekarzy na ponad czterystu zatrudnionych w tut. Stacji i po uczestniczeniu w sześciu wyjazdach na ponad siedemset usług w ciągu doby. Jednak wtedy brak najmniejszych podstaw do formułowania uogólnień ze względu na szczupłość poczynionych obserwacji.

A nadto w cytowanym reportażu występuje brak autentyczności w wielu poruszanych sprawach. Po pierwsze nie może to być reportaż pt. „Nocą w karetce pogotowia", gdyż red. E. Bryl towarzyszył lekarzowi w jego pracy tylko do godz. 22,20.

Następnie wyłania się pytanie — jaką red. E. Bryl posiada znajomość merytoryczną, aby stwierdzić, że w pogotowiu ratunkowym są lekarze o niskich kwalifikacjach zawodowych, że są lekarzami z przypadku.

Fakty są następujące. Od lat — dwukrotnie w roku (po sesji egzaminacyjnej lekarzy do specjalizacji wiosną i jesienią) — prowadzona jest ocena poziomu kwalifikacji lekarzy przez konsultantów tut. Stacji.

Otóż do pracy w zespołach reanimacyjno-kardiologicznych zostało zakwalifikowanych 58 lekarzy specjalistów, w tym:

— 35 z II stopniem specjalizacji z anestezjologii i chorób wewn. oraz po 1 osobie z II stopniem specjalizacji med. przemysłowej i chirurgii,

— 20 z I stopniem specjalizacji z anestezjologii i chorób wewnętrznych oraz 1 osoba z I stopniem specjalizacji z med. przemysłowej i toksykologii.

Do pracy w zespołach wypadkowych zakwalifikowano 32 lekarzy, w tym tylko 3 osoby bez specjalizacji, jednak z długoletnim doświadczeniem w pogotowiu ratunkowym w tych zespołach wyjazdowych. Na ogólną ilość 90 lekarzy z tych zespołów wyjazdowych, ponad 70 osób podstawową pracę wykonuje w oddziałach klinicznych AM, WAM, Instyt. Medycyny Pracy, Oddziałach Szpitalnych podległych Wydziałowi Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi i Szpitala MSW. Pozostali są zatrudnieni etatowo w odpowiednich poradniach specjalistycznych lub tut. Stacji Pogotowia. Odnośna dokumentacja do wglądu w tut. Woj. Stacji Pogotowia Ratunkowego.

Dlatego tą drogą pozwalam sobie uspokoić społeczeństwo naszego województwa, iż poziom udzielanej pomocy medycznej w pogotowiu ratunkowym nie odbiega od świadczeń wykonywanych przez tych lekarzy w podstawowym miejscu pracy.

Trzecią sprawą, w której autor reportażu mija się z prawdą, jest poruszony temat rzekomego braku leków do udzielania pomocy w stanach nagłych. Tut. Stacja Pogotowia Ratunkowego posiada faktyczny priorytet w zaopatrzeniu w leki pierwszej pomocy z Przedsiębiorstwa Zaopatrzenia Farmaceutycznego „CEFARM". Powyższe dotyczy również drobnego sprzętu medycznego np. igły i strzykawki jednorazowego użytku. Lekarze — dr Ignacy Baumberg i dr Józef Gierłowski, z którymi redaktor Edward Bryl jeździł w zespołach wypadkowych, nie stwierdzili braku tych leków. Nie było też rozmowy z kierownikiem tut. apteki. Zatem kolejna informacja red. Edwarda Bryla jest nieprawdziwa.

Następnie redaktor Edward Bryl informuje jak to lekarze pogotowia nie myjąc rąk przed badaniem, z papierosem w ustach, w brudnym kożuchu zajmują się chorymi. Sam tego nie zaobserwował, a lekarze z którymi przebywał nie palą w ogóle papierosów. Wprawdzie w dalszej części stwierdza, że tak jednak nie czynią wszyscy lekarze, ale takie ujęcie sugeruje powszechność niewłaściwego postępowania.

Również red. Edward Bryl wbrew temu co obserwuje się w tut. Stacji Pogotowia obecnie i wbrew temu co usłyszał od dwóch lekarzy, którym towarzyszył w czasie ich pracy pisze, że nie zwiększyła się agresywność czy tylko nieprzychylność środowisk, do których udają się karetki pogotowia.

Szczególnie dr I. Baumberg opisał dokładnie przypadki agresji wymierzone w pracowników pogotowia ze strony niektórych środowisk oraz podał sposób uzyskania wyczerpujących informacji od uczestników opisanych zdarzeń. W reportażu brak śladu tych relacji — widocznie nie odpowiadały do założonej tezy tego artykułu. Redaktor Edward Bryl nie zadał również sobie trudu, aby poznać okoliczności sprawy związanej z lokalizacją przystanku autobusowego MPK przed Stacją Pogotowia.

Jakie spostrzeżenia i obserwacje upoważniają do tych uogólnień i jaki cel przyświeca takiemu działaniu? Takie pytania i szereg innych padało ze strony lekarzy pod adresem nierzetelnych dziennikarzy po spotkaniu z kierownictwem tut. Stacji Pogotowia Ratunkowego 3 stycznia 1984 r. W tym kontekście wyłonił się również wniosek niepodejmowania w przyszłości rozmów z red. E. Brylem. Opublikowanie informacji nieprawdziwych w wymienionym na wstępie reportażu, czyni znaczną szkodliwość społeczną, podrywa również zaufanie do tygodnika „Odgłosy", stanowi to uzasadnienie skierowania niniejszego pisma do redakcji.

Pismo proszę potraktować jako moją odpowiedź na reportaż red. E. Bryla i opublikować w tygodniku „Odgłosy".

Otrzymują:

1. Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej za pośrednictwem Lekarza Wojewódzkiego Dyrektora Wydziału Zdrowia i Op. Społ. Urząd Miasta Łodzi
2. Prezydent Miasta Łodzi Łódź, ul. Piotrkowska 104
3. Komitet Łódzki PZPR, al. Kościuszki 107/111
4. Wydział Zdrowia i Op. Społ. Urząd Miasta Łodzi, Łódź, al. Schillera 8

lek. med. JERZY OKIŃCZYC

OD REDAKCJI: Każda działalność publiczna podlega społecznej ocenie i jest to fakt bezsprzeczny, niezależny od tego, czy nam się to podoba, czy nie. Społecznej ocenie podlega też praca dziennikarza. Rozumiejąc to drukujemy wszystkie krytyczne opinie zarówno o piśmie, jak i dziennikarzach. Nie obrażamy się jednak na Czytelnika, przeciwnie, wysoce sobie cenimy wszelkie opinie, nawet niesprawiedliwe, nieuzasadnione, podyktowane emocjami, a nie rzeczowymi argumentami.

Z tego też powodu drukujemy list Jerzego Okińczyca — dyrektora Pogotowia Ratunkowego w Łodzi. Nie możemy jednak powstrzymać się od komentarza, że nikt nie dał prawa pracownikom Pogotowia Ratunkowego w Łodzi do bojkotowania Edwarda Bryla. Przeciwnie. Jest to całkowite bezprawie.

Nie odmawiamy i nie będziemy odmawiali w przyszłości prawa do publikacji własnego stanowiska w sprawach dotyczących Pogotowia Ratunkowego, jeśli zajdzie tego potrzeba. Pracownicy Pogotowia Ratunkowego w Łodzi, jeśli czują się zniesławieni, mają też możliwość dochodzenia swych praw w sądzie.

TELEFONY W ŁODZI

W związku z notatką prasową zamieszczoną na łamach Waszego pisma w dniu 10.12.83 r. pt. „Minął tydzień", w sprawie kłopotów z telefonami, jakie wystąpiły w sieci łódzkiej po przełączeniu centrali „Centrum" na nowe urządzenia typu E-10 i zmianie numeracji na sześciocyfrową, Wojewódzki Urząd Telekomunikacji w Łodzi uprzejmie wyjaśnia: Podczas spotkań z przedstawicielami prasy łódzkiej jak i w czasie wystąpień w lokalnym programie telewizyjnym, kierownictwo Urzędu uprzedzało o zakłóceniach i kłopotach, jakie wystąpią w czasie korzystania z naszych usług. W związku z ww. operacją apelowaliśmy o cierpliwość i w miarę możliwości ograniczenie korzystania z telefonów w tym tak trudnym dla nas okresie.

Pragniemy zauważyć, że tego typu operacja była przeprowadzona w Polsce po raz pierwszy i dlatego była ona niejako poligonem doświadczalnym dla następnych podobnych działań. Pomimo, że przeprowadzono szereg testów sprawdzających, w czasie których skontrolowane zostały wszystkie urządzenia, nie można było przewidzieć wszystkich sytuacji, jakie mogą wystąpić w czasie eksploatacji. Wszelkie usterki, jakie wystąpiły w urządzeniach, były na bieżąco rejestrowane i usuwane. Na pogorszenie się sytuacji w węźle łódzkim w tym okresie niebagatelny wpływ miały również uszkodzenia kablowe, które w związku z pogarszającymi się warunkami atmosferycznymi wystąpiły w zwiększonej ilości. Wzrost ilości uszkodzeń sieciowych miał niewątpliwie także przyczyny w podwojeniu napięcia pracy centrali, co przyczyniło się do ujawnienia prawie jednocześnie wszystkich słabych punktów sieci.

Biorąc również pod uwagę fakt, że w związku ze zmianą numerów generowany był tzw. ruch jałowy występujący na skutek wykręcania niewłaściwych numerów przez abonentów, w odczuciu przeciętnego użytkownika telefony w tym czasie działały źle.

Dlatego też Urząd przeprasza Obywateli za wszelkie utrudnienia występujące podczas korzystania z naszych usług.

Wyżej opisana sytuacja nie umniejsza jednak faktu, iż jak na tak skomplikowaną technicznie operację, jak również jej pionierski charakter, odbyła się ona sprawnie i bez większych zakłóceń.

Nie możemy zgodzić się z uwagą, że redaktor „Dziennika Łódzkiego", Krzysztof Krubski, został ukarany niezaproszeniem na konferencję prasową. Przedstawicielowi „DŁ" Dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji udzielił wyjaśnień w dniu 29.11.83 r., dlatego też na konferencję w dniu 30.11.83 r. zaproszeni zostali dziennikarze z pozostałych dzienników łódzkich.

Z-ca Dyrektora
d/s Urządzeń Sieciowych
inż. ZBIGNIEW ROMANOWSKI

OD REDAKCJI.

Zamiast naszego komentarza przedrukowujemy notatkę z „Kuriera Polskiego", która została opublikowana 18 stycznia 1984 roku pt. „Ministerstwo Łączności przeprasza łodzian". Oto treść tej notatki:

„Na początku grudnia ubiegłego roku zamieściliśmy artykuł pod znaczącym tytułem „30 tysięcy głuchych telefonów", obrazujący sytuację w Łódzkim Węźle Telekomunikacyjnym, którego funkcjonowanie zostało skutecznie zdezorganizowane w wyniku modernizacji, mającej na celu usprawnienie łódzkiej telefonii.

Otrzymaliśmy obszerny list z Ministerstwa Łączności, w którym resort potwierdza krytyczne oceny zawarte w artykule, przedstawia przyczyny wystąpienia kłopotów oraz podejmowane wysiłki zmierzające do usunięcia defektów. Badania przeprowadzone w połowie grudnia wykazały, że sprawność techniczna central wynosiła 90 proc. z wyjątkiem dwóch: CA Wschód K-662 i CA Południe Salome N., których sprawność w dalszym ciągu była za niska. Znacząca poprawa w pracy CA Wschód nastąpi w II—III kwartale br., po jej wymianie na system elektroniczny E-10.

Inną poważną przyczyną zakłóceń w telefonii jest zła jakość dostarczanych przez przemysł bezpieczników — co trzeci nadaje się na śmietnik.

Za pośrednictwem naszej gazety Ministerstwo Łączności, Dyrekcja Okręgu Poczt i Telekomunikacji przepraszają łódzkich abonentów za ich kłopoty w korzystaniu z urządzeń telekomunikacyjnych.

TAJNE AKTA PKP

Tzw. urzędnicza pomysłowość naszych kolejarzy w szybkim tempie — o wiele szybszym niż poprawa funkcjonowania samych kolei — zmierza do doskonałości. Tyle, że doskonałość nowych pomysłów usprawniających zaczyna graniczyć z absurdem...

Do stolicy najczęściej — jeżeli nie muszę tam być przed dziesiątą — jeżdżę bardzo wygodnym, szybkim i niemal zawsze pustawym ekspresem „Odra" z Łodzi Kaliskiej. Wolę to niż koszmar podróżowania pośpiesznym z Fabrycznego, popularnym choć obmierzłym „ekspresem Urzędnik". Aliści ostatnio kolejarze uparli się, bym nie jechał szybko i wygodnie, tylko wolno, w tłoku i brudzie. 19 stycznia jak zwykle podszedłem do kasy po bilet (jakieś pięćdziesiąt minut przed odjazdem „Odry" o 7.52) — a tu niespodzianka: kasjerka biletów nie sprzedaje, powołując się na „zarządzenie z Warszawy", zabraniające sprzedawania biletów na ekspresy bez miejscówek. Do tego dnia zawsze taki bilet sprzedawano bez problemów, a miejscówkę pasażerowie kupowali u konduktora — bez dopłaty, za jedyne 50 zł, i to nie do kieszeni funkcjonariusza kolei — ten ostatni na ogół wypisywał stosowny kartonik (czyli transakcja podlegała ewidencji i kontroli; nie ma mowy o nadużyciu...).

Kasjerka nie chciała pokazać owego **„zarządzenia z Warszawy"**, twierdząc, że przechowuje je w swym biurku kierowniczka kas, która zwykła zjawiać się w pracy o 7.30. Tymczasem tłumek przed okienkami zgęstniał i zrobiło się nader niesympatycznie — warstwy słownej cytować nie będę z powodów czysto cenzuralnych — poza jedną groźbą — opisaniem incydentu w prasie (niniejszym spełniam prośbę licznych współpasażerów). W końcu zjawiła się pani kierowniczka i po krótkim zlustrowaniu nieprzyjaznego tłumu za szybami kas podjęła „męską" decyzję — sprzedawać bilety razem z miejscówkami, ale bez wypisanych konkretnych numerów wagonów i miejsc (legalnie Łódź ma do dyspozycji w „Odrze" pewnie ze dwa przedziały...). Kupiłem w ostatniej chwili.

Ale ta decyzja — sprzedaż razem z miejscówkami — rozjaśniła mi nieco najprawdopodobniejsze motywy owego „zarządzenia z Warszawy" (nb. kierowniczka kas też nie chciała go pokazać). Chodzi po prostu o pieniądze...

Najpewniej wszyscy pracownicy kas kolejowych i w ogóle wszyscy sprzedający bilety (także konduktorzy i kontrolerzy wypisujący kwitki za jazdę bez biletu) są objęci systemem prowizyjnym — dostają procent od obrotu. I oto kolejowy urzędnik wysokiego szczebla (zarządzenia wydaje nie byle kto, może nawet sam dyrektor) pozazdrościł swym podwładnym dodatkowych dochodów — będących w prostej linii pochodną niesprawności samej kolei. (Czyżby przez tyle lat kursowania „Odry" nie można było ustalić, jakie jest przeciętne zapotrzebowanie na nią w Łodzi?). Lepiej — zdaniem owego urzędnika — rypnąć po kieszeni konduktorów, niż zarobić na sprzedanych biletach (nawet bez miejscówek), albo w ogóle poprawić organizację działania samej firmy?

Ale trzeba by pomyśleć — i to nieschematycznie. Przekracza to jednak możliwości intelektualne kolejowych urzędników. Łatwiej przełożyć wajchę...

TOMASZ SAS

PIES, KTÓREGO SIĘ LUBI...

Przeczytałam artykuł Teresy Jerzykowskiej „O popieraniu rasizmu i prokreacji na kartki", zamieszczony w nr 2 „Odgłosów" z 14.I.1984 r. Zgadzam się z autorką, że nie wszyscy muszą mieć psa, ale nie zgadzam się z podanymi w artykule warunkami.

Są przecież ludzie starsi, samotni, chorzy, którzy pragną mieć psa, widząc w nim swojego prawdziwego przyjaciela i wiernego towarzysza. W większości przypadków mają skromną rentę, z której nie będzie ich stać na zapłacenie kilkunastu tysięcy za rasowego psa, a do szczęścia wystarczy im właśnie kundel, pies niedrogi, a w wielu przypadkach mądrzejszy od rasowego „arystokraty". Często widzę właśnie takie kundelki prowadzone na smyczy przez właścicieli, są zadbane, niegłodne, i sądzę, a chyba się nie mylę, że nikt z właścicieli nie zamieniłby go na najdroższego i najpiękniejszego „rasowca".

Z artykułu T. Jerzykowskiej wywnioskować można, że, jak twierdzi, „nie wszyscy muszą mieć psa, tylko ci, których na to stać". Wydaje mi się, że nie można dzielić ludzi na „arystokrację" mającą willę, samochód, masę pieniędzy i drogiego psa (czym droższy, tym lepiej), którzy w większości traktują psa nie jak przyjaciela, ale dodatkowy dochód, bez żadnej więzi uczuciowej, a nawet traktują go gorzej, niż „ci drudzy — plebejusze", których nie stać na kupno psa za kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy, a którym „do szczęścia" wystarczy kupiony „za psi grosz" kundel, o którego dbają nie mniej, a może i bardziej niż ci pierwsi.

Owszem zdarzają się wypadki wyrzucania „niepotrzebnych" już psów na ulicę. To zależy od charakteru i sumienia (jeśli tacy mają sumienie) człowieka. Takimi ludźmi powinno zająć się, i chyba to robi, Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Ludzie ci powinni wtedy płacić za swój nieludzki czyn. Sprawy takie, kierowane są do kolegium i to ono wyznacza wysokość kary. W takich przypadkach społeczeństwo powinno współpracować z Towarzystwem Opieki nad Zwierzętami i zgłaszać takie przewinienia. Mam nadzieję, że kiedy taka osoba raz zapłaci i to wysoką sumę za przewinienie, to po raz drugi już tego nie zrobi.

Wracając jeszcze do artykułu, w którym T. Jerzykowska pisze, że „zwierzęta obdarzone są cechami psychicznymi, w zależności od rasy". Przecież to bzdura. Znam psy rasowe z masą dyplomów, odznaczeń, medali, które są głupsze od zwykłego kundla. To nie rasa, a cecha indywidualna danego psa.

ANNA MARCINIAK

PS. Sama posiadam jamnika, ale nie twierdzę, że jest on „mądrzejszy" od innych psów. Każdy pies jest najładniejszy, najmądrzejszy i najlepszy dla swojego właściciela.

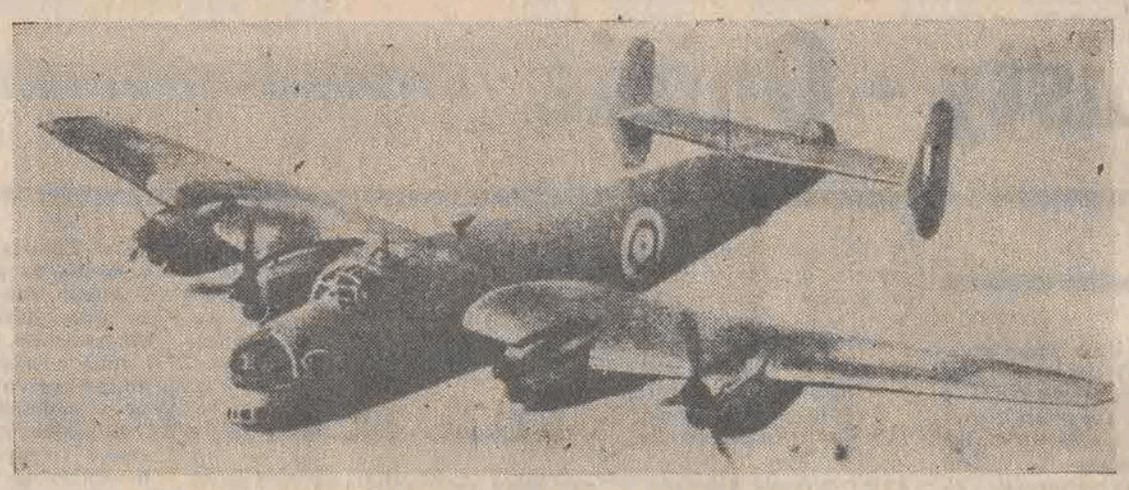

Drezdeńska apokalipsa

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

Ostatnie dni stycznia 1945 roku napawały nadzieją rychłego zakończenia — trwającej ponad pięć lat — drugiej wojny światowej. Hitlerowska Trzecia Rzesza znalazła się w kleszczach armii Sprzymierzonych. Na wschodzie Armia Radziecka wraz z Wojskiem Polskim wyzwoliły już spod jarzma hitlerowskiego niemal całą Polskę i rozwijały potężną ofensywę w kierunku Berlina. Na froncie zachodnim wojska alianckie dawno przekroczyły granice Niemiec, nacierając w głąb kraju, zdobywając miejscowość po miejscowości w kierunku wschodnim. Tymczasem w głównym sztabie lotnictwa brytyjskiego — RAF — gorączkowo opracowywano plan jednego z największych nalotów na Trzecią Rzeszę, którego celem miało być Drezno. Akcję przygotowywano bardzo skrupulatnie, żeby osiągnąć jak największy sukces. Termin nalotu wyznaczono na pierwsze dni lutego.

Generał Arthur Harris — dowódca brytyjskiego Bomber Command (Lotnictwa Bombowego) — zdecydował, że w nalocie na stolicę Saksonii uczestniczyć będzie tysiąc czterysta najcięższych samolotów bombowych RAF i 8 Floty Powietrznej USA, stacjonującej na Wyspach Brytyjskich. Do akcji drezdeńskiej wytypowano czterosilnikowe: „Lancastery", „Halifaxy", „Latające Fortece" oraz „Liberatory", dysponujące dalekim zasięgiem i dużym udźwigiem bomb — od pięciu do dziesięciu ton. Dla zapewnienia powodzenia operacji postanowiono atakować Drezno metodą „podwójnego uderzenia". Zadaniem pierwszej fali dwustu czterdziestu pięciu „Lancasterów" poza bombardowaniem celu, było zaabsorbowanie niemieckich myśliwców, aby przy nalocie drugiej fali pięciuset trzydziestu maszyn tego samego typu, znalazły się na lotniskach, celem uzupełnienia paliwa i amunicji. Poza tym zniszczenia dokonane pierwszym nalotem miały decydować o sprawności niemieckiej obrony naziemnej podczas nalotu drugiej fali bombowców. Ustalono, że przerwa między obu nalotami nie powinna trwać dłużej, niż trzy godziny, potrzebne na rozprzestrzenianie się pożarów w mieście, dając jednocześnie szansę drugiej fali maszyn, zaskoczenia straży pożarnych i drużyn ratowniczych w akcji. Przekroczenie tego czasu groziło niebezpieczeństwem ze strony myśliwców niemieckich, mogących uzyskać gotowość bojową i poczynić poważne straty atakującym. Dla zmylenia czujności dowództwa lotnictwa niemieckiego oraz rozproszenia myśliwców nieprzyjaciela, jednocześnie z pierwszym nalotem na Drezno, formacja trzystu dwudziestu „Halifaxów" miała bombardować wytwórnię benzyny syntetycznej w Böhlen koło Lipska, a zadaniem mniejszych grup dwusilnikowych „Mosquitów" były słabsze naloty nękające na Bonn, Dortmund i Magdeburg.

Plany były gotowe, ale ich realizację uniemożliwiły złe warunki atmosferyczne. Ponad tydzień nad Niemcami zalegały ciężkie niskie chmury i wiały silne wiatry. Niecierpliwie wyczekiwano polepszenia pogody. Wreszcie nadeszły pomyślne komunikaty meteorologiczne zapowiadające na dzień 13 lutego poprawę pogody i przejaśnienia nad całymi Niemcami oraz nad Anglią.

Odległe ponad tysiąc kilometrów od Wielkiej Brytanii Drezno, liczące na początku wojny sześćset czterdzieści dwa tysiące mieszkańców, których liczba pod koniec wojny zmalała do pół miliona, ulokowało się w południowo-wschodniej Saksonii, po obu brzegach rzeki Łaby. Oprócz wspaniałych zabytków architektury, muzeów i galerii sztuki, w mieście było wiele fabryk o znaczeniu strategicznym, wśród których dominowały zakłady produkujące części do samolotów Junkersa, Messerschmitta i słynnych rakiet V-2. Działały również oddziały znanych fabryk: Zeissa, Siemensa i AEG. W drezdeńskich zakładach produkcyjnych zatrudniano dziesiątki tysięcy obcokrajowców, przywiezionych na roboty przymusowe prawie ze wszystkich krajów Europy, okupowanych przez hitlerowców. W samym tylko Stalagu IV A mieszkało ponad dwadzieścia pięć tysięcy jeńców wojennych. Drezno było również ważnym węzłem telekomunikacyjnym i kolejowym. W mieście znajdowały się siedziby Okręgowych Dowództw: Wojskowego i Lotnictwa.

Ofensywa Armii Radzieckiej spowodowała masową ucieczkę do Rzeszy cywilnej ludności niemieckiej z Dolnego Śląska i przyległych regionów. Od połowy stycznia, codziennie przybywały do Drezna olbrzymie transporty uciekinierów. Ostatnie dwa pociągi uchodźców rozładowano 13 lutego. Miasto było już przeludnione, więc uchodźcy mieszkali w bardzo prymitywnych warunkach: pod namiotami, w skleconych naprędce szałasach i pałatkach, a nawet biwakowali pod gołym niebem. W drugim tygodniu lutego przypuszczalna liczba mieszkańców Drezna, łącznie z obcokrajowcami na robotach przymusowych oraz niemieckimi uciekinierami, dochodziła do półtora miliona ludzi.

Dotychczas lotnictwo alianckie bombardowało miasto zaledwie czterokrotnie i to małą ilością samolotów. Pierwsze dwa naloty wykonano w 1940 roku — 22 września i 11 listopada. Czteroletnia przerwa w nalotach pozwoliła drezdeńczykom zapomnieć o koszmarze działań wojennych. Dopiero 7 października 1944 roku bombowce alianckie znów pojawiły się nad miastem. Ostatni nalot przeżyło Drezno w dniu 16 stycznia 1945 roku. Szkody wyrządzone tymi nalotami były niewielkie, toteż uważano Drezno za jedno z miast niemieckich najmniej poszkodowanych w wyniku działań wojennych.

Silna obrona przeciwlotnicza miasta na początku wojny słabła niemal z każdym rokiem, ponieważ ciągle zabierano działa, reflektory i lotnictwo myśliwskie do innych ośrodków w Niemczech zachodnich, częściej i bardziej bombardowanych przez lotnictwo alianckie. Ostatnie baterie dział zabrano niedawno dla wzmocnienia frontu wschodniego, druzgotanego przez Armię Radziecką, a rozstawione wokół miasta atrapy dział były nieszkodliwe dla nieprzyjaciela.

Tysiące lotników mających uczestniczyć w nalocie na Drezno, 13 lutego na porannych odprawach załóg, w bazach lotniczych 1, 3, 5, 6 i 8 Grupy RAF otrzymało ostatnie rozkazy z dowództwa. Na lotniskach zapanował niesamowity ruch. Tankowano paliwo do samolotów, ładowano amunicję do działek i kaemów pokładowych, podwieszano bomby w komorach bombowych. Piloci i nawigatorzy zapoznawali się ze szczegółami akcji oraz planowali i opracowywali trasy lotu. O godzinie 17.30 lotniska wypełnił basowy grzmot silników i pierwsze dywizjony „Lancasterów", przeciążonych bombami i paliwem, leniwie odrywały się od ziemi, aby po chwili polecieć wyznaczonym kursem do celu. Po nich startowały „Halifaxy". Wszystkie maszyny brały kurs na południowy wschód, aby w dokładnym czasie spotkać się z maszynami innych dywizjonów.

Z lotniska Faldingworth wystartowało osiemnaście polskich „Lancasterów" dywizjonu 300 Ziemi Mazowieckiej, wchodzącego w skład 1 Grupy RAF. Niestety, start zaczął się pechowo. „Lancaster" nr PA 185 z rejestracją BH-W z załogą: sierż. pil. M. Mykietyn, sierż. naw. J. Płaczek, sierż. rtg. A. Kaczmarz, kpr. mech. A. Jemieliniec, kpr. bomb. M. F. Ogorzał, plut. strz. B. Niziński oraz kpr. strz. L.St. Gołdowski — wkrótce po starcie, nabierając wysokości, zderzył się w powietrzu z „Lancasterem" nr 932 z dywizjonu brytyjskiego i spadł na ziemię w okolicy Wragby, grzebiąc w szczątkach całą załogę.

W pół godziny po starcie pierwszych dywizjonów, znalazły się w powietrzu następne dwieście czterdzieści cztery bombowce. Natomiast dziewięć najbardziej doświadczonych załóg z tzw. „Pathfinder Force" (Armii Tropicieli), wystartowało na „Mosquitach" o godzinie 20.00. Luki bombowe tych samolotów wypełniły czerwone bomby sygnałowe, które po uprzednim nastawieniu opóźnienia, miały spaść wprost na Stare Miasto. Zadaniem załóg „Mosquitów" było odnalezienie na prawym brzegu Łaby dobrze widocznego stadionu i zrzucenie tam bomb sygnałowych, oznaczając punkt celowania dla innych maszyn.

Potężna armada bombowców wypełniła przestrzeń grzmotem tysięcy silników. Przelatując nad Morzem Północnym skierowała się nad Holandię, przywitana snopami reflektorów, próbujących przechwycić samoloty oraz zaciekłym ogniem setek dział przeciwlotniczych. Lotnicy zrzucali masowo cynfolię (paski staniolu) zakłócając prace nieprzyjacielskich stacji radarowych. Potem przelot nad Belgią, w podobnych warunkach. W miejscowościach, nad którymi przelatywała wyprawa bombowa, ogłaszano alarmy. Gdy samoloty znalazły się w rejonie Luksemburga, zmieniły kurs na północno-wschodni, kierując się na Berlin. Po przeleceniu około dwustu siedemdziesięciu kilometrów, wykonały między Bielefeld a Paderborn kolejny zwrot, na południowy-wschód, lecąc w kierunku Saksonii — do celu.

Przelot brytyjskich bombowców i stosowane przez nie manewry, z niepokojem i napięciem nerwowym obserwowano w Döberitz koło Berlina, gdzie znajdował się sztab 1 Niemieckiej Dywizji Lotniczej, odpowiedzialnej za obronę obiektów położonych w Saksonii. Z napływających meldunków, wnioskowali, że alianci szykują jakiś potężny nalot, lecz nie mogli ustalić, które z miast niemieckich będzie celem tego nalotu. Początkowo przypuszczali, że celem bombowców brytyjskich będzie jedno z miast na południu kraju, lecz po pierwszej zmianie kursu aliantów, sądzili, że lecą nad któreś z miast północnych Niemiec albo może na Berlin. Po ostatniej zmianie kursu brytyjskiej wyprawy bombowej, domyślali się niepewnie, że samoloty kierują się na któreś z miast saksońskich, choć jeszcze nie byli pewni, czy nieprzyjaciel nie wykona kolejnego zwrotu i to sztabowców niemieckich wyprowadzało z równowagi, denerwowało coraz bardziej. Czekali. Nie wysyłali rozkazu startu dla swoich myśliwców nocnych, pragnąc zwycięstwa w tym starciu, lecz chroniczny brak paliwa nie pozwalał im na startowanie w niepewność. Wstrzymywano się również z ogłoszeniem alarmu w miastach saksońskich.

Wreszcie ogłoszono w Dreźnie „Voralarm" (Przedalarm), stosowany w Niemczech od lata 1944 roku, wskutek gigantycznej ofensywy lotnictwa brytyjskiego i amerykańskiego, atakujących ośrodki niemieckie z taką częstotliwością, że nie zdążono na ziemi odwołać jednego alarmu, a już trzeba było ogłaszać następny. Konsekwencją tego były olbrzymie straty w przemyśle niemieckim, spowodowane zbyt częstymi przerwami. Dlatego najpierw ogłaszano „Voralarm", podczas którego robotnicy normalnie pracowali, a dopiero w przypadku bombardowania konkretnego obiektu, ogłaszano alarm, co pociągało wiele ofiar wśród robotników pracujących zakładów.

Dopiero o godzinie 21.55 w Döberitz zdecydowano się na rozkaz poderwania do startu myśliwców z poddrezdeńskiego lotniska Klotsche, gdzie stacjonował 5 dywizjon 5 Eskadry Nocnego Lotnictwa Myśliwskiego, wyposażony w samoloty dwusilnikowe Messerschmitt Me-110. Wystartowało pięć najznakomitszych załóg, ale było już za późno. Gdy samoloty nabierały wysokości nad lotniskiem, dochodził już zbliżający się potęgujący grzmot silników brytyjskich bombowców. Krążące nad miastem „Mosquity" zrzucały pierwsze „choinki", rozświetlające jasnym blaskiem okolicę. Podenerwowana obsługa dział przeciwlotniczych lotniska wypatrywała z niepokojem nieprzyjacielskiej maszyny na niebie i kiedy w stożku reflektorów dostrzegła samolot, wszystkie działa plunęły ogniem. Trafiony samolot spadał na ziemię, jak płonąca pochodnia ku radości żołnierzy obrony przeciwlotniczej. Okazało się, że był to jeden z pięciu własnych Me-110. Był to zresztą jedyny sukces drezdeńskiej obrony tej nocy.

Alarm w Dreźnie ogłoszono o godzinie 22.09, nadając jednocześnie powtarzające się komunikaty przez radio: „Uwaga! Uwaga! Pierwsze fale nieprzyjacielskiej formacji zmieniły kierunek i zbliżają się do Drezna! Wzywa się ludność do natychmiastowego udania się do schronów! Uwaga! Uwaga!... „Drezdeńczykom pozostały tylko cztery minuty do ucieczki do schronów. Spóźnialskich poganiały pierwsze wybuchy bomb. Te „Lancastery" zrzucały, zgodnie z planem Bomber Command, tylko bomby burzące, zrywające dachy domów, wybijające podmuchem szyby i spędzające ze strychów dyżurnych członków cywilnej obrony przeciwlotniczej. Inne grupy „Lancasterów" krążyły nad miastem, zrzucając dziesiątki tysięcy bomb zapalających, a po nich jeszcze inne bombowce pozbywały się śmiercionośnego ładunku — ciężkich bomb burzących. Całe Stare Miasto ogarnęło morze płomieni. Równocześnie z pierwszymi pożarami, kilkanaście kilometrów od Drezna zapłonęły inne ogniska. To rzędy szop i rozrzuconego na łąkach chrustu podpalili Niemcy, dla pozorowania pożaru miasta, celem zmylenia wyprawy bombowej. Rozszalały żywioł ognia ogarniał coraz to nowe połacie zabudowań śródmieścia, od czasu do czasu przeorywanego bombami burzącymi, rozdmuchującymi ogień. Uszkodzenie elektrowni sparaliżowało zupełnie obronę przeciwlotniczą i jej dowództwo. Płonące sektory miasta zwabiły łunami okoliczne straże pożarne, które wkrótce przybyły do Drezna, ale nikt nie był w stanie ugasić tego olbrzymiego ogniska. Nalot trwał zaledwie dwadzieścia minut i samoloty odleciały znad celu.

Na lotnisku Klotsche załogi osiemnastu Me-110 oczekiwały w kabinach samolotów na rozkaz startu z Döberitz, przeciw drugiej fali bombowców, ale nie doczekały się nigdy takiego rozkazu. Pierwszy nalot zdezorganizował nie tylko łączność telekomunikacyjną w mieście, lecz również wszystkie linie telefoniczne i telegraficzne, przebiegające przez Drezno. Niezależnie od tego, każdej grupie bombowej towarzyszyła specjalna formacja samolotów, wyposażonych w bardzo silne nadajniki zagłuszające, które podczas większych nalotów na cele niemieckie blokowały wszystkie długości niemieckich fal radiowych.

Grozy mieszkańców bombardowanego Drezna dopełnił, powstały nad miastem w pół godziny po pierwszym nalocie, wir powietrzny o sile huraganu, który przewracał samochody i wagony oraz wozy, wyrywał z korzeniami lub przewracał duże drzewa, a ludzi porywał i ciskał w płomienie. Wir ten powstał wskutek raptownego ogrzania powietrza nad rozszalałymi pożarami oraz różnic temperatur, dochodzących do ośmiuset stopni Celsjusza. Jedni konali powolną śmiercią z braku tlenu, pochłanianego przez ogień, inni, zatruci gęstym, gryzącym dymem.

O godzinie 1.28 pojawiła się nad płonącym miastem druga fala „Lancasterów". Miasto przedstawiało okropny widok. Cała wschodnia część Drezna zaciemniona była dymami, gnanymi południowo-zachodnim wiatrem a w centrum szalał jeszcze huragan. Na próżno załogi „Lancasterów" wypatrywały w chmurach czarnego dymu sygnałów „pathinderów", znakujących cel. W takiej sytuacji dowódca grupy rozkazał bombardowanie dzielnic nie objętych jeszcze pożarem, położonych wokół Starego Miasta. Mieszkańcy Drezna znaleźli się w pułapce. Panikę potęgowali uchodźcy, którzy w życiu nie słyszeli syreny alarmowej, ani wybuchu bomby, a teraz znaleźli się w największym piekle dwudziestego wieku. W drugim nalocie zginęły prawie wszystkie drużyny ratownicze, usiłujące gasić pożary i nieść pomoc ludności. Rozprzestrzeniające się pożary miały szaleć nad miastem jeszcze pełnych czternaście godzin.

Nieobliczalny błąd popełnił zawiadowca Dworca Głównego, w przekonaniu, że pierwszy nalot był jedynym nalotem na miasto, po jego zakończeniu nakazał powrót pociągom ewakuacyjnym, w celu ich rozładowania. Raptem drugi nalot zaskoczył na dworcu tysiące ludzi, których jedynym schronieniem było ciasne przejście pod peronami, gdzie po nalotach znaleziono tysiące trupów.

Nawigator „Lancastera", który ostatni znalazł się nad celem, tak relacionował swoje spostrzeżenia: „To było po prostu morze płomieni, pokrywających chyba ze sto kilometrów kwadratowych. Gorąco buchające z tego gigantycznego pieca, wyczuwaliśmy wyraźnie w kabinie, na wysokości czterech tysięcy metrów. Niebo pełne było migocących iskier, a w samolocie było całkiem widno. Łunę widzieliśmy jeszcze trzydzieści minut po odlocie".

Istotnie, łuna płonącego Drezna widoczna była na odległość ponad dwustu kilometrów. W nocy z 13 na 14 lutego zrzucono na Drezno sześćset pięćdziesiąt tysięcy bomb zapalających oraz około trzy tysiące bomb burzących, wśród których była znaczna ilość dwu- i czterotonowych „blockbusters". Straty lotnictwa brytyjskiego w całej akcji wyniosły zaledwie sześć samolotów, z których trzy zestrzeliła obrona przeciwlotnicza miast, nad którymi przelatywały, a trzy wskutek defektów i uszkodzeń zmuszone były lądować. Wszystkie załogi „Lancasterów" zaskoczone były brakiem obrony przeciwlotniczej w bombardowanym Dreźnie, co potwierdziły również filmy, kręcone w czasie nalotów. Na żadnym nie było śladu smug pocisków artyleryjskich, ani snopów reflektorów.

W środę popielcową — 14 lutego — nad Dreznem nie było świtu. Żółtobrunatna chmura dymu wznosiła się na wysokość pięciu tysięcy metrów, przysłaniając niebo. Pędzona zachodnim wiatrem, zaległa na polach, lasach i miastach, zostawiając na nich grubą warstwę popiołu. Akta i dokumenty, porwane wirem powietrznym, jeszcze opadały kilkadziesiąt kilometrów od Drezna. To jeszcze nie był koniec dramatu drezdeńczyków.

W środę popielcową, już o 7 rano lotniska brytyjskie znów wypełniał grzmot silników lotniczych, maszyn startujących do trzeciego ataku na Drezno. Tym razem poleciały samoloty 8 Floty Powietrznej USA, w składzie trzech dywizji „Latających Fortec" B-17 i „Liberatorów" oraz piętnaście grup myśliwskich. Pogodne dotychczas niebo zasnuło się chmurami, powstałymi ze smug kondensacyjnych, ciągnących się za samolotami. Nad Dreznem pojawiło się trzysta jedenaście bombowców, zrzucając siedemset czterdzieści jeden ton bomb różnego rodzaju na Nowe Miasto. Inne samoloty bombardowały Kamienicę oraz omyłkowo inne miasta Saksonii. W czasie bombardowania Drezna ponad sto myśliwskich „Mustangów" eskortujących „Latające Fortece", zniżyło lot i ostrzeliwało z broni pokładowej wszystkie wychodzące z miasta ulice i szosy, zatłoczone uciekinierami. Inne myśliwce ostrzelały łąki oraz bulwary nad Łabą, rojące się od pogorzelców.

Po nalotach 13 i 14 lutego Drezno wyglądało przerażająco. Wśród zwałów gruzu kikuty spalonych domów. Ulice zasłane tysiącami trupów, których setki znajdowano przy i w zbiornikach przeciwpożarowych, gdzie próbowali ugasić płonącą na sobie odzież. Wiele ofiar wtopionych było w zastygły asfalt ulic, a każdy dom i schron Starego Miasta był masowym grobem. W kilka dni po nalotach taki odór wydobywał się z rozkładających zwłok, że trzeba było chodzić po mieście tylko w maskach. Początkowo indentyfikowano każde zwłoki i do 6 maja doliczono się około czterdziestu tysięcy trupów, lecz nie nadążano z ich grzebaniem, a wiosenne ocieplenie groziło epidemią. Na Starym Rynku ustawiono barykady i otoczono je kordonem wojska, po czym tutaj kierowano wszystkie wozy oraz samochody z trupami. Żołnierze niemieccy układali zwłoki na wysokich stosach, na podkładach drzewa i podpalali je. Po kilkunastu godzinach usuwano popiół, wywożąc go do wielkiego dołu, wykopanego na cmentarzu Heide-Friedhof. Oczyszczanie miasta z trupów przeciągnęło się na długo po zakończeniu wojny.

W potrójnym nalocie na Drezno spadło 2.978 ton bomb, które na 1.270 hektarach powierzchni miasta zniszczyły 75 proc. budynków, a na dalszych 420 hektarach — 25 proc. budynków. Całkowitemu zniszczeniu uległo 11.116 budynków (75.000 mieszkań), poważnie uszkodzono 2.002 domy (11.500 mieszkań) i lekkim uszkodzeniom uległo 14.821 domów (88.000 mieszkań). Dzielnica „Zentrum" została całkowicie zniszczona. Czterysta tysięcy mieszkańców pozostało bez dachu nad głową. Niemcy oszacowali liczbę zabitych na 120—150 tysięcy ludzi, ale niektóre źródła oceniają liczbę zabitych na 220.000. Prawdziwa liczba ofiar nalotu na Drezno pozostanie na zawsze tajemnicą, ponieważ w mieście przebywało tak wielu uchodźców, a zniszczenia były tak rozległe, że trudno dokładnie ustalić liczbę ofiar drezdeńskiej apokalipsy.

Jeżeli bomba atomowa rzucona w Hiroszimie pochłonęła 71.379 ofiar, a w płonącym Tokio zginęło 83.793 mieszkańców, to chyba liczba ofiar nalotu na Drezno znacznie przewyższa te liczby i jest największa, osiągnięta po jednej akcji lotnictwa. Gdy niemiecka Luftwaffe niweczyła miasta Europy, Niemcy uznawali to za swoje zwycięstwa i gloryfikowali „sukcesy" swoich lotników, a teraz sami na własnej skórze doznawali gorczy bezsilności wobec lotnictwa alianckiego, doświadczyli grozy i ogromu zniszczeń, przeżywali piekło na ziemi, którego efektem były: śmierć, kalectwo, nędza i hańba, na jaką skazał ich ubóstwiany führer.

Szansa przetrwania: podziemna Szwajcaria

Co dwa miesiące człowiek ten samotnie wkracza do szpitala na 500 łóżek, bez okien i bez chorych, zamkniętego pancernymi drzwiami. Jego zadanie polega na sprawdzeniu urządzeń tego opustoszałego szpitala i stwierdzeniu, czy wszystko jest w porządku. W Mittelgosgen, małym szwajcarskim miasteczku w kantonie Solura, Claude Ruffenacht błądzi sam jeden po tym podziemnym szpitalu antyatomowym, zagrzebanym 12 metrów pod ziemią.

80 proc. spośród 6,4 mln mieszkańców Szwajcarii ma już zarezerwowane miejsca w publicznych i prywatnych schronach antyatomowych. Jednakże Szwajcaria, ten opancerzony ser, nie jest w stanie zapobiec, by nie było ofiar. Armia i obrona cywilna stworzyły więc system sanitarny. W ciągu niecałych sześciu godzin ranny może znaleźć się w szpitalu. „Według studiów przeprowadzonych m.in. w Wietnamie, 10 procent przypadków polega na udzieleniu pierwszej pomocy, a 30 procent rannych może otrzymać opiekę w ciągu 6—12 godzin" — wyjaśnia major Gall ze służby sanitarnej. „160 podstawowych szpitali mających po 238 łóżek dla cywilów istnieje na powierzchni ziemi z dwoma blokami operacyjnymi pod ziemią. Mamy też 40 szpitali wojskowych na 500 łóżek, z czego 12 znajduje się pod ziemią. Są one zabezpieczone według reguł NBC — przeciwko broni nuklearnej, bakteriologicznej i chemicznej".

Są to wciąż jeszcze dane prowizoryczne. Co dwa lata buduje się nowy szpital systemu NBC. Co 50 kilometrów rozmieszcza się nowy szpital na powierzchni. Koszty wynoszą 50 milionów franków szwajcarskich, a więc 19 miliardów naszych centimów.

Mittelgosgen, szpital o powierzchni 6 tys. metrów kwadratowych, rozmieszczony na dwu poziomach, jest modelem największym, jaki wybudowano. Karetki sanitarne zjeżdżają tam po specjalnej rampie. Pancerne wrota otwierają się ku komorze odkażającej wyposażonej w prysznice, z której wychodzi się przez inne drzwi pancerne. W hallu na drzwiach wywieszono napis: Ul 53 Odpady". „A tak, mówi Claude Ruffenacht, trochę zażenowany — to kostnica". Architekci tej epoki Apokalipsy nie zapomnieli niczego.

Szpital jest samowystarczalny w ciągu piętnastu dni, jeśli chodzi o żywność i lekarstwa. Wywieszono w nim zegar odnotowujący także dni, by personel miał poczucie upływającego czasu. Pewien szczegół pozwala jeszcze zorientować się, że jesteśmy w Szwajcarii. 500 łóżek z jaśkami w poszewkach znaczonych białymi i czerwonymi kratkami. Prześcieradła? Zmieniane są co dwa lata — po kolejnych ćwiczeniach wojskowych, które trwają w szpitalu przez trzy tygodnie. Mittelgosgen staje się wówczas ośrodkiem selekcji młodych rekrutów i miejscem ćwiczeń dla personelu wojskowej służby medycznej.

Laboratorium analityczne i sale operacyjne są wyposażone w najnowocześniejsze instrumenty. „Szpitale cywilne zazdroszczą nam takiego wyposażenia, bo same nie mają go" — stwierdza Bernard Scherz, szef sekcji produkcji farmaceutyków armii szwajcarskiej. „Trzeba jednak, aby te podziemne szpitale już teraz miały pełne zabezpieczenie techniczne, bo jeszcze za trzydzieści lat urządzenia te będą w tym samym miejscu".

Niczego tu nie brakuje. We wszystkich kątach zmagazynowano lekarstwa. Mamy tu nawet stosy popielniczek. W kuchni znajdujemy szczotki, szmaty, wszystko to, co niezbędne jest do czyszczenia.

Mittelgosgen ma też jednostkę produkującą lekarstwa zdolną dostarczyć roztwory fizjologiczne, plazmę itp. w tempie 3500 flakonów do jednej operacji odkażania. Zmagazynowano wszelkiego rodzaju surowce. Armia produkuje też tlen i gaz znieczulający. Inne podziemne fabryki szwajcarskie specjalizują się w pastach, kremach i pigułkach.

Wyjście, w korytarzu otwiera się wyjście bezpieczeństwa, prowadzące na klatkę schodową, a ta prowadzi do szatni szkoły, gdzie dzieci, zupełnie nieświadome, bawią się nad tym szpitalem z epoki końca świata.

Czy są to nadmierne wydatki? „Ci, których szokuje to, zmieniliby zdanie gdybyśmy za tę samą sumę kupili samolot myśliwski" — odpowiada Bernard Scherz.

DLA KAŻDEGO MIEJSCE W SCHRONIE

Już przed dwudziestu laty Szwajcarzy dokonali wyboru. Podczas gdy Francja chroniła się pod własnym parasolem atomowym, Szwajcaria, trzymając się swej neutralności, udała się pod opiekę swego najlepszego sojusznika — gór. Oprócz armii, która na wypadek wojny może wystawić 635 tys. ludzi w ciągu 48 godzin, obrona cywilna ze swymi 520 tys. ochotników, zobowiązanymi do dwu dni ćwiczeń rocznie, wchodzi także w skład szwajcarskiego potencjału militarnego. Jej zadania określone są statutem: „Zwiększyć zdolność obronną kraju wobec ataków i prób szantażu podejmowanych przez mocarstwa zewnętrzne i przyczynić się poprzez wysoki stopień wiarygodności do zachowania niepodległości i nienaruszalności terytorialnej".

Przy ogólnej liczbie ludności 6,4 mln Szwajcaria ma 6,3 mln miejsc w schronach. Schronów tych jest 193 tys. zarówno prywatnych, jak państwowych, przystosowanych do ochrony NBC, czasem wykorzystywanych jako podziemne parkingi albo sale dancingowe. Nie zapominajmy o 1,8 mln miejsc w schronach prowizorycznych, wybudowanych zanim jeszcze przyjęto normy NBC w 1963 roku. Prawdziwym gigantem podziemnym jest tunel Sonnenberg koło Lucerny, otwarty w 1976 roku. Zamyka się go z obu stron ogromnymi opancerzonymi wrotami, ważącymi 350 ton. Na siedmiu podziemnych piętrach można pomieścić 21 tys. osób w ciągu piętnastu dni. Jest to prawdziwe podziemne miasto ze szpitalem, oddziałem położniczym, bankiem a nawet więzieniem. *Jednakże taka koncentracja powoduje trudności psychologiczne.* Powrócono więc do koncepcji schronów o „bardziej ludzkich wymiarach" od 25 do 100 miejsc, których jest teraz większość.

W roku 1990 ma być zrealizowany plan „dla każdego miejsce w schronie". Trzeba to będzie jednak chyba przesunąć w czasie ze względu na wolniejsze tempo wzrostu gospodarczego. Roczne wydatki wynoszą jeszcze 130 mln franków szwajcarskich, jeśli chodzi o schrony państwowe, i 150 mln w przypadku schronów prywatnych. Od 1 stycznia 1981 roku Konfederacja przestała subwencjonować w wysokości 50 procent budowę schronów prywatnych, obowiązkowych w każdym nowym budynku mieszkalnym. Kamienica, kościół, dworzec, a nawet więzienie. Wszyscy Szwajcarzy w równym stopniu zagrożeni są wojną atomową. W tym także 960 tys. obcokrajowców mieszkających stale w Szwajcarii i 110 tys. obywateli sąsiednich krajów — Francji, RFN i Włoch, którzy mają swe miejsce w schronach tam, gdzie pracują w Szwajcarii. Koszt budowy jednego miejsca w schronie ocenia się na 2300 franków francuskich. „To wywołuje oczywiście niezadowolenie" — przyznaje Hans Mumenthaler, dyrektor federalnego biura obrony cywilnej. „Przeszliśmy od zachęcania do systemu ochrony, który przyjął się już w obyczajach. Każdy obywatel szwajcarski uważa za swój obowiązek uczestniczyć w tym".

Poza schronami obrona cywilna dysponuje 1590 stanowiskami dowodzenia i służbą ratunkową na 78 300 łóżek podziemnych w 97 szpitalach NBC i 995 punktach sanitarnych. W chwili obecnej opracowuje się plan rozdziału miejsc w schronach. Każda gmina podzielona jest na sekcje i stanowi podstawową jednostkę autonomicznej obrony. Każdy wie, co ma robić.

W Aarberg w kantonie Bern przydzielono schrony już 3 250 obywatelom: 2 600 miejsc w schronach prywatnych, a 640 w państwowych. Tych państwowych jest trzy, jeden z nich znajduje się pod parkiem przy Nidau Strasse. Jest to coś w rodzaju 10-pokojowego mieszkania z kuchnią dla 130 osób. W biurze dowódcy widzimy dywan, są tam zainstalowane telefony, radiostacje, mapy okolicy na ścianach. W sąsiednim pomieszczeniu nagromadzono stosy żywności. Jest to specjalny pokarm produkcji szwajcarskiego koncernu Nestel, składający się z soli, tłuszczów i mleka. Pokarm ten można przechowywać dziesięć lat.

Dzisiaj posterunek sanitarny tętni życiem. Ochotnicy obrony cywilnej, ubrani w szaro-niebieskie mundury i żółte hełmy, ćwiczą ewakuację.

Kiedy wkraczamy do bloku operacyjnego, serce skacze nam do gardła. Lekarz i dwaj sanitariusze kręcą się wokół jakichś zwłok, z których wydostają się wnętrzności. Na stole operacyjnym leży kobieta ze złamaną ręką, nieruchoma.

Kiedy w południe rozlega się syrena, obaj pacjenci, z uśmiechem na ustach zdejmują pozorowane rany ze swego ciała.

Nawet kiedy zaglądają do swych książek telefonicznych, Szwajcarzy myślą o wojnie. Żółte karty u naszych szwajcarskich sąsiadów zawierają instrukcję, jak należy zachować się na wypadek alarmu i ewakuacji ku podziemnym schronom. Zaleca się tam, aby zakładać dzieciom wokół szyi etykietkę z nazwiskiem i adresem.

Tak jakby zagrożenie było nieuchronne, w chwili obecnej na łamach dzienników prowadzi się kampanię informacyjną. Wzywa się panię domu, aby zmagazynowały po 14 kg żywności na osobę. Te rezerwy trzeba zabrać ze sobą do schronów, by tam przetrwać okres przejściowy zanim rozdzieli się 650 tys. ton żywności zgromadzonych w magazynach armii i przedsiębiorstw. Te „zapasy wojenne" odnawiane są co dwa lata i kierowane do powszechnej sprzedaży. Ich wartość ocenia się na 10 mld franków szwajcarskich, czyli 38 mld franków francuskich.

NAWET DZIEŁA SZTUKI

Po cóż jednak prowadzi się tak gorączkowe przygotowania? Czy trzeba było wydawać 7 miliardów franków szwajcarskich od dwudziestu lat, by wybudować drugą podziemną Szwajcarię? „Proszę spojrzeć na cyfry" — odpowiada Hans Mumenthaler — „podczas pierwszej wojny światowej na każdych dwudziestu poległych żołnierzy był tylko jeden poległy cywil. W drugiej wojnie światowej zginęło już tyluż cywilów co wojskowych. Podczas wojny koreańskiej mieliśmy już pięciu poległych cywilów na każdego żołnierza. W wojnie wietnamskiej zginęło dwadzieścia razy więcej cywilów niż wojskowych. W wypadku wojny nuklearnej proporcje będą bez wątpienia takie: stu cywilów na każdego poległego żołnierza. Trzeba więc zapobiec takiej masakrze".

Scenarzyści zagłady już dokonali obliczeń. Bomba 20-kilotonowa zrzucona na miasto o 130 tys. mieszkańców zabija 30 procent ludności w wypadku niespodziewanego ataku i „tylko" 8 procent, jeśli cywile mieli czas schronić się pod ziemię. Schron wybudowany tak, aby wytrzymał ciśnienie 3 atmosfer, chroni ludzi, nawet jeśli bomba wybuchła w odległości 1,5 km i ma moc 1 megatony.

Z pałeczką w ręku, główny wykładowca Federalnego Biura Obrony Cywilnej, André Moser, wyjaśnia sytuację swym podkomendnym, zebranym w Koeniz koło Berna. „Doszło do ataku powietrznego na dzielnice przy avenue des Alpes i przy ulicy de la Gare. Oto jak będziemy działać...". Przed nim, na stole, stoją makiety zrujnowanych domów, przyozdobione w etykiety z symbolami płomieni. W Andelfingen koło Zurychu istnieje podobna makieta o wielkościach naturalnych — 300 metrów na 200 metrów. Obrona Cywilna wolała dla większego bezpieczeństwa wybudować „ruiny", aby każdy z ludzi mógł przejść tam przeszkolenie. W tym widmowym mieście, które kosztowało 4 miliony franków francuskich, można ewakuować rannych, wyciąga się też ludzi „zasypanych" w podziemiach. Co tydzień przeprowadza się również ćwiczenia w walce z pożarem. Podpala się stale ten sam dom, pełen materiałów łatwopalnych.

Innowacja: Obrona Cywilna zajmie się nie tylko transportem rannych, ale także ewakuacją dzieł sztuki. „W schronie koło Berna gromadzimy zdjęcia wszystkich pomników, każdego posągu i każdej zabytkowej bramy, tak aby można je było odbudować po zniszczeniach" — wyjaśnia Nicolas de Biesbach, któremu powierzono przeprowadzenie tej operacji.

Pięćdziesiąt „schronów kulturalnych" jest już gotowych na przyjęcie szwajcarskich dzieł sztuki.

A armia? „Szwajcarskie odstraszenie nie polega na zabawie w krety w oczekiwaniu aż przyjdzie burza. Na powierzchni armia będzie się bronić na granicach i to nie tylko w samych Alpach" — odpowiada płk Ducotterd, jeden ze strategów armii.

Chociaż Szwajcaria jest małym krajem, który rozciąga się na przestrzeni 220 km od północy na południe i 348 km z zachodu na wschód, to przecież jej organizacja wojskowa w niczym nie przypomina operetkowej armii. Szwajcaria ma 780 czołgów szturmowych, 300 samolotów myśliwskich, jedną z najlepszych na świecie obronę przeciwlotniczą. Ma też tylko 3 tys zawodowych wojskowych: Jednakże ten kraj obywateli-żołnierzy dysponuje też 625 tys. wyjątkowo dobrze wyszkolonych ludzi, którzy przechodzili kolejne stopnie po ćwiczeniach trwających od 5 do 8 miesięcy. Wielu z nich potrafi dowodzić tak jak zawodowcy. Co roku 80 tys. młodych ludzi w wieku 20 lat wstępuje do szkoły rekrutów na 4 miesiące, a następnie odbywa ćwiczenia aż do 50 roku życia.

Element o istotnym znaczeniu w szwajcarskiej strategii militarnej: odstraszenie, które dla ewentualnego agresora oznacza zbyt wysoką cenę za korzyści płynące z okupacji Szwajcarii. Szwajcarzy z każdym dniem starają się, by cena ta była jeszcze wyższa.

Wystarczy spojrzeć na drogi z małymi pokrywami. Można je usuwać, a w środek wstawić „szparagi", czyli szyny przeciwczołgowe. Szwajcaria ma też gotowych 4 tys. innego rodzaju przeszkód betonowych. Ostateczną bronią jest wysadzanie mostów, tuneli, blokowanie dróg poprzez wywoływanie lawin. W całej Szwajcarii podminowano 2 tys. obiektów.

„Wartość techniczna oporu stawianego na płaskowyżu szwajcarskim może być określona miesiącami, a nawet latami — oświadcza płk Ducotterd — i może zadać większe straty nieprzyjacielowi niż on nam".

Z chwilą gdy nieprzyjaciel zostanie sparaliżowany, armia szwajcarska będzie go nękać działaniami partyzanckimi. Aby jednak mieć odpowiednią zdolność manewrowania, żołnierze i pojazdy pancerne muszą mieć bazy paliwa, żywności i amunicji.

Armia zdecydowała się na wykopanie całego systemu pieczar. Gotowych jest już 25 takich obiektów, a co roku drąży się nowy.

PODZIEMNA FORTECA

Aby zachować do maksimum tajemnicę, wszystkie te podziemne schrony zostały wydrążone przez Szwajcarów starannie dobranych. Na końcu jednego z typowych szwajcarskich miasteczek samochód wojskowy, którym jedziemy, zwalnia przed starą stodołą. Nagle otwierają się na oścież wrota. Samochód przejeżdża przez zasłonę kamuflującą. Wewnątrz nie ma ani słomy, ani belek. Jest tam za to tunel długości 500 metrów, w którym mogą wyminąć się dwa samochody ciężarowe. W głębi opancerzone wrota pomalowane w czarne i żółte pasy. Dowódca tej placówki, 60-letni Walter Lehman dziwi się naszym przyjazdem. Nigdy jeszcze dziennikarz nie pojawił się tutaj. Trzeba na to zgody szefa sztabu generalnego armii szwajcarskiej, Joerga Zumsteina. Pod jednym warunkiem. Nie można ujawniać, gdzie znajduje się ten podziemny schron.

Po kilku słowach do interfonu, otwiera się monumentalna brama, ważąca 7 ton. Przed nami drugie drzwi, które otwierają się dopiero wtedy, gdy pierwsze są już zamknięte.

„Znajduje się pan w śluzie odkażającej dla samochodów" — wyjaśnia Lehman. Jest to odkażanie na sucho z radioaktywnych pyłów przy zastosowaniu sprężonego powietrza. Schron ma 5 tys. metrów kwadratowych, trzy poziomy i jest zabezpieczony przed nuklearnymi skutkami elektromagnetycznymi. Kosztował 136 milionów franków francuskich. Tunel kończy się obrotnicą pozwalającą skierować samochód ciężarowy do jednej z wielu galerii. Czołgi mogą tu wracać do reperacji w warsztatach ukrytych 67 metrów pod ziemią". Czytamy na drogowskazach: „Reperacja wież czołgowych", „Reperacja gąsienic". Wykorzystując same tylko zmagazynowane tu części zamienne można byłoby wybudować wiele czołgów. Zebrano tu 30 tys. różnego rodzaju artykułów jak choćby czekoladę, skrzynie biegów i czołgów, żołnierskie racje żywnościowe, kombinezony przeciw promieniowaniu, akumulatory i baterie, brzytwy itp.

Pod tą samą górą znajduje się dziesięć galerii magazynowych, w których pomieszczono amunicję. Mają one długość 300 metrów i zagłębiają się w litej skale za opancerzonymi drzwiami, zamaskowanymi także odłamkami skał. Znajduje się tu 5500 ton amunicji na gruncie zabezpieczonym przed wstrząsami tektonicznymi tak, aby można było uniknąć przypadkowej iskry, która posłałaby to wszystko w powietrze.

Po cóż jednak cały ten kamuflaż w epoce satelitów wyposażonych w promienie podczerwone, które odnajdują w naturze oznaki termiczne wskazujące na wyloty przewodów wentylacyjnych tych podziemnych instalacji? „To prawda, że nasz ewentualny przeciwnik wie już gdzie znajdują się wszystkie nasze podziemne bazy" — wyjaśnia szef sztabu generalnego. „Jednakże nie pozwala mu to na zorientowanie się, jakie są rozmiary takiego schronu i jaka jest jego zawartość".

NASZE GRANICE POZOSTANĄ ZAMKNIĘTE

Centralnym punktem obrony szwajcarskiej jest tzw. reduta — ostatnie schronienie Konfederacji w samym sercu gór. Jest to niewiarygodny system pieczar i podziemnych galerii. To tam właśnie umieszczono tajne stanowiska dowodzenia armii, a także 650 tys. ton żywności i paliwa odpowiadające sześciu miesiącom zapotrzebowania ludności cywilnej. Te podziemne stanowiska dowodzenia podobne są do sal kontrolnych NASA. Mamy tu połączenia z trzema ufortyfikowanymi rejonami w Saint Moritz, Sargens i Gothard.

Szwajcaria dysponuje równowartością 12 lotniskowców. Nie pływają one, ale są zakotwiczone w górach. Z ich wnętrza wyjeżdżają samoloty Mirage III i Tiger Nortrop, wystrzeliwane następnie niby z katapulty przy użyciu rakiet. Szwajcarskie Mirage III kołują najpierw przez kilometr we wnętrzu gór, by następnie znaleźć się w „pieczarze lotniczej", gdzie maszyny stojące jedna przy drugiej są przemieszczane przy użyciu ruchomych mostów. Z wież kontrolnych umieszczonych także pod ziemią można obserwować przebieg lotu dzięki peryskopom i zakamuflowanym urządzeniom radarowym. Dostęp do tych podziemnych lotnisk jest tak trudny, że kiedy Brytyjczycy dostarczyli tu samoloty Hunter, to nie chcieli wcale lądować na tych kawałkach skał. Te trudności z dostępem są najlepszą ochroną przed bombardowaniem. Gdyby pasy zostały zniszczone, to piloci mogą wylądować na autostradzie.

Armia szwajcarska ma też inne tajne rozwiązania, które pozwalają zaskoczyć przeciwnika, tam, gdzie tego wcale się nie spodziewa — jak to ujawnia dowódca korpusu, Joerg Zumstein. „W Alpach znajduje się inny system pozwalający na przemieszczenia we wnętrzu gór z jednej doliny do drugiej. Niemal poziome przewody wymuszonego obiegu sprowadzają wodę do elektrowni wodnych. Wystarczy zamknąć grodzie, by poruszać się tymi przewodami. Ten system komunikacyjny jest nadzwyczajny. Dokonaliśmy już prób z małymi samochodami i z końmi".

„Szwajcaria, mały, dobrze zorganizowany kraj". Tak nazwano Konfederację w filmie propagandowym przygotowanym przez armię. Taki obraz może wywołać uśmiech. Niesłusznie. Żaden kraj europejski nie może zmobilizować tylu wyszkolonych ludzi w tak krótkim czasie. Szwajcarzy są też najlepiej chronieni na świecie.

Co stałoby się w wypadku, gdyby doszło do powszechnej wojny w Europie, w wyniku której Szwajcaria byłaby rajem pośród ogromu ruin? A jeśli Szwajcaria padnie ofiarą inwazji nie tyle wrogiej armii co hordy uchodźców, szukających schronienia? Szwajcarskie ministerstwo obrony przestudiowało ten problem w wielu wariantach. Odpowiedź Joerga Zumsteina nie budzi wątpliwości. „Szwajcaria nie może stać się schronieniem dla uchodźców, bo armia nie mogłaby manewrować pośród takiego exodusu jak to było w 1940 roku we Francji, gdzie cywile ograniczali możliwość ruchu czołgów. Przygotowani jesteśmy na ucieczkę „pionową", ku schronom. Nasze granice pozostaną zamknięte".

(„LE POINT")

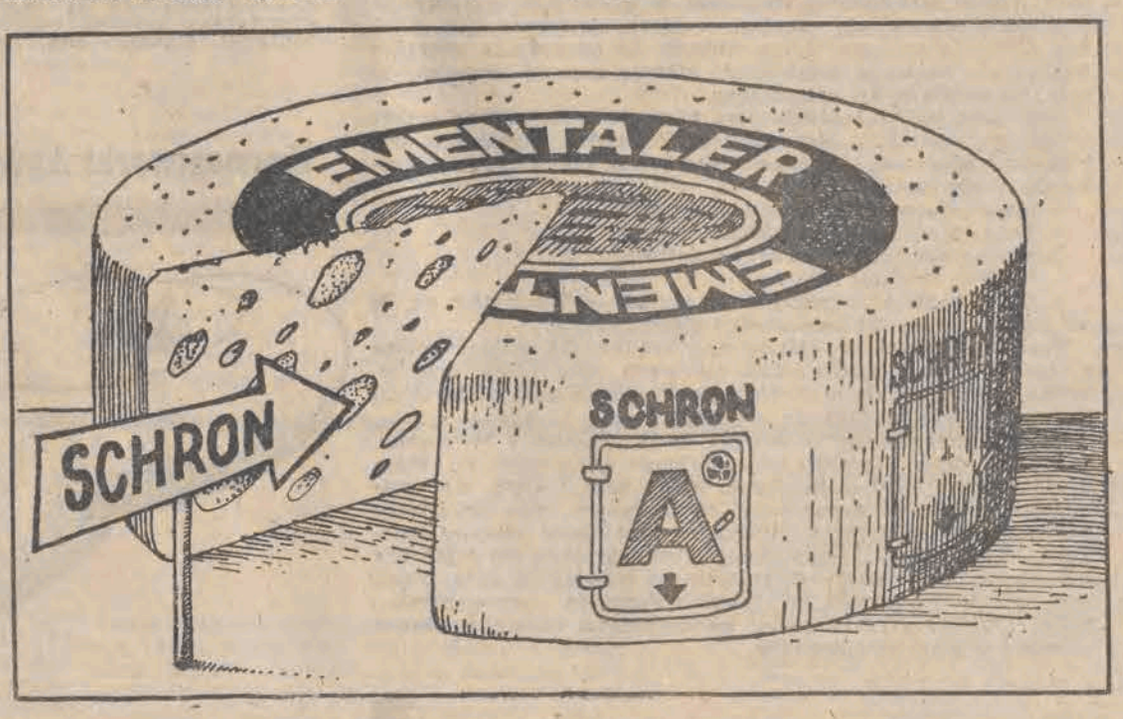

Rys. Janusz Szymański-Glanc

W kręgu fantastyki

Terminus a quo

KRZYSZTOF CHAŁUBEK

Długo, bardzo długo wyłaniała się zza jednostajnej linii horyzontu mała, czerwona tarczka. Nie wiedział dlaczego, ale lubił czas wschodu tego starego, powoli wygasającego, termojądrowego reaktora układu. Może to echa atawizmów z zamierzchłych czasów, kiedy w rytmie szybkich, o wiele szybszych niż teraz obrotów planety żółty, jasny krąg odbywał swoją wędrówkę po nieboskłonie dając energię i życie... Wiele razy myślał, próbował sobie wyobrazić, jak tu w t e d y było. Przekazy mówią o niebieskim niebie, białych obłokach, lustrach wody, zieleni, o spokojnej tonacji barw. Właściwie dlaczego jego praprzodkowie poświęcali tak wiele uwagi barwom? No tak — ta ograniczoność i niedoskonałość zmysłów. Próbował przypomnieć sobie ile ich mieli Ci sprzed Wielkiej Migracji. Sześć, czy siedem zaledwie. Cóż mogli wiedzieć na przykład o feerii radiacji powstającej Gwiazdy. Jednak wielokrotnie podczas czuwania, obserwując przez ekrany ochronne martwotę lodowej pustyni, starał się z fragmentów wyobrażeń złożyć mozaikę zielonej planety otulonej w płaszcz atmosfery... I nigdy w pełni to mu się nie udawało.

Czasu, aby bawić się myślami miał dużo. Nawet zbyt wiele. Jego czuwanie na Ostatnim Posterunku trwało już dwieście dziesięć okresów, a miało trwać jeszcze blisko dwa razy tyle. Co mogło się dziać w tym starym, umierającym świecie? Jaki jest cel jego czuwania? Jaki był cel czuwania jego poprzedników? Czy to sentyment do ojczyzny gatunku? Czyżby rasa, która opanowała już nieomal połowę galaktyki kierowała się tak nieracjonalnymi pobudkami?

Zdawał sobie sprawę, że jego procesy myślowe również momentami dalekie były od racjonalności i optymalnego wykorzystania danych mu możliwości. Winił za to specyficzną atmosferę, jaka otaczała go, nieomal dotykała na tej dawno umarłej planecie, niedosłyszalny szept przeszłości.

No i samotność.

Raz na dziesięć okresów komunikat dla Centralnego Koordynatora. Sprawozdanie z postępującej niezmiernie powoli, ale nieuchronnie agonii układu. Dawniej jeszcze informacja o wymieraniu najprymitywniejszych, najbardziej odpornych form życia na planetach wewnętrznych. Ciągle o spadku radiacji, o stygnięciu tych zgęstków materii na peryferiach galaktyki.

Jego poprzednik miał trochę szczęścia. Ostatnia planeta strefy zewnętrznej zaczęła powoli odchodzić. Zdarza się — spadek sił grawitacyjnych w układzie. Trzeba było temu zapobiec. Nie można przecież pozwolić na uszczuplenie tego galaktycznego skansenu. Poprzednik snuł więc nitki sztucznej grawitacji, przyszywał odpruty kawałek układu. Pracował jak ostrożny archeolog zapobiegający rozpadnięciu się świadka dawnych, prawie zapomnianych wydarzeń, naruszonego upływem kolejnych wycinków wieczności. Wzbogacił tą pracą czas czuwania przez całe półtora okresu. Wszystko robił sam, obliczał, sterował manipulatorami, chociaż wystarczyłby sam AKUN. AKUN, a szerzej artykułując Automatyczny Kontroler Układów Niezamieszkanych i tak właściwie wszystko może zrobić za nich, bez nich. A oni, kolejno czuwające istoty, trwają na Ostatnim Posterunku od milionów okresów, wypełniając obowiązek dawno temu ustanowionego hołdu dla kolebki ich rasy.

Czerwony karzeł oderwał się od horyzontu.

Obserwował go nieustannie czuwając. Z monotonnego szumu informacyjnego kosmosu jego receptory wyłowiły informację istotną. Nadchodzi rój pozaukładowy. Zareagował. Dobre i to. Trzeba sprawdzić, czy w roju nie idzie coś większego, co mogłoby spowodować perturbacje i naruszyć stabilność układu. Sprawdzić, czy nie zbliża się zgęstek antymaterii. Ewentualnie, czy Wielkiej Statystyce nie spodoba się postawić na drodze meteorom akurat „Trzeciej", na której znajdowała się baza Ostatniego Posterunku. Co prawda poważnie zagrozić bazie mogłoby tylko bezpośrednie trafienie większą planetoidą, ale trzeba wszystko sprawdzić — obliczyć, zanalizować. Tak trzeba. Wreszcie — tego chciał, pragnął żeby coś się działo.

Po czasie, w którym czerwony krążek wzniósł się o połowę swojej średnicy wiedział już wszystko, prawie wszystko. Wiedział, że rój składa się z niewielkich okruchów materii, że jeśli się jej nie przeszkodzi kosmiczna chmura zahaczy flanką o trzecią planetę.

Wiedział jeszcze jedno — to nie był zwykły rój pozaukładowy, jakich wiele krąży po galaktyce. To był wędrowiec spoza granic galaktyki. Zdarzenie praktycznie niemożliwe było faktem. Nie mogło być mowy o błędzie w obliczeniach. Był zbyt doskonały. Przedłużenie trajektorii, po jakiej przybył gość niezaprzeczalnie ginęło w pustce kosmosu poza galaktyką.

Niepodważalność wyliczeń umacniał fakt, że układ leżał na peryferiach i był właściwie pierwszym większym skupiskiem materii, do jakiego dotarł rój po wejściu w obszar poznanego świata.

To była poważna sprawa.

Oczywiście odpowiedni meldunek dla Centralnego Koordynatora przemierzył już przestrzeń z szybkością światła. Jednak rój będzie wielekroć szybciej tu, niż informacja o nim tam. Decyzję trzeba podjąć samemu, lub zlecić to AKUN-owi. Gdyby to był zwyczajny galaktyczny wędrowiec, nawet bliskie zeru prawdopodobieństwo, że zagrozi zniszczeniem, czy tylko uszkodzeniem tego planetarnego sanktuarium, bądź samej bazy skazałoby go na unicestwienie, a przynajmniej dezintegrację. Ale, na Przestrzeń!, to był jedyny gość pozagalaktyczny, jakiego spotkał przedstawiciel ich cywilizacji.

W tej chwili uświadomił sobie, że gdyby decydował sam AKUN, wyrok na rój już by zapadł. Miał przecież otrzeć się o najważniejszą „Trzecią". Nadwerężona skorupa, dawno pozbawiona ochrony atmosfery mogłaby nie wytrzymać. Bzdura! Jednak automat miał zaprogramowaną szczególną troskę o ten pomnik zewietrzałej skały i lodu. Nadszedł tak upragniony czas, kiedy czuwanie miało wzbogacić się o działanie. Po raz pierwszy od kiedy istniał, wahał się. Na pewno wiedział, że zniszczyć gościa nie potrafi. Bardzo chciał przyjrzeć mu się z bliska. Ostatecznie, czy może zrobić krzywdę garść okruchów rzucona przez bezmiar pustki starej, zahartowanej w odwiecznej podróży planecie. Jednocześnie analizatory tej zwiewnej mgiełki, jaką jest przyszłość dla teraźniejszości, szeptały mu, że wędrowiec niesie z sobą coś dziwnego, niepokojącego, lecz i pięknego zarazem.

Trwał w stanie nieuchwytnego podniecenia.

Było w tym coś z odczuć myśliwego, który sam może stać się zwierzyną. Nie pierwszy raz mieszkaniec galaktyki stawał wobec nowego. On zdawał sobie jednak sprawę, że to, co się z nim w tym ułamku wieczności dzieje, znane było jedynie tym, którzy u nasady pnia ich cywilizacji, tu, na tej planecie istnieli na długo przed pierwszym Progiem. Tym, którzy aby przeżyć swoje przerażające krótkie kosmosekundy, musieli walczyć, bać się, przegrywać, czasem zwyciężać, nie umiejąc praktycznie niczego przewidzieć.

I było mu z tym dobrze.

Skarlałe słońce dobiegło zaledwie połowy mozolnej wędrówki, kiedy rój wszedł w układ.

On czekał. Sytuacja była niezwykła, więc wybrał niezwykły dla swej rasy sposób postępowania — bierne czekanie. Dawno odłączył AKUN-a, który molestował go ciągłym impulsem 0,0001 zagrożenia. Mógł już bez wzmocnienia, bezpośrednio swoimi receptorami obserwować zgodne z pierwotną diagnozą zbliżanie się meteorowej chmury do „Trzeciej". Wyzwalał się w nim teraz jakiś szczególny stosunek do Tej, którą kiedyś nazywano tyloma imionami. Stawała się dla niego czymś więcej niż martwym pomnikiem. Przedtem też wiedział, że ma Ją szanować, jako piastunkę niemowlęcego wieku gatunku. Wiedział, że powinien, ale czy szanował? Czy wiedział w ogóle co się zawiera w tym określeniu? Teraz, wobec nieznanego czuł się za Nią odpowiedzialny, była mu bliska. Tym bardziej, że było to NIEZNANE. W miarę zbliżania wędrowca coraz bardziej się upewniał, że jest on gościem niezwykłym. To nie była kupa kosmicznego gruzu. Nie obłok przypadkowych okruchów materii, którym gdzieś, nawet w wielkiej, niepojmowalnej odległości przestrzennej i czasowej jakaś perturbacja, czy katastrofa kosmiczna nadała przypadkowy kierunek i prędkość. To było COŚ — inaczej TEGO nie umiał określić, chociaż różne nadawał MU miana.

Kiedy karzeł w zwolnionym tempie zsuwał się po bibliony razy odbywanej drodze, gość zapukał do bram Ostatniego Posterunku. Zapukał bezgłośnie, drobnymi wstrząsami powierzchni „Trzeciej". Werbel upadków wprawiał go w drżenie. To było drżenie oczekiwania. Na co? W zasięgu najbliższego rozpoznania w zmurszały grunt wbiło się kilka okruchów.

Analizatory start!

Każdy okruch: powłoka i jądro — zjawisko w kosmosie dość częste.

Nietypowe wiązania atomowe — ale, na Wieczność!, przecież to rój spoza galaktyki.

Promieniowanie: szczątkowe — tyle, co złapał po drodze.

Gęstość:...

Masa:...

Parametr x1: w normie

Parametr x2: w granicach dopuszczalnych poznanej przestrzeni.

Parametr x3: na normalnym poziomie.

Uczucie niespełnienia.

Ale... cóż za kosmiczna indolencja! Przecież gdyby prosto na górny ekran ochronny spadł mu nawet mózg jakiejkolwiek istoty w stanie całkowitej anabiozy, to dane analizy fizyko-chemicznej też nie wskazałyby odchyleń od praw i rzeczy poznanych.

W tym momencie ostatek tarczy gasnącego słońca zniknął za horyzontem.

W tej chwili zrozumiał na co czekał, a czego nie szukał.

W tej sekundzie setki malutkich słońc zapłonęło nad kraterami, w których spoczywali przybysze. Zalśniły i ziały się w dół wielobarwnymi wodospadami. Ich rozbryzgi zamiast opadać tężały i pięły się w górę. Stara skorupa jęknęła. To był jęk porodu. Zapłodniony grunt wzdymał się i falował, rozrywany potężną siłą oszałamiająco barwnego kiełkowania. Proces wzmagał się, przybierał na sile, aby osiągnąć punkt kulminacyjny wzejścia posiewu.

Ekrany nie wytrzymały pod naporem pędów.

Nie ewakuował się. Chciał być przy zmartwychwstaniu do końca. Ginął miażdżony siłami, które dawały planecie, jego „Trzeciej", nowe życie, barwy i przyszłość, i nadzieję.

Był im wdzięczny.

Wypadek

KATARZYNA URBANOWICZ

Stojące w poprzek autostrady, sczepione maskami, poskręcane i zgniecione samochody, płonęły. Chmura czarnego dymu zasnuła poranne niebo. Wtedy dopiero obudził się. Wiedział już, że zasnął za kierownicą, że jego mały wóz wtłoczył się pod wysokie podwozie ciężarówki, i że błyskawicznie oba pojazdy stanęły w ogniu. Obserwował teraz skutki tego wypadku z daleka, z jakiejś dziwnej perspektywy — w zależności od tego, pod jakim kątem patrzył, zdawało mu się czasem, że widzi wszystko z góry, z wysoka; czasem zaś, że obserwuje płonące pojazdy nad swoją głową. A przecież przed chwilą na wszystko patrzył ze środka, z fotela kierowcy...

Uświadomił sobie wówczas, że to on, jakaś jego część w każdym razie, płonie w tej stercie żelastwa. Drgnął z przerażenia, ale nie czuł ani żaru ognia, ani bólu; zupełnie nic. Powoli więc uspokoił się. Im dokładniej przyglądał się autostradzie, tym bardziej widok zasnuwał się dziwną mgłą. Nie miała ona nic wspólnego z dymem pożaru czy prawdziwą mgłą. Była przezroczysta, jak cieniutka szklana szyba, ale jednocześnie zniekształcała wszystkie szczegóły, nie zmieniając zarysu i barwy obrazu, czyniła go tylko mniej ważnym i istotnym. Chwilami wytężał oczy, żeby jeszcze coś zobaczyć (choć był pewien, że oczu już nie ma), ale słabło jego zainteresowanie wydarzeniami. Zaczynał myślami wnikać w siebie, początkowo w sposób chaotyczny i nieskoordynowany. Strzępki pojęć, obrazów, jakichś snów; czyjeś spojrzenie, pochylenie głowy, talerz gorącej zupy, uczucie nagłej radości... Myśli początkowo jeszcze ciągle czepiały się kurczowo płonącego samochodu, ale za każdym powrotem odbiegały dalej od niego. Wówczas zrozumiał, że to, co było nim, podzieliło się, część spłonęła tam, na autostradzie, druga zaś, wyzwolona i swobodna, oderwała się od tamtej. Poczuł ulgę, jak ktoś, kto zdjął przyciasne pantofle. Zrozumiał nagle to, co było do tej pory niejasne, niezrozumiałe, przypadkowe i tajemnicze. Ta świeżo nabyta wiedza była czymś tak wspaniałym, że ogarnęła go euforia. Chciałby krzyczeć — gdyby nie to, że uświadomił sobie, jak bardzo pozbawiony jest możliwości uzewnętrznienia swoich emocji. Nagromadzona energia jego ja była zbyt słaba, by poruszyć nawet najmniejszą drobinkę piasku na poboczu autostrady. Tymczasem chęć działania rozsadzała go. Przecież teraz w i e d z i a ł! Ile mógłby jeszcze zmienić, ile przeżyć, ile zrobić, mając tę dostępną mu obecnie wiedzę!

Nagle uspokoił się. Będzie miał tę możliwość! Wiedział, że posiądzie nowe ciało i wiedział, że otrzyma oczy do patrzenia i mózg do myślenia. Ta świadomość napełniała go spokojną i pewną siebie radością, dopóki nie pomyślał, że otrzyma to wszystko po to, by powtórzyć co do joty cały ciąg zdarzeń, bez możliwości wniesienia poprawek. Ileż to razy ginął już w wypadku samochodowym, dokładnie takim samym, jak ten! Kolejne wcielenia znikały w mroku niepamięci, coraz mniej wyraźne, ale wiedział jedno: to nie był pierwszy raz. Opanowało go poczucie beznadziejności. Dziwne, że tak rozumiejąc swoje życie, wszystkie jego uwarunkowania, poruszał się jak ślepy, gdy docierał do tego właśnie momentu, który można by nazwać „teraz".

— Niemożliwe — pomyślał — przedtem, przed wypadkiem samochodowym musiało być coś innego. Ile pokoleń ludzie znają samochody? Dwa, trzy? Musiał więc umierać także i w inny sposób, choć go nie pamiętał. Można więc zmienić, przekreślić zaklęty krąg konieczności! Może na tym polega tajny sens tego wszystkiego — zmuszać kolejne wcielenia do podświadomej pracy nad zmianą zadanego scenariusza, do utrwalania doświadczeń ewolucji silniejszego, niż zawodna pamięć jednego osobnika?

— Muszę coś zrobić, żeby zapamiętać swoje błędy — postanowił. — Jeżeli odpowiednio silnie będę wmawiał sobie, że tego lub tamtego nie wolno, lub, że to czy tamto muszę, coś powinno na trwałe we mnie pozostać, jakiś instynkt musi mnie ostrzec w odpowiednim momencie. Zdarza się ludziom odczuwać, że gdzieś już byli, coś widzieli... To odzywają się ich zapomniane doświadczenia. Nie mają jednak mocno zakodowanego w sobie szczegółowego nakazu lub zakazu: „zrób to" lub „tego ci nie wolno". Jaki jednak nakaz sobie narzucić? NIE JEDŹ SAMOCHODEM! Bzdura. Za ogólny i nierealny. NIE ZASYPIAJ PRZY KIEROWNICY! Też źle... Przecież nie chciał zasnąć, bronił się przed tym. Może taki nakaz narzucił sobie poprzednio? Jeżeli tak, to nie pomógł... Właściwie, co jeszcze było przyczyną wypadku? Zasnąłem. To wiem. A potem? Zobaczyłem jeszcze dość daleko przed sobą światła tej ciężarówki i odruchowo skręciłem kierownicą w prawo. Powinienem najwyżej wpaść do rowu, lub zawadzić o nią tyłem... Jak to się stało, że zderzyliśmy się czołowo. Już wiem! We śnie zjechałem kołami na pobocze... Rozlany olej, błoto, nieważne, co tam było. Samochód wpadł w poślizg i zjechał na lewą stronę drogi, a wtedy pojawiła się ta ciężarówka... Odruchowo skręciłem w prawo. TO właśnie był ten błąd! „Aby wyprowadzić samochód z poślizgu, należy lekko kierownicą skręcić w kierunku niekontrolowanego poruszania się pojazdu, a kiedy koła odzyskają przyczepność, dokonać właściwego manewru..." Powinienem skręcić w lewo! W lewo, nie w prawo! Nie obróciłoby mnie wtedy dookoła, a miałbym jeszcze wystarczającą ilość czasu, żeby wyminąć ciężarówkę... Muszę to zapamiętać, jeśli nie chcę, żeby ten wypadek się powtórzył... NIE SKRĘCAĆ W PRAWO! Może wtedy przerwę ten zaklęty krąg... N I G D Y W P R A W O!

* * *

Poirytowany kończył kolację. Restauracja na przydrożnym parkingu była przepełniona, kotlety niezbyt świeże i obsługa zbyt powolna. Tymczasem miał jeszcze całą noc jazdy przed sobą. Nie lubił jeździć samochodem, zwłaszcza w nocy, gdy ogarniała go przemożna senność, ale cóż, tego wyjazdu nie można było uniknąć. Ciężko chorej matki nie widział już od roku, a wszystko wskazywało na to, że pośpiech, do którego zmuszał otrzymany w południe telegram, był uzasadniony.

Obok przy stoliku siedziała para turystów z obrzydliwie rozkapryszonym dzieckiem. Marudził, pluł i parskał, szurał krzesłem i dzwonił sztućcami. Ani minuty nie był w stanie usiedzieć spokojnie. Nagle zawołał:

— Mamo, dlaczego ten pan je lewą ręką?

— Ten pan, syneczku, jest leworęczny...

Dzieciak wybuchnął piskliwym śmiechem:

— Mańkut, mańkut!

— Cicho bądź! — uspokajała go matka. — Wiesz przecież, że nie wolno wyśmiewać się z kalek i nienormalnych...

Wściekle spojrzał na rodzinę przy stoliku. Od małego kpiono z jego niechęci do posługiwania się prawą ręką. Matka przy jedzeniu przywiązywała mu lewą rękę do krzesła, sam także chciał nauczyć się jeść jak inni, ale nie mógł...

Zły, nie czekając na zamówioną kawę, wyszedł z restauracji. Zaterkotał silnik. Wyjeżdżając z parkingu zastanawiał się, którą drogę wybrać. Mógł jechać szosą, dość wąską i krętą, ale urozmaiconą, mógł też, oszczędzając czasu, jechać nowo zbudowaną autostradą, pozwalającą wprawdzie na rozwinięcie większej szybkości, której jednak zdecydowanie i instynktownie nie lubił. Nie był jeszcze zdecydowany dojeżdżając do rozwidlenia dróg. Nagle przez głowę przemknęło mu jakieś niewyraźne wspomnienie... NIGDY W PRAWO... Posłuszny wewnętrznemu odruchowi skręcił w lewo i wjechał na autostradę...

Kronika

Prezentowaliśmy już działalność klubów miłośników fantastyki w Pradze i Wołgogradzie. Dziś przedstawiamy ruch fanów w RFN i Australii.

◆ Niezwykle atrakcyjnie przedstawia się działalność zachodnioniemieckiej organizacji, której pełna nazwa brzmi: SCIENCE FICTION CLUB DEUTSCHLAND (SFCD). Działa już ona ponad 25 lat i jest największym klubem w RFN. SFCD wydaje ok. 3 razy w miesiącu magazyn literacki pn. „Andromeda" zawierający materiały dyskusyjne na tematy związane z szeroko pojętą fantastyką, recenzje, krytyki literackie i filmowe, grafiki SF oraz krótkie opowiadania. Ponadto SFCD wydaje dwutygodnik publicystyczno-informacyjny zatytułowany „Androdromeda-Nachrichten" („Wiadomości Andromedy"), w którym przedstawiane są zazwyczaj działania zachodnioniemieckiego oraz europejskiego fandomu. Klubowa fonoteka umożliwia wypożyczenie i przesłuchanie nieosiągalnych taśm ze słuchowiskami SF. Corocznie odbywają się pod nazwą SFCD—CON zloty członków Klubu z wszystkich regionów RFN.

Na listy odpowiada SFCD Gruppe KONTAKT, c/o Norbert Hefner, Margeritenstr. 40, 8190 Wolfratshausen, RFN.

◆ Spośród rozlicznych australijskich klubów i stowarzyszeń grupujących miłośników fantastyki naukowej znane nam są SOUTH AUSTRALIAN SCIENCE FICTION SOCIETY (SASFS) oraz MELBOURNE UNIVERSITY SCIENCE FICTION ASSOCIATION (MUSFA) i o nich chcemy napisać. SASFS (Południowoaustralijskie Stowarzyszenie SF) jest organizacją nie tyle zrzeszającą fanów w celu cyklicznego spotykania się na klubowych wieczorach lub popołudniach, ile koordynującą ich działalność i aktywizującą lokalne ośrodki oraz poszczególnych fanów. Prowadzi to do ożywionej działalności edytorskiej, obok oficjalnego fanizmu Stowarzyszenia pn. DAILY TRIFFID, ukazują się też, wydawane często indywidualnie przez zapaleńców, drobne fanizmy, np. SIKANDER, którego wydawcą jest Irwin Hirsh.

MUSFA natomiast, jest klubem hermetycznym, którego członkowie wywodzą się przede wszystkim ze środowiska akademickiego Melbourne. Każdego lata, tuż po zakończeniu roku akademickiego, fanowie z MUSFA wynajmują jedną z licznych posiadłości Uniwersytetu wokół osady Blackwood i tam, już niemal w buszu, żyją przez tydzień, organizując sobie w ten sposób dosyć specyficzny konwent.

Konwentów jest zresztą w Australii więcej. Do najbardziej popularnych należą: ADVENTION (konwent narodowy w Adelajdzie), NUCON w Newton, SWANCON w Nedlands oraz będący jednocześnie przeglądem filmów SF, organizowany w Melbourne, CINECON.

Ewentualną korespondencję można kierować pod adresami: S.A.S.F.S., P.O. Box 51, Thebarton, 5031, Australia oraz M.U.S.F.A., c/o Roger B. Weddall, 12 Midvale Ave., N. Balwyn, 3104, Australia.

Opracował:
M. M. MUROWANIEC

Kosmostworki Andrzeja Biedrzyckiego

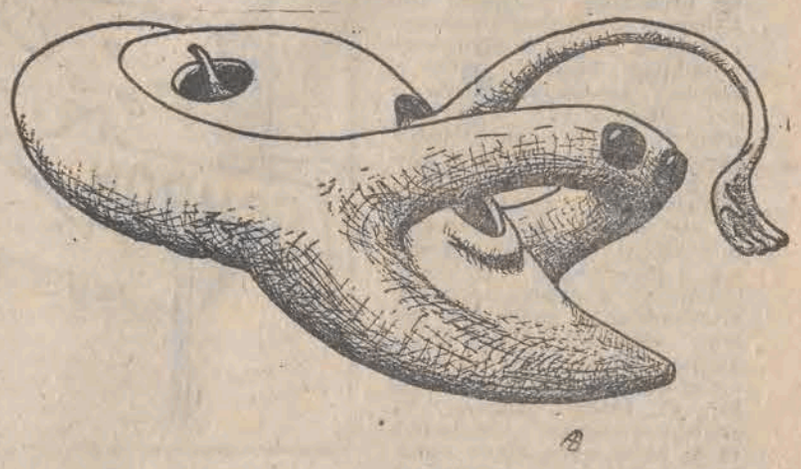

1 Spojrzenie znad szachownicy

Bałagan wyrównawczy

W poprzednim tekście z niniejszej — rzekłbym — szachowej serii wybrzydzałem uparcie na podatek wyrównawczy, nazywając go zresztą „wariantem wyrównawczym", iżby zachować fachową terminologię.

Twierdziłem — nie ja jeden i nie ja pierwszy zresztą — że choć Skarbowi Państwa niewątpliwie potrzebne są pieniądze, to państwu (a więc nam wszystkim) jeszcze bardziej potrzebna jest produkcja, zaś stosowanie ostro idącej w górę progresji podatkowej będzie hamowało inicjatywy najzdolniejszych i najbardziej pracowitych jednostek. Nie wzięto po prostu, jak przynajmniej sądzę, poprawki na przekorę brata-Polaka: jeden zastawi się, ale postawi, drugi nie zarobi, ale i nie zapłaci.

Być może nie mam zresztą racji, tego, gdzie leży racja, często nie wiedzą bowiem najtęsi eksperci. W rozegranym w 1892 roku sławnym meczu między ówczesnym mistrzem świata Steinitzem a Czygorinem, ten ostatni w decydującej partii miał figurę więcej, popełnił jednak straszliwy błąd i przegrał cały pojedynek. Można było potem do upojenia oglądać ustawienie figurek na szachownicy, przesuwając je, cofając, słowem analizować pozycję, mimo to dyskusja czy Czygorin miał wygraną czy tylko remisową pozycję trwała blisko lat... sześćdziesiąt. I dopiero w połowie naszego stulecia znalazł się taki zdolny Jugosłowianin, który udowodnił, że Czygorin mógł odnieść zwycięstwo.

2.

Piszę o tym nie bez powodu, skoro bowiem w szachach — gdzie wszystko niejako „leży na stole" — zdarzają się pozycje aż tak sporne, to w skomplikowanej grze zwanej życiem tym łacniej mogą się trafiać sporne decyzje, o których słuszności czas dopiero rozstrzygnie.

Decyzja jednak decyzją, a wykonanie wykonaniem. Bywa, że zawodnik wpada na oryginalną i trafną ideę, „referuje" ją jednak tak bezsensownie na szachownicy, że natychmiast nadziewa się na własny miecz i przegrywa haniebnie, żegnany gromkim śmiechem kibiców. Otóż ci wszyscy, którzy kibicują jedynie grze w podatek wyrównawczy mogą już — zaręczam — zacząć śmiać się do rozpuku.

3.

Przede wszystkim rozporządzenie wykonawcze ministra (czy ministerstwa — nie znam się na tym) finansów wykazuje drobne rozbieżności z ustawą sejmową, co powoduje całą lawinę wątpliwości, pytań, wyjaśnień, komentarzy, komentarzy do komentarzy, no i tak dalej.

Nikt nic nie wie, a ten, kto coś wie i tak nie wie tego na pewno.

Sam będę musiał wkrótce składać stosowne zeznanie podatkowe, usiłowałem więc „zasięgnąć języka", na początek dowiedziałem się jednak, że choć termin mija 15 lutego, to „po pierwsze" nie ma armat, czyli kwestionariuszy po prostu. Po drugie całkiem niechcąco podejrzałem, że wielce sympatyczna osoba udzielająca mi cierpliwie wyjaśnień korzysta z Dziennika Ustaw gęsto zaklejonego papierkami, na których ręcznie wypisane były nieco przeredagowane sformułowania poszczególnych kwestii.

Wprowadzać nowy system podatkowy nie od początku roku kalendarzowego, ale od sierpnia — jest już koszmarem samo w sobie, wymaga bowiem i od płatników, i od urzędników prowadzenia podwójnej rachunkowości. My tu sobie mówimy o ograniczeniu administracji, a tymczasem co większe firmy już poangażowały ludzi, którzy tylko i jedynie zajmują się wyliczaniem, z kogo podatek należy ściągnąć, a komu popuścić. Czy ten podatek starczy na pensje dla tych nowo zaangażowanych nie wiem, ktoś to jednak musi policzyć — albo Pan Bóg w niebie, albo Wojskowa Grupa Operacyjna na ziemi. Jako paskudny materialista opowiadam się za rachunkowością wojska: będzie szybciej i mniej miłosiernie.

Zresztą może przesadzam i nazbyt łaknę krwi, ustawę podatkową uchwalał przecież Sejm, przeto również właściwa komisja sejmowa władna jest sprawdzić, jak Ministerstwo Finansów poczyna sobie ze świeżo narodzonym dzieckiem.

4.

Zacząłbym od tych papierków i interpretacyjnych naniesień na tekst rozporządzenia wykonawczego, które oglądałem na własne oczy. Jakże to tak: pieniądze zaczynamy ściągać już, od zaraz, ale o tym, jak to niby robić, zaczynamy myśleć dopiero potem?!

Dlaczego — pytam dalej, niby pijane dziecko w mgle ministerialnych mądrości — przerzuciwszy większą część obowiązków na zakłady pracy, teraz dopiero, na początku stycznia, szkoli się służby finansowe, a szkolący muszą się uprzednio szkolić w stolicy, bo przy pomocy zdrowych zmysłów i logiki uprawianej przez starożytnych Greków nikt tych wszystkich paragrafów i podparagrafów zrozumieć nie jest w stanie?!

Dlaczego — to można łatwo sprawdzić przy pomocy socjologicznego sondażu — nie tylko każdy płatnik, ale i każdy urzędnik zamieszany w egzekwowanie podatku wyrównawczego, indagowany na wyżej wspomniane tematy bądź uśmiecha się z politowaniem, bądź puka w głowę, bądź wreszcie używa słów, których przez wrodzoną dystynkcję nie przytoczę?!

Najłagodniejsze ze wszystkich niezliczonych pytań, jakie można przy tej okazji postawić — nie moje zresztą, lecz jednej z osób mającej się zajmować inkasem, czyli nie zainteresowanej materialnie — brzmi: czy rzeczywiście wszystko musi się u nas rodzić w tak potwornym bałaganie?

Nie wiem, mam nadzieję, że nie wszystko. Ponieważ jednak płacę, więc wymagam. Odpowiedzi.

JERZY P.

2 Felieton pesymistyczny

Ta urocza pani 193...

W pierwszych słowach swego listu składam serdeczne życzenia noworoczne całej Redakcji i wiernym Czytelnikom. Oby 1984 nie był gorszy niż poprzedni, a czego nie macie to sobie kupcie —

Stefan Zyciowy

P.S. Siedzę tu już parę tygodni, ale jest bardzo przyjemnie ostatnio poluzowano mi nawet szeleczki od kaftana. Mam też niezłe towarzystwo: wraz z Resorkiem Wymiennikiem i Tyrystorem tworzymy zgraną pakę. Kulturalna i zrównoważoną do tego stopnia, że nie wyjemy po nocach i nie trzeba nam robić „Niagary" czyli polewać wodą ze szlaucha Wychodzimy bowiem ze zdrowej zasady, że podróże kształcą, na naukę nigdy nie jest za późno i wzajemna wymiana doświadczeń służy lepszemu poznaniu własnego ego i życia, które nie powinno nas niczym zaskoczyć. Tydzień pobytu w naszym sanatorium jest więcej wart, niż parę doktoratów za bramą. Niestety...

Rozgrywając wieczorami emocjonujące partie pokerka i „dziewiątego wała" dzielimy się doznaniami. Stamtąd. Każdy z nas ma świadomość, że czyjaś przygoda, starannie zakonotowana w pamięci, może mu kiedyś życie uratować! Nie bądź głupi! Nie daj się zwariować! Jest to zaiste frapujące zajęcie i meldując czterdzieści w żołędzie nie przeszkadza nam zupełnie brak kart ani te idiotyczne drzwi bez klamki.

Kim są moi kompani? Cóż, normalni, zdrowi ludzie, którym tak jak i mnie wydawało się, że ileś tam lat życiowego bagażu pozwoli uniknąć zaskoczenia, wystawienia systemu nerwowego na Wielką Próbę. To był błąd!

Oto „Resorek". Spokojny, starszy facet, który uwierzył w Telewizję. W lornetkach zamiast okularów. Wzrok stracił „ślipiąc" w emanujący ciepłem i spokojem mały ekran. Przeżył wiele — różne zapewnienia i przysięgi, „chrupiące bułeczki" i społeczne konsultacje, losowania Małego Lotka i filmy dla drugiej zmiany. Łykał środki uspokajające i z sadystycznym zadowoleniem porównywał bieżący program z wcześniejszymi zapowiedziami w prasie. Nazwał tę zabawę „Mały epileptyk". Tu miał być western, a na ekranie — wczesne odmiany lubinu, zapowiadają „Kabarecik" — a tu płomienny uśmiech pani Loski i rżną w najlepsze faceci z „Warszawskiej Jesieni". Miał ten swój intymny, mały świat i nie byłoby z niego żadnej tu dziś pociechy, gdyby nie ruszał się z domu. Ale on, zamiast spokojnie dożywać swych dni w rytm Telewizyjnej Listy Przebojów uwierzył po raz nie wiedzieć który. Gdy reklamowano w stylu iście amerykańskim kapitalne miniatury samochodów, a łagodny głos perswadował, że „Matchbox — idealną zabawką dla twojego dziecka..." załamał się. Ruszył z rozwianym włosem po sklepach zabawkarskich, żądając sprzedaży choć kilku modeli, z otwieranymi drzwiami, bujających się na mikroskopijnych resorkach... Zwinięto go chyba drugiego dnia. Usiłował zdemolować sklep „Pewexu", gdy zdecydowanie odmówiono mu sprzedaży „resorków" za obowiązujące bilety płatnicze NBP...

„Wymiennik", bo tak nazwaliśmy młodego, kompletnie siwego młodzieńca, wdał się w niepotrzebną zgoła wojnę z osiedlową administracją. Wynik był z góry przesądzony, ale on się uparł. Chodził, monitował w tak przyziemnych sprawach, jak nieczynna tygodniami winda, zapchane zsypy czy brudne klatki schodowe. Nie dbał o swój system nerwowy zupełnie Do szału doprowadzały go gnijące w wodzie piwnice, zimne kaloryfery, ba, dopominał się posypywania piaskiem chodnika zimą. Przez gospodarza posesji! Paranoja. Nie było niestety, nikogo, kto by mu te brewerie wyperswadował. No i doczekał się. Zniósł po męsku zawiadomienie o wyłączeniu na miesiąc ciepłej wody w listopadowe mrozy. Ale tylko przez trzy tygodnie wytrzymał kąpiele w lodowatej. Złapał go atak, gdy trzy dni przed wyznaczonym terminem z kranu pociekła ciepła, żółta ciecz...

„Tyrystor" od początku przyjaźni się z „Resorkiem", łączy ich miłość do telewizorów. Znają na pamięć wszystkie „Dobranocki", ukończyli parę semestrów Telewizyjnego Technikum Rolniczego. Ale „Tyrystor", jak się okazało, jest zupełnym amatorem, życiowym inwalidą. Przy pierwszej awarii odbiornika (brak „odchylania pionowego") był przekonany, że w milionowym mieście z pomocą przyjdą mu państwowe, spółdzielcze i prywatne placówki usługowe. Opowiadają, że gasł jak świeca, gdy dni mijały, a w kolejnych punktach odprawiano go z kwitkiem. Cóż, kompletnie nieprzystosowany. Po miesiącu prób chwycił za młotek...

Dlaczego ja tu jeszcze jestem? Śmieszna sprawa, zgoła przypadek. Jak Pan Redaktor wie, informacje o zmianie łódzkich telefonów i „niewielkich", a związanych z tą operacją perturbacjach, podawano na tyle wcześnie, że zdołałem się psychicznie przygotować. Przeżyłem całą aferę spokojnie i jestem w świetnej kondycji w porównaniu z tą dużą grupą abonentów, którzy jeszcze wiele tygodni spędzą na oddziale dla wyjątkowo niebezpiecznych. Mówimy o nich „sześciocyfrowi", ładnie, prawda?

Mnie zwolniono nawet warunkowo, za „kaucją" (szwagier-maniak, co w „maluchu" sypia, by mu kół nie odkręcili mnie zastąpił...). Zgubiły mnie panie z „międzynarodowej" Trzy dni i trzy noce zamawiałem rozmowę do przyjaciół w Czechosłowacji, takie miasteczko koło Ostrawy. Rzecz jasna, bezskutecznie, co mnie wcale nie zdziwiło. A to Warszawa nie łączyła, a to Katowice były zajęte (niby na szlaku...), a to dziewczyny złościły się, że nie znam jakiegoś numeru kierunkowego. Trzymałem się dzielnie i gotów byłem jeszcze z miesiąc próbować choćby z łączeniem przez Kamerun. Niepotrzebnie trzeciej nocy wdałem się w pogawędkę z uroczym numerem 193. Pożartowaliśmy sobie w najlepsze, słowo daję — niezależnie od tego zamówienia. Niestety, chyba przesadziłem z komplementami. Minęło może pięć minut i miły damski głosik oznajmił mi, że Czechosłowacja na linii, „proszę mówić". Na deser dziewczyna podała mi ów stanowiący zapewne tajemnicę państwową numer kierunkowy.

Porozmawiać nie zdążyłem. Dostałem paroksyzmów śmiechu, wyłem jak opętaniec, gdy zjawiła się karetka. Na wspomnienie mam jeszcze czasem atak. Wrzuć monetę, wrzuć monetę, nie ma takiego numeru, nie ma takiego...

S. Ż.

3 Zdarzenia i zwierzenia

Śpiewnik łódzki

Na początku ubiegłego roku ukazał się pierwszy, z trzytomowej edycji, tom „Śpiewnika łódzkiego" pod redakcją Tadeusza Szewery. Pierwszy tom, który w swoim czasie omawialiśmy na łamach „Odgłosów" zawierał pieśni i piosenki walczącego proletariatu z wieku XIX i początków XX. Ten pierwszy tom „Śpiewnika" opracował wieloletni działacz robotniczy i zbieracz łódzkiego folkloru — nieżyjący już dziś Eugeniusz Ajnenkiel.

Tom drugi, który właśnie opuścił drukarnię jest dziełem Joanny Ludwickiej — nosi tytuł „ Z podwórek i ulic" i prezentuje repertuar pieśniowy środowiska robotniczego lat międzywojennych. Repertuar ten — jak pisze Joanna Ludwicka — wywodził się z bardzo rozmaitych źródeł i stanowi swoisty zlepek stylów i gatunków. Część pieśni pochodziła z wodewilów i komedii, z teatrów ogródkowych... Inne pieśni i melodie zapożyczone były z folkloru wiejskiego.

Jednak najbardziej charakterystyczne były w środowisku miejskim tzw. piosenki andrusowskie, pochodzące z przedmieść. Ich autorzy — częstokroć zawodowcy — z upodobaniem tworzyli pastisze do złudzenia przypominające autentyczne piosenki uliczne. Przykładem jest tu słynna „Czarna Mańka" autorstwa łódzkiego dziennikarza Czesława Gumkowskiego z muzyką Feliksa Halperna.

Większość jednak piosenek andrusowskich była dziełem samorodnych twórców i spory w tym względzie udział mieli śpiewacy uliczni i podwórzowi, którzy sami sobie tworzyli repertuar.

Tworzyli albo adaptowali do łódzkich realiów, bowiem zdarzało się często przenoszenie niektórych piosenek z jednych środowisk miejskich do innych. W ten sposób warszawską piosenkę Kazimierza Brzeskiego „Tajemnica przystanku tramwajowego" — przerobiono na „Tajemnicę łódzkiego przystanku tramwajowego". Jest to opowieść o nieszczęśliwej miłości szwaczki, która

„Tam gdzie przystanek stał tramwajowy
jadąc za miasto spotkała raz pięknego pana w stroju balowym
był to pan hrabia zimny jak głaz".

Piosenek o miłości było dużo, ale chyba ciekawsze są piosenki opiewające sensacyjne wydarzenia, np. charakterystyczne dla Łodzi pożary wzniecane przez właścicieli fabryk dla ratowania pozycji finansowej, dzięki ubezpieczeniowym asekuracjom.

Przykładem takie piosenki jak „W mieście Łodzi na Szlezyngu" czy „Straszny pożar w Łodzi w fabryce Winera"

Natomiast o tym, jakie są nasze współczesne wzruszenia i problemy wyrażane przez piosenkę — opowie trzeci tom śpiewnika, który niebawem się ukaże.

Czytelników zainteresowanych tym ciekawym wydawnictwem odsyłam do Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, bowiem „Śpiewnik" nie będzie sprzedawany w księgarniach. Dystrybucją z konieczności zajmują się wydawcy — Towarzystwo Przyjaciół Łodzi i Łódzki Dom Kultury. Nakład jest niestety ograniczony — zaledwie 1.200 egzemplarzy. Komu więc zależy, aby mieć w swojej bibliotece ten piosenkowy zapis łódzkiej przeszłości — niech się uda pod stosowny adres.

JERZY WILMAŃSKI

4 Sport

Od drwiny do podziwu

Na początku była drwina. Bośniacy nie cieszą się w Jugosławii opinią ludzi pracowitych. Mówi się nawet, że posiadają mentalność orientalną, są przecież mahometanami, i stąd, pojęcie czasu nie jest dla nich tak istotne, jak dla ludzi wychowanych w innych, zachodnioeuropejskich orientacjach. Dziwiono się więc Bośniakom, że podjęli się zorganizowania Zimowej Olimpiady 1984 roku. Na coś takiego nie odważyła się najbogatsza z jugosłowiańskich republik — Słowenia. A Bośnia, której stolicą jest Sarajewo, nie tylko odważyła się, ale też przystąpiła do realizacji tego zamierzenia.

Można też podejrzewać, że z zamierzenia tego śmiano się i w innych częściach Europy, podrwiwując sobie po cichu. W Jugosławii drwiono otwarcie. W Lublianie, Zagrzebiu, Belgradzie oczekiwano, kiedy Bośniacy odwołają całą imprezę, bo przecież nie poradzą. Podobnie chyba myślano i w innych miastach zachodniej Europy, gdyż korespondent DPA w Jugosławii — Thomas Brey udał się do Sarajewa, aby zobaczyć jak idą przygotowania i... bardzo się zdziwił. Już wcześniej zresztą zaczęli dziwić się mieszkańcy innych republik Jugosławii.

I oto stało się coś przedziwnego. Zamarły nagle na ustach drwiące uśmiechy, zniknęły gdzieś docinki i żarty, a ich miejsce zaczął zajmować podziw. Okazało się bowiem, że ci pogardzani — co tu ukrywać — Bośniacy nie tylko podołali trudnemu zadaniu, ale też pobili swego rodzaju rekord w dziejach organizacji zimowych igrzysk. Mianowicie, zamiast 163 milionów dolarów postanowili zmieścić się w 130 milionach dolarów. A na dodatek wszystko zrobiono na czas, nikt nic nie zapomniał, nie przeoczył.

Były oczywiście i niepowodzenia. Na przykład początkowo punkt startowy biegu zjazdowego usytuowano blisko granicy meteorologicznej między strefą kontynentalną i śródziemnomorską, co uniemożliwiłoby starty, gdyż w miejscu tym wieją huraganowe wiatry. Lotnisko rozbudowano w mglistej niecce. Ale w miarę rozwoju prac błędów takich już nie popełniano.

Powodzenia Bośniaków w przygotowaniu Igrzysk Zimowych w Sarajewie wywołały falę entuzjazmu w całej Jugosławii. Republiki, miasta, gminy zaczęły śpieszyć z bezinteresowną pomocą. Oferuje się więc bezpłatnie autobusy z kierowcami, aby w Sarajewie nie zawiodła komunikacja, zgłaszają się ochotnicy z całego kraju, aby pomóc w przebiegu igrzysk olimpijskich, aby wszystko przeszło bez zakłóceń. Czy rzeczywiście przejdzie bez zakłóceń?

Można się spodziewać, 30 tysięcy osób przeszkolono w znajomości języków obcych, przynajmniej w umiejętności posługiwania się podstawowymi zwrotami, słowami, aby móc służyć niezbędną informacją turystom i zawodnikom. Szczególny nacisk położono na znajomość języków obcych przez milicjantów, kelnerów i taksówkarzy. Przygotowano najnowocześniejszy sprzęt dla dziennikarzy, aby mogli na bieżąco przekazywać obrazy, słowa i teksty do wszystkich zakątków planety. Thomas Brey zastanawia się, czy będzie to wszystko tak sprawnie działało, aby 3 tysiące dziennikarzy i 58 stacji telewizyjno-radiowych mogło pracować bez żadnych zakłóceń. Bo jeszcze nigdy taka liczba dziennikarzy nie nadawała z Jugosławii jednocześnie informacji i komentarzy o tym, co tu się działo. Ale dlaczego ma być gorzej niż było to w innych krajach?

Igrzyska Zimowe w Sarajewie, które rozpoczną się 8 lutego 1984 roku stały się już dla narodów Jugosławii czynnikiem integrującym. W Sarajewie przekonono się nagle, że miasto nie należy do najczyściejszych. Ogłoszono apel do mieszkańców, aby przy pomocy miotły, szmaty i wody przystąpili do zdecydowanej walki o czystość. I tak się stało. Teraz rzucono hasło: „każdy Jugosłowianin nosi olimpijską odznakę". Chwyciło. Znaczki zniknęły natychmiast z kiosków i znalazły się w klapach. Ale przecież nie o znaczki chodzi. Chodzi zupełnie o coś innego. Oto dzięki intensywnej pracy, jasno wytkniętemu celowi przestano drwić z pogardzanych, bo biednych Bośniaków. Zaczęto ich podziwiać, mało tego, solidaryzować się z nimi w realizacji tego celu, pomagać. I to jest niezaprzeczalny sukces Igrzysk Olimpijskich w Sarajewie, odniesiony — co ciekawsze — jeszcze przed ich otwarciem.

Gdy to piszę, myślę o nas. Ileż to interesujących inicjatyw ginie w biurokratycznych uzgodnieniach, ostrożności, obojętności i indolencji. Oto „Przegląd Sportowy" donosi, że polskie narciarstwo dusi się w Tatrach, że nie ma nowych terenów, choć są plany, ale nie ma uzgodnień. Choćby w sprawie Głodówki koło Bukowiny Tatrzańskiej. Jest koncepcja, są pieniądze, są wykonawcy, nie ma uzgodnień i decyzji. A może byśmy zorganizowali jakąś olimpiadę? Jakieś igrzyska? Żeby ludzie raźno ruszyli do realizacji jasno wytkniętego celu.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwiecinski Bogda Madej Andrzej Makowiecki (Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji) Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego) Igor Sikirycki kier działu literackiego Karol J Stryjski Janusz Szymanski (zastępca redaktor naczelny) Jolanta Wrońska, Miroslaw Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda Bohdan Gadomski Witold Kisperkiewicz Włodzimierz Krzemiński Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Pauasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji 36-80-99 Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00—958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153 201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90—103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 38. Nr indeksu 36762. Zam. 160. E-2.

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 2

O tym, że rzecz straszną uczynić mógł tylko człek obcy najpewniej z zagranicy

W Skiroławkach nawet ci, którzy przez całe dni pili piwo na ławeczce przed sklepem, ugięli się przed majestatem śmierci dwóch młodych dziewcząt i przestali opowiadać głupie i sprośne historyjki. Ludzie w wiosce przyglądali się sobie podejrzliwie, skłonni byli snuć jeden o drugim jakieś zadziwiające opowieści, jakby zaczerpnięte z życia mieszkańców Sodomy i Gomory, choć w Biblii nie zostało szczegółowo wyłożone, co tamci ludzie robili złego. Podejrzliwość, podobna do odwiedzającej kiedyś wioski starej żebraczki w łachmanach pukała do każdej zagrody, zasiadała wieczorami do stołów, gadała i szeptała, pojawiała się nawet w snach ludzkich. Czegóż to bowiem ci lub owi nie robili strasznego, jak się tak było przyjrzeć im dokładniej, wspomnieć przeszłość, plotką ożywić wyobraźnię? Zresztą i prawdą, złą i gorszącą, można by było wszystkich po równo obdzielić.

Najstarsza trójka synów cieśli Sewruka sprawdzała kiedyś swoje młodzieńcze umiejętności z krową na łące za olszynami — co widziała żona Kondka. Drwal Jan Stasiak, po pijanemu, rozkazał swojej najstarszej córce Agacie, kiedy miała dwanaście lat, dokładnie obnażyć się, gdyż był ciekawy jak jej piersi nabrzmiały i łono włosem obrosło. Jego żona nie potrafiła o tym dokładniej ludziom opowiedzieć, gdyż tylko te swoje „hrum-brum-brum" powtarzała ale i tak ten co chciał wiedzieć, zrozumiał o co jej chodzi. Młody Galembka widział, jak Szczepan Żaryn córkom swoim węża w wyprostowanej postaci, ku uciesze ich kilkakrotnie pokazywał. Skąpy Kondek swoją najstarszą córkę, zanim za mąż za syna Kryszczaka wyszła, po męsku używał od czasu do czasu, o czym ona powiedziała swemu teściowi. Erwinowi, kiedy ten za bluzkę kupioną w Bartach na niej sobie używał. A dlaczegóż to tak naprawdę nie żenił się najstarszy syn Szulca, Franek? Dlaczego nie otrzymał po ojcu gospodarstwa, ale przeznaczone ono zostało dla młodszego brata, a on z tej złości pracować nie chciał, tylko na ławeczce prze sklepem przez całe dnie przesiadywał? Co kryło się za złością, jaką miał do niego Otto Szulc? Jedna z córek Szulca, Ingeborg, tylko przez trzy tygodnie żyła ze swym mężem, kolejarzem w Bartach, i zaraz powróciła do rodzinnego domu twierdząc że ją mąż bije i pracować każe ponad siły. A nie mogło to być prawdą, gdyż ludzie znali go jako człowieka bardzo cichego, a poza tym nie mieli żadnego gospodarstwa, gdyż on pracował jako maszynista na kolei i niczego od niej nie żądał jak tylko tego, aby mu dzieci rodziła i mieszkanie sprzątała. Trzy razy wracała Inga do swego męża i trzy razy od niego odchodziła. A to dlatego, że kochała nad życie swojego brata Franka. Z nim żyła, i z nim żyć chciała. Pozostała zaś przy mężu dopiero wówczas, gdy zgodził się, że jej brat Franek będzie ją często odwiedzał i podczas jego służby na kolei u nich w domu nocował. Raz na tydzień jeździł więc Franek Szulc do swej siostry w Bartach, i dlatego chyba się nie ożenił.

Tak, to prawda, że prawie o każdym można było powiedzieć coś strasznego. Co innego jednak spróbować jak to jest z krową, albo pokazać węża swoim córkom, położyć się na synowej, za jej zgodą zresztą, albo żyć z własną siostrą, a zupełnie co innego zabić w lesie dwie dziewczyny, połamać im żebra wyłamywać palce ze stawów. Dla męskiej wygody żyła w wiosce i Porowa, kobieta jeszcze ponętna i kształtna, z długimi i gęstymi włosami zaplecionymi w gruby warkocz. Nie odmawiała towarzystwa za kurę, za pół litra i pęto kiełbasy. Można się z nią było zabawić w pojedynkę, a nawet w trójkę na różne sposoby. Pamiętano przecież, jak to minionego lata w ciepły wieczór biegała nago dookoła swego domu z widelcem włożonym w intymne miejsce i wołała, że tym widelcem sobie wygodzi, jeśli jakiś chłop zaraz się u niej nie pojawi. A jednak zabójca wybrał dwie młodziutkie dziewczyny i starą Jastrzębską, jeśli wierzyć jej pijackiemu gadaniu.

Prawdziwy mężczyzna ze Skiroławek, jeśli miał krew w żyłach, mógł sobie do woli wygodzić, bez zabijania, łamania żeber, a nie ze staruchą czy młodą, dopiero rozkwitającą dziewczynką. Wystarczyło, że Gertruda Makuch poszeptała z tą czy ową i doktor Niegłowicz miał na noc kobietkę jak się patrzy. Porwasz mógł sobie przywieźć dziewczynę z miasta, skoro wiejskich nie lubił. Pisarz Lubiński zmieniał żony tak często, jak cieśla Sewruk skarpetki, a gdyby miał ochotę na Haneczkę, to by ją zaprosił na przejażdżkę jachtem czy samochodem sprawę z nią dokładnie załatwił za byle jaki prezencik. I dziewczyna nikomu by o tym nie pisnęła. Po co zabijać, jeśli się widziało, że już była do tych spraw niezwykle chętna, tyle że nieletnia? Co innego leśniczy Turlej. Owszem, Turlej był dziwny. We wsi słyszano, że żona mu często przed nosem drzwi do sypialni zamyka, a on potem biega rozeźlony ze strzelbą po lesie. Do Porowej taki nie pójdzie, bo za lepszego się ma, z kim więc, gdzie i kiedy załatwia swoje męskie potrzeby? Ale na starą Jastrzębską też by się nigdy Turlej nie połakomił. Zresztą nie był człowiekiem brutalnym, nigdy nikogo nie uderzył, nawet i wulgarnych słów nie używał. I co tu dużo gadać — przystojny człowiek był z tego leśniczego, mógł mieć wiele dziewczyn jak gajowy Widłąg. Wiadomo przecież, że jak się na przykład młody las wiosną sadzi, leśniczy czy gajowy musi tę czy ową kobietę, która przyszła do sadzenia, odprowadzić na bok w krzaki, bo inaczej las dobrze nie wyrośnie. Takie są leśne obyczaje, tak było od wieków i tak będzie w przyszłości. Dlaczego więc zabijać? Chyba, że z tego zabijania bywa jakaś dziwna przyjemność i mordercy płynie w żyłach nie krew prawdziwa, lecz jakaś trucizna. Ale to zupełnie nie pasowało do Turleja który miał na swoją żonę ochotę jak każdy prawdziwy mężczyzna, tylko że ona mu fochy stroiła, jak to się zdarza kobietom, niekoniecznie wyłącznie żonom leśniczych.

Podejrzliwość przycupnęła i na ławce przed sklepem, ucięła żarciki i sprośne opowieści. Zastanawiał się cieśla Sewruk, czemu to Antek Pasemko raptem brodę i wąsy sobie zapuścił, jakby chciał odmienić swoje oblicze, ale ten wyjaśnił, że taka teraz nastała moda po miastach, a on chce być modny. W żyłach Antka Pasemki płynęła krew, a nie trucizna po pijanemu zrobił dziecko kulawej Marynie i płacił jej alimenty. Żenić się z nią nie musiał — to jego sprawa. Gdyby jednak naszła go męska ochota, to znowu dostałby od kulawej Maryny po pijanemu, albo na trzeźwo, gdyż innym Maryna nie skąpiła.

Zastanawiał się Szczepan Żaryn, czemu to wszyscy mówią „młody Galembka", choć on nie jest młody, ma żonę i czworo dzieci, minęła mu trzydziestka. Mówią młody" żeby go odróżnić w mowie o „starego" Galembki i tak już będzie młody przez wiele lat, dopóki nie umrze stary Galembka. Nie chce się młodemu Galembce pracować, żyje z żony, jej krów i drobiu, dzieci jednak mnoży, czyli sprawy męskie załatwia właściwie. Żona mu nie odmawia, czemu miałby obie dziewczyny zabijać? Na okrutnika też nie wygląda, ale jest po prostu bardzo leniwy. Woli pić piwo przed sklepem, niż pracować, każdy by tak wolał.

Rozmyślał i wyliczał sobie w głowie młody Galembka, ile też czasu potrzebowałby cieśla Sewruk aby w swoich człapakach pójść przez wieś aż do lasu, do dołu po sadzonkach, albo na polankę, gdzie zabito Haneczkę. Taką dziewczynę jak Haneczka cieśla Sewruk mógł podnieść do góry jedną ręką i zadusić w powietrzu jak kurczaka. Po co miałby zadławiać biustonoszem? Gdzie by poznał Sewruk jakąś panienkę z południa, która była na weselu aż na północy kraju i po co by mu była taka znajomość? Czy kiedykolwiek zainteresował się Sewruk inną kobietą, niżeli jego chuda i brudna mamuśka? Owszem, raz pochwalił głośno wielki tyłek Widłągowej, ale to znaczyło, że właśnie raczej zamieniłby chudą mamuśkę na coś grubszego, a nie na szczuplutkie dziewczątko. Zresztą, co tu dużo rozmyślać: cieśla Sewruk lubił przede wszystkim wino i piwo.

I tak rozmawiano o tym i owym, snuto podejrzenia o tym i tamtym, plotkowano, przypominano, gadano, donoszono na różnych ludzi do starszego sierżanta sztabowego Korejwy albo do kapitana Śledzika który wciąż to tę, to tamtą zagrodę, ale już coraz rzadziej. W tych rozmyślaniach i donosach, podejrzeniach i pomyślunkach, jedna tylko osoba nie była brana pod uwagę — stary Erwin Kryszczak. Po pierwsze dlatego, że zawsze różne świństwa opowiadał, co świadczyło, że to lubi najbardziej. Po drugie, jak go męska ochota naszła, szedł do Porowej. Po trzecie, w ciągu ostatnich lat bardzo się postarzał, siły utracił i nawet nie dałby rady, żeby taką słabą dziewczynkę jak Haneczka udusić, żebra jej połamać, palce ze stawów powyłamywać. Albo to samo zrobić z dziewiętnastoletnią panienką. Czy taka panienka z obcych stron poszłaby nocą do lasu z Erwinem Kryszczakiem i to pod koniec listopada, kiedy nie ma jagód ani grzybów? Po co byłoby Kryszczakowi napadać na starą Jastrzębską, skoro w dawnych latach używał sobie na niej ile chciał a teraz jeszcze by mu serdecznie podziękowała, gdyby jej przyjemność męską zaproponował. Nie, o Erwinie Kryszczaku nikt źle nie myślał — i to budziło w nim coraz większy niepokój.

„Nie mówią o mnie, a to znaczy, że właśnie mnie podejrzewają" — w chytrym umyśle kalkulował sobie Erwin Kryszczak i wrogo spoglądał na tych, co z nim na ławeczce przed sklepem przesiadywali. Oni jednak tej wrogości nie zauważali, jak dawniej przyjaźnie do niego mówili, częstowali piwem. „Bardzo muszą być pewni swoich podejrzeń, skoro się z nimi aż tak kryją" — pomyślał stary Kryszczak. I odtąd, czy to wczesnym rankiem, czy późnym wieczorem, na ławeczce przed sklepem, czy podczas obiadu albo krzątaniny w gospodarstwie, czuł w sobie Erwin Kryszczak narastającą pewność, że jest najbardziej podejrzaną osobą w całej wiosce.

Po dniu, a może i dwóch, zaczął Erwin Kryszczak zastanawiać się, czy ludzie mogą mieć jakieś podstawy, aby go podejrzewać o zabójstwo dwóch dziewcząt. I im głębiej drążył w sobie tę kwestię, tym większy odczuwał niepokój. Bo czy jego sprawy ograniczały się jeno do tego, że w drodze z Bart do Skiroławek wykorzystał po męsku swoją synową, za jej zgodą zresztą, za kupioną jej w Bartach bluzkę? Czy jego erotyczne działania polegały wyłącznie na odwiedzinach u Porowej, z kurą pod pachą? Ileż to razy, kupiwszy w sklepie garść cukierków, zachęcał małe dziewczynki, aby poszły z nim w krzaki koło starego młyna, i tam, zdjąwszy majteczki, pozwalały mu oglądać swoje gołe szparki między nóżkami? Czy nie w ten sposób na rok przed zabójstwem Haneczki i ją także namówił, aby poszła z nim w krzaki za młynem, gdzie długo i z ogromnym zadowoleniem przypatrywał się jej dużej już szparce pokrytej złotawym włosem? Pozwoliła mu też Haneczka na krótko przed swoją śmiercią obejrzeć piersiątka, tak pięknie i zabawnie sterczące, zupełnie inaczej niż u kobiet dojrzałych. Wiele, bardzo wiele takich historii przypomniał sobie Erwin Kryszczak, rozmyślając, czy tylko mały krok nie dzielił go od tego, aby taką młodziutką dziewczynę wykorzystać w lesie i zabić? Tak, ludzie w Skiroławkach mieli podstawy, aby go podejrzewać o zbrodnię.

— Ja też jestem podejrzany — oświadczył Kryszczak na ławeczce przed sklepem.

Jak bąk zahuczał śmiechem cieśla Sewruk. Piskliwie roześmiał się Antek Pasemko. A inni, młody Galembka i Franek Szulc, tylko uśmiechnęli się pobłażliwie.

— Wy, dziadku — oświadczył Franek Szulc — potraficie co najwyżej ozorem trochę poświntuszyć, synową podmacać albo do Porowej raz w miesiącu pójść. Nic więcej. Co innego mój ojciec, Otto, który jest od was znacznie starszy. On kiedyś zabił w lesie człowieka dla jednej kromki chleba. Taki człowiek mógłby zabić i dziewczynę, gdyby go naszła na nią ochota.

Wrogo mówił o swoim ojcu Franek Szulc, ale nie dlatego zabolały te słowa Erwina Kryszczaka. Ze śmiechu Sewruka i Pasemki, ze słów Franciszka Szulca wynikało niezbicie, że za najgorszego w wiosce jest uważany. Nawet Otto, choć był już dużo starszy od Kryszczaka, uchodził za coś lepszego, za mężczyznę zdolnego do zbrodni. Nie ulegało wątpliwości, że — jak to teraz widział coraz wyraźniej — stał się dla wioski po prostu niczym, starym, bezsilnym dziadem.

Zacisnął usta Erwin Kryszczak i zaraz opuścił towarzystwo na ławeczce. Wieczorem, leżąc w łóżku, wspomniał chwilę, gdy namówił Haneczkę, aby zdjęła majtki w krzakach za młynem i gdy dotknął dłonią swojego członka, stwierdził, że mu nabrzmiał od tych pięknych wspomnień. I sam nie wiedział, czy to już było we śnie, czy jeszcze na jawie, ale zobaczył siebie, jak idzie z Haneczką na polanę leśną jak ją rozbiera i kładzie się na niej. Czy ją potem zadusił biustonoszem — tego we śnie nie było, ale chyba musiał to zrobić, skoro Haneczkę znaleziono martwą. Rankiem pamięć snu pozostawała żywa i barwna, czuł w sobie podniecenie na myśl o tym, co uczynił z Haneczką. Podniecenie trwało przez cały dzień i nawet rozglądał się za jakąś kurą po podwórzu, żeby ją schwytać i pójść do Porowej. Wolał jednak pozostawać nadal w stanie przyjemnego męskiego podniecenia, które mu raz po raz podsuwało coraz to nowe obrazy tego, co stało się na polanie w lesie. Wieczorem wspomnienie powróciło do niego z nową siłą, stało się to również i następnego dnia, aż w końcu miał pewność, że w rzeczy samej on to zabił Haneczkę.

Na ławce przed sklepem duma go rozpierała. Czuł w spodniach twardy stary korzeń i z zadowoleniem myślał, patrząc na swoich przyjaciół: „Nie macie pojęcie, kto przy was siedzi. Nikt nie podejrzewa starego Kryszczaka. A to on zrobił coś takiego, od czego wszystkim w wiosce serce zamiera z trwogi".

Przed sklepem zatrzymał się osobowy samochód i wysiadła z niego młodziutka, chyba dziewiętnastoletnia panienka, nieduża i drobna. Zapewne wysłał ją po papierosy ten, co kierował samochodem. Erwin Kryszczak popatrzył na samochód, zerknął na dziewczynę znikającą w sklepie i raptem, choć to było słoneczne południe — jak gdyby czarna zasłona mu na oczy zapadła. Zdawało mu się, że to już noc, samochód odjechał, a dziewczyna zaraz wyjdzie ze sklepu z papierosami. Rozejrzy się dookoła i stwierdzi, że samochód odjechał. Wtedy on, Erwin Kryszczak — podejdzie do niej i powie, że samochód czeka za wioską w lesie. Jeśli się boi tam pójść z powodu ciemności, on, stary Kryszczak podprowadzi ją aż na miejsce. Tak, właśnie tak było, a nie inaczej! Poszli razem w listopadowej ciemności, w poświstach jesiennej wichury, nikt ich po drodze nie widział, w podobną pogodę siedzi się w ciepłej chałupie. Na leśnej drodze łapał Kryszczak dziewczynę za gardło, przydusił ją, zaciągnął do dołu po sadzonkach i rozebrał do naga. Mimo gęstego mroku widział dokładnie jej piersi, takie same jak u Haneczki, jej łono, takie samo jak u synowej. Potem zadusił całkiem, zasypał i odszedł...

Zamrugał Kryszczak powiekami. Znowu był dzień, letnie południe. Przed sklepem nie dostrzegł ani samochodu, ani dziewczyny. To, co widział przed chwilą, było chyba tylko wspomnieniem, które mu przyniosło męskie podniecenie, albo zgoła marzeniem.

— A cóż to, dziadku, przysnęliście sobie po piwku? — klepnął go po ramieniu młody Galembka.

I znowu ten pobłażliwy ton. Czy naprawdę nie domyślają się, kto siedzi tu przy nich i kogo klepią po ramieniu, nazywając dziadkiem? „Głupcy — pomyślał o nich z pogardą. — Powiedziałbym prawdę, gdyby nie to, że straszna kara czeka tego, co zabił dziewczyny" Przeraził się tej kary, widmo pętli szubienicznej zamajaczyło przed jego oczami.

Siedział Kryszczak na ławeczce i rozmyślał:

„Nikt się nie dowie, kto zabił te dziewczyny. Nikt się nie dowie, bo nikt tak naprawdę nie podejrzewa mnie, Erwina Kryszczaka. Będą mnie dalej lekceważyć, nazywać dziadkiem, a ja będę milczeć w obawie przed karą. Nawet im przez głowy nie przejdzie, że ten lekceważony stary dziadek jest tak potężną postacią, tak wielkich zrodni dokonał. Umrę, pochowają mnie i tajemnicę swych zbrodni zabiorę do grobu. Na moim pogrzebie powiedzą: „umarł stary dziadek, Erwin Kryszczak", a nie: „umarł potężny i straszliwy morderca".

Popatrzył Kryszczak na osmaloną twarz Sewruka, na lisią sylwetkę Żaryna, na drwiący uśmieszek Pasemki. „Oj, jakie miny zrobilibyście każdy z was, gdybym wam prawdę o sobie powiedział!" — rozkoszował się i serce mu radośnie biło.

Wspomniał też o swoich synowych. Traktowały go dobrze, podmacywać się niekiedy dawały, a nawet jedna z nich podłożyła mu się w drodze z Bart. Ale tak naprawdę to podśmiewały się z niego, lekceważyły, przeganiały z kąta w kąt. Wyobraził sobie, jak wchodzi na podwórze i mówi do synowych: „To ja zabiłem te dwie dziewczyny, a one, synowe, jak stado spłoszonych kur rozbiegają się po kątach, kryją do stodoły, krzyczą z trwogi i ogromnego szacunku.

Na przystanek koło sklepu zajechał kolorowy autobus z Trumiejek. Erwin Kryszczak nagle wstał z ławeczki i oświadczył przyjaciołom:

— Jadę na posterunek do Trumiejek, aby tam złożyć zeznanie.

To mówiąc wsiadł do autobusu i odjeżdżając widział przez szybę rozdziawioną gębę cieśli Sewruka jeszcze bardziej zgarbioną zdumieniem sylwetkę Żaryna. Nawet Antek Pasemko przestał się drwiąco uśmiechać. Tak, dumny był Erwin Kryszczak z tego, co uczynił w lesie. Nie bał się kary, o karze nawet nie myślał.

Wyprostowany, sprężystym krokiem, wszedł Erwin Kryszczak na posterunek milicji w Turmiejkach i stanął przed obliczem starszego sierżanta sztabowego Korejwy.

— Przyszedłem, aby złożyć zeznanie — powiedział. — To ja zabiłem te dwie dziewczyny.

Spodziewał się, że po tych słowach Korejwo krzyknie gromko, ze wszystkich pokojów posterunku wybiegną milicjanci, zakują go w kajdanki i opierającego się — zamierzał się szarpać i opierać — zawloką do pokoju przesłuchań. Ale Korejwo pogładził dłonią swoje małe wąsiki — ostatnio zapuścił wąsy — westchnął i rzekł:

— Zaczekajcie, dziadku, w poczekalni przy drzwiach wejściowych. Tam jest popielniczka, zapalić można. Kapitan Śledzik jest w tej chwili zajęty. Jak będzie wolny, poprosi was do siebie.

Zasiadł Erwin Kryszczak w poczekalni z popielniczką. Była tam jakaś stara babina, popłakująca cicho z powodu gęsi, które jej ktoś ukradł z pastwiska. Chciał jej Kryszczak powiedzieć, czemu to zjawił się na posterunku i czeka teraz w pokoju z popielniczką, że jest strasznym zbrodniarzem, a kradzież gęsi niczym jest w porównaniu z czynami, które popełnił. Babina zapewne z krzykiem przerażenia wybiegłaby z posterunku, pozostawiając swemu losowi sprawę skradzionych gęsi. Ale do babiny nic chyba nie docierało. Już po pierwszych słowach Kryszczaka głośniej zaczęła płakać i przerwała mu narzekaniem na złodzieja:

c.d.n.

Rys. Janusz Szymański-Glane